

*Handwritten text at the top of the page, possibly a title or address, is mostly illegible due to fading.*

N O W Y

K O L U M B.

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*

БІБЛІОТЕКА

№ 1 Том

ІЗДАЧА МІСЬНИЦА





NO W Y

K O Ł U M B

PAMIĘTNIK PODRÓŻY

I WIADOMOŚCI STATYSTYCZNYCH.

P R Z E Z

*F. S. Dmochowskiego.*

Z RYCINAMI ANGIELSKIMI NA STALI.

R O K 1839.



**W A R S Z A W A,**  
**W XIEGARNI F. S. DMOCHOWSKIEGO**

PRZY ULICY MIODOWEJ N° 497.

W DRUKARNI MAXYMILIANA CHMIELEWSKIEGO

przy ulicy Senatorskiej Dwo 463.

1 8 3 9.

BIBLIOTEKA

Nr      Tom

WYDZIAŁ MÜNICHIA



884-94

515904

K-79/77/219

BG

# NOWY K O L U M B.

---

## I.

### FIZYCZNY I MORALNY WIDOK HOLLANDYI.

Udając się z Londynu do Hollandyi, zwykle wysiadamy na ląd w Rotterdamie, a chociaż to miasto leży nad Mozą, rzeka tak jest szeroka, tak pokryta okrętami, iż zdaje się że jeszcze znajdujemy się na oceanie. W tym wspaniałym porcie, w tém wielkiem mieście, przeczniętém kanałami, najeżoném lasem okrętów, czekających przy każdój ulicy na chwilę odpłynienia w odległe części świata, umysł uderzony jest widokiem pojętności i przemysłu ludzkiego, które przełamać zdołały przeszkody, nie przełomne napierwszy rzut oka. Woda, która miała zalać ten ląd płaski i jednostajny, odwrócona od rzeki, rozdziela się na liczne kanały, płynie pod tysiącem mostów, ulega mocy szluz i zdaje się całe miasto unosić. Nie będziemy teraz rozszerzać się nad opisem Rotterdamu; uważamy tylko to miasto jako jedno z wstępów do Hollandyi: gdyż nie jest że ważną rzeczą, sposób którym przybywamy do jakiego kraju lub miasta? Do

Paryża trzeba przybyć przez rogatki l'Étoile, do Londynu Tamizą, do Wiednia Dunajem przez Prater i Leopold-sztadt, a udając się do Hollandyi trzeba wysiąść na ląd w Rotterdamie lub Amsterdamie, i pamiętać o tém, że lud z półtrzecia miliona mieszkańców złożył, utworzył takie miasta, przyciągnął do siebie handel całego świata, zebrał skarby i posiadał marynarkę, która często podniecała zazdrość W Brytani, tak przeważnej obszernością i dwudziestą milionami ludności. Lecz, ponieważ sprzeczność najbardziej posłużyć może do ocenienia moralnych i materyalnych faktów, zwróćmy uwagę naszą na widok Hollandyi od strony lądu.

Z jednej strony widzimy Anglią i ocean, z drugiej Niemcy i Ren, w środku leży Holandia, nie mająca więcej nad 60 mil francuzkich szerokości. Jeżeli od brzegów Tamizy, fale morza zaniosły nas do ujścia Mozy i do portu Rotterdamu, to znowu, olbrzymi Ren łącząc się z Mozą, doprowadza do tegoż samego portu i znią razem wpada do oceanu. Ren jakoby bogata wstęga z tysiącznemi zakrętami, łączy najpiękniejsze i najbardziej zajmujące krainy Europy. Zasługuje na uwagę, że na dwóch końcach téj rzeki znajduje się Szwajcarya i Holandia, dwa kraje nie zbyt rozległe, z niewielką masą ludności, a które jednakże zajmują znamenitą kartę w historyi. W środku jest Francya i Niemcy przedzielone Renem. Holandia jest jakoby ostatniem napływowym lądem téj wielkiej rzeki, ostatniem wysileniem ziemi, nim się stanie łupem oceanu. Szwajcarya zdaje się spoglądać ze szczytu gór swoich, na tę krainę niską i ledwie pływającą nad wodami;

lecz Hollandya pływa jeszcze i utrzymuje się na tych samych wodach, które ją miały pochłonać.

Pod Nimegą brzegi Renu zaczynają należeć do Hollandyi. Nie chcemy opisywać brzegów téj rzeki, tak wspaniałych od Moguncyi aż do Kolonii, gór zielonych, winnic które je pokrywają, zamków gotyckich, zwalisk, starych świadków przeszłości rzuconych pośród młodej natury pełnej życia; tyle miast sławnych w historyi przesuwają się kolejną na żyznych brzegach Renu; co chwila nowe postrzegamy cuda. Kilka minut zatrzymujemy się przed Moguncją i jej wspaniałemi gmachy, pokład statku parowego wypróżnia się i napętnia, koła poruszają się i płyniemy dalej, lecz jeżeli nas nie przynagła, statek często się zatrzymuje, a mimo nadzwyczajnie szybkiej żeglugi z Manheimu do Rotterdamu, stacje są dobrze urządzone i można nie pominąć żadnego miejsca zasługującego na uwagę. Nazajutrz, albo w kilka godzin po tém, inny statek przybywa i płyniemy dalej. Nigdy jeszcze świat nie był tak powiązany i zbliżony, a to skutkiem traktów bitych, statków parowych i kolei żelaznych. Lecz po cudach sztuki i przyrodzenia, któreśmy widzieli aż do Kolonii, trzeba poprzestać na widoku natury, najprzód poważnej, potem smutnej. Rzeka tworzy zatoki otoczone nagiemi skałami; po tém żałobnym naśladownictwie, bielejących się zwalisk, kraj coraz jest równiejszy, aż nareście postrzegamy wioski hollenderskie oblane wodą, groble bez ustannie uszkodzone działaniem płynnego żywiołu i bezustannie naprawiane; żadnej góry, żadnego wywyższenia, lecz tylko olbrzymie wiatraki i dzwonicie kościołów, z których wierzchołka postrzedz można dwadzieścia miast i wielką liczbę wiosek.

Z którejkolwiek strony przyjedziemy do Hollandyi, wszędzie widzimy płaszczyznę będącą zupełnie wrówni z morzem i rzekami, sama tylko Fryzya stanowi wyjątek i jest nieco wywyższona nad wodę.

Z Rotterdamu, który w obszernym amfiteatrze wznosi się nad szeroką powierzchnią wód Mozy, można utworzyć sobie zupełne wyobrażenie o geograficzném położeniu Hollandyi: kraj ten opiera się o Niemcy, leży wprost Anglii, a przez Belgią łączy się z Francją. Tak więc Hollandya, musi doznawać wpływu tych trzech wielkich krajów, lecz przez to nie traci własnej samodzielności. Posiada cierpliwość Niemców, w bitwach morskich dała dowody waleczności Francuzów, a duchem handlowym walczy o pierwszeństwo z Anglią.

Lecz wprzódby nim uczynimy kilka wycieczek w głąb téj małej krainy, tak zaludnionej i tak okrytej miastami, jeszcze słów kilka powiedzieć trzeba o jój ogólnym obrazie. Bez olbrzymich i ciągłych prac i wysiłen, Hollandya, jak wiadomo, byłaby zalana; a bez uprawy, godnej jak największego podziwu, byłaby zupełnie obnażoną płaszczyzną. Ta uwaga naprowadza nas na drugą cechę Holandyi. Oczywiście jest rzeczą, iż ten kraj jest przede wszystkim krajem morskim że jego wielkość i zewnętrzna potęga wynika z położenia które zajmuje przy zbiegu rzek i morza: lecz jego wewnętrzne bogactwo podsycane i użyźnione wodami tych samych rzek, które podzielone na tysiące kanałów, przerzynają ziemię, polega na pastwiskach. Hollandya jest razem krainą morską i pasterską: o to jój podwójna cecha. Żyje na niej lud odważnych żeglarzy i cierpliwych rolników. Przez żyzną łąkę, której zieloność tak jest piękna i świeża, pośród wiatra-

ków tak licznych między pasącemi się trzodami, idzie kanał dochodzący do Renu i obciążony statkami które przywożą towary z Indyi, z Chin i z Ameryki.

Pewien znamienity pisarz, rzekł nie dawno, iż Hollandya jest krajem prozaicznym. Nie podzielam tego zdania; sądzę, że kraj trudniący się pasterstwem i żegluga, łączący dwie tak wielkie sprzeczności, spoczynek i ruch, niebezpieczeństwa i spokojność, majtków i pasterzy, groble nadmorskie i łąki, nie jest i nie może być prozaicznym.

Bez wątpienia, hollendrzy są zimni na pozór, powolni w postanowieniach, lecz za to niezmiernie stali. Nie znam innego kraju, w którymby tyle wielkich dzieł dokonano tak małemi środkami, w którymby umysł człowieka dzielniej wynagrodził nieudolność natury. Zaiście, walka ta jest poetyczna, a jeżeli, nie spuszczać z oka zwyciężonych trudności, zwrócimy uwagę na to, z jakim gustem ozdobili Hollendrzy ziemię swoją, wydartą z pod władzy wód, czyliż nas nie uderzy ich niezmordowana staranność? Każdy kanał wysadzony jest długimi alejami drzew, wszędzie na kanałach są mosty i szluzy: są to drogi tego kraju, lecz drogi zawsze zacienione; zieloność w Hollandyi towarzyszy wodom. Hollendrzy słyną ogrodniczymi pracami; w ich ogrodach znajdziemy najpiękniejsze kwiaty Europy. Ten naród tak poważny, tak prozaiczny, a może i tak nieczuły na piękności natury, miał namiętność do tulipanów. Dziś jeszcze, wszystkie okna pięknych domów podobne są do parteru kwiatów ułożonych w obszer-nych koszykach; przy traktach, kanałach i ulicach, ciągną się aleje drzew, w oknach domów widać ja-

koby zawieszone ogrody; jestże to zimna prozaiczność?

Nie, nigdyby Hollandya nie była tém czém jest, bez wielkiej umysłowej pracy; każda praca tego rodzaju nadaje czynność władzom człowieka, a czynność ta posunięta do pewnego stopnia, wyłącza wszelką prozaiczność, wszelki materyalizm w życiu. Myśl człowieka, wytrwała i odważna, zrobiła Hollandyą tém czém jest teraz i wszystko w niej stworzyła.

Sądzę, iż dostatecznie wskazaliśmy ogólne znamiona potrzebne do poznania Hollandyi. Pozostaje nam jeszcze, dla uzupełnienia tego zarysu, wspomnieć z niektórymi szczegółami o Hadze, teraz prawdziwej stolicy tego kraju, gdyż tam jest ognisko rządu i rezydencya monarsza. Lecz wprzód powiemy słów kilka o języku hollenderskim.

Nie będziemy zaiste wychwalać jego harmonii. W porównaniu z hollenderskim, język niemiecki jest włoskim, angielski zaś przypomina miękie wymawianie iońskie; lecz byt języka hollenderskiego powinien zwracać uwagę filologów. Jest to mieszanina wyrazów i wysłowień angielskich, niemieckich, francuzkich, bez żadnego zlania w jedną całość, a mimo tego język ten posiada poetów i historyków sławnych w obrębie Hollandyi i zachował swoją odrębną cechę, podobnie jak naród który nim mówi.

Chociaż tytuł stolicy pozostał przy Amsterdamie, jednakże Haga, będąca rezydentą króla i dworu, jest rzeczywistą stolicą Hollandyi. Haga była w początkach feodálním tylko zamkiem, zbudowanym przez hrabiów Hollandyi. Zamek ten, dość wspaniały zbiór budowli z cegły, stoi jeszcze pod nazwiskiem *Binnenhof*, we-



wnętrznego dziedzińca. Część jego użyta została na miejsce posiedzeń państwa. Wystawa ciągnie się wzdłuż obszernego jeziora zwanego *river*. W środku tego jeziora jest wyspa, albo raczej kępa zieloności, tak gęste są na niej drzewa; gruby ich cień okrywa ziemię i mniemaćby można iż to jest las zasadzony w środku wody. Naprzeciw jeziora jest kilkanaście alei wspartych drzewami wysadzonych i to jest co zowią małym *Voorhut*, przednią częścią lasu. Równolegle od tego placu otoczonego pięknymi drzewami, są dwa inne place, łączące się z sobą i zwane wielkim *Voorhut*, Ten las, będący najpiękniejszą przechadzką w Hollandyi, a może i w Europie, stał się powodem założenia samego miasta. Należał on do lasów północnej Hollandyi teraz wyciętych zupełnie; hrabiowie tego kraju przyjeżdżali tam na łowy; zład pochodzi nazwisko holenderskie *Haga*, *S'Graven Hage*, czyli las hrabiiego. Zamek feodalnych panów stał się rezydencją monarchów, a miejsce łowów zamieniło się w wielkie miasto. Lecz, zbudowana nad brzegiem lasu, mająca place zacienione drzewami, gęste topole i przepyszne kasztany które tworzą drugi las w środku miasta, *Haga*, przedstawia połączenie miasta i wioski, nie znajdujące się w żadnym inném mieście Europy. Kanały chociaż liczne, nie są jednak w tak znacznej liczbie jak w innych handlowych miastach Hollandyi; są to raczej stawy, których wody ożywiają krajobraz. *Haga*, mogłoby to powiedzieć, jest wiejskim miastem, a jego piękne domy podobne są do zamków zbudowanych między alejami i wodozbiórami zwierzyńca.

Dodać należy, iż *Haga* jest miejscem rezydencji dawnej szlachty, i dla tego panuje tam większy zbytek niż

gdziekolwiek indziej. Jednakże, pomieszkania króla i książąt są bardzo proste i zupełnie do zwyczajnych domów podobne. Lecz w tych budowlach mieszczą się skarby sztuk pięknych, obrazy Wandyka, Rubensa, Wuwermana, osobliwości sprowadzone z Chin i Japonii, jakich nie ma w żadném inném muzeum. Jest tam miasto chińskie w miniaturze i okręty chińskie z całym rynsztunkiem.

Grunt lasu łączącego się z miastem Haga, urządzony został z wielką sztuką. W kraju tak płaskim, widać że ręka ludzka poruszyła powierzchnię lasu i utworzyła w jego obrębie doliny i wzgórki, które urozmaicają jego jednostajność; kanały przerzynają las i służą do jego upiększenia. Jeżeli słońce świeci, jeżeli dzień jest ciepły, idź trzeba wzdłuż poetycznych brzegów tych czystych jezior i kanałów, łączących się i przerzynających wzajemnie i prawie nie mających końca, tak daleko rozwija się ich zielony widokrag. Jest tam poezya, poezya natury, cudnie wypracowana ręką człowieka, któremu za materyał, służyła woda i roślinność. Światło księżyca także wydaje się przedziwnie wśród lasu, odbite w kanałach i stawach. Las jest przy samém wnijsciu do teatru, pięknej budowli z ciosowego kamienia, co jest osobliwością w Hollandyi, i mającej dwie wytworne wystawy. Ledwie zabrzmi ostatnie pociągnięcie smyczkiem, tylko co wyjdziemy z sali teatru oświeconej sztuczném światłem, już jesteśmy wśród ciszy i milczenia lasu, jakby o kilkaset mil od miasta i pobytu ludzi.

Rano, o wczesnej godzinie, trzeba wyjechać na przechadzkę. Przyjeżdżamy do Hoogstraat (wysokiej uli-

cy) przerzynającą miasto w niejakićj odległości od lasu. Jedziem koło królewskiego pałacu i do bram miasta. Tam zaczyna się ulica przecięta kilkunastą pięknymi alejami i zdaje że jeszcze jesteśmy wśród lasu. Przejazdżka ta trwa pół godziny: wkrótce przejedziemy przez ładną wioskę Schevening i staniemy na groblach i przed morzem Północnem; tam rozwija się przed nami widokrąg nie mający granic. W dzień pogodny, głąb tego widokręgu płonie od promieni słońca, środek jest ciemniejszy, a brzegi okryte białą pianą oceanu. Tak więc, Haga połączy w sobie piętno całego kraju, jest razem nadmorskiem i wiejskiem miastem.

---

# WYCIECZKA DO EGIPITU I ARABII.

(przez *Alexandra Dumas*).

---

## I.

### ALEXANDRYA.

Dnia 22 Kwietnia 1830, około szóstej z wieczora, okrzyk *ziemia! ziemia!* rozległ na brygu *Le Lancier* wiozącym PP. Tajlor, Mayer i mnie do Egiptu. Wybiegliśmy szybko na pomost, i przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca powitali starożytną ziemię Ptolomeuszów.

Alexandrya jest piaszczystém wybrzeżem, wielką złożoną wstęgą rozciągniętą na powierzchni wody; na lewym końcu, w kształcie półksiężycowego rogu, występuje przylądek Kanopa lub Abukir, podług upodobania, jeżeli zechcemy pomyśleć o przegranej Antoniusza lub zwycięztwie i kłęcie Napoleona. Bliżej miasta wznosi się kolumna Pompejusza i obelisk Kleopatry, jedyne zwaliska pozostałe z miasta Macedończyka. Pomiędzy temi dwoma pomnikami, przy gaju palmowym, stoi pałac Wice-króla, niezgrabna i nędzna biała budowla, wystawiona przez włoskich architektów. Po drugiej stronie przystani, odstrzeliwa od błękitu niebios, czworograniasta wieża, zbudowana przez Arabów, u stóp której wylądowało wojsko

francuzkie pod dowództwem Bonapartego. Co do Alexandryi, owój starożytnej królowej niższego Egiptu, wstydząc się zapewne swego poniżenia, kryje się ona po za falami pustyni, z pośrodku których wznosi się jak kamienna wieża na morzu piaszczystém.

Wszystko to następnie wychodziło z morza, jakby skutkiem czarów, w miarę zbliżenia się do brzegu; a jednak nie wymówiliśmy do siebie nawzajem ani słowa, tak nasz umysł przepelniony był myślami, a serce radością. Trzeba być artystą, długo marzyć o podobnej podróży, wylądować w Palermie, Malcie, owych dwóch gospodach Wschodu, potem nakoniec wieczorem, pięknego dnia, przy morzu spokojném, przy radośnym okrzyku majtków, na widokregu oblanym niejako łuną pożaru, postrzedz, nagą i pałającą, ową starożytną ziemię Egiptu, tajemniczą prababę świata, któremu zostawiła w puściźnie, jako zagadkę, niewyczytalne tajniki swojej cywilizacyi; trzeba widzieć to wszystko oczami przesycconemi Paryżem, aby pojąć cośmy uczuli na widok tego wybrzeża, niepodobnego do żadnych znanych brzegów.

Wyszliśmy z zachwycenia w ten czas dopiero, gdy trzeba się było zająć przygotowaniami wylądowania; lecz zatrzymał nas kapitan Bellanger, uśmiechając się z naszego pośpiechu. Noc, tak szybko spuszczaająca się z niebios w klimacie wschodnim, zaczynała przyciemniać ów świetny widokrąg, a przy ostatnim dnia połysku, widać było srebrne fale, rozbijające się o łańcuch skał, które całą prawie przystań zamykają. Byłoby nie rozsądnie narażać się na wpłynienie do zatoki, nawet przy pomocy tureckiego sternika; a możnaby się o sto przeciw jednemu założyć, że żaden z o-

wych morskich przewodników, nie odważy się przybić do naszego statku.

Trzeba było czekać do jutra. Nie wiem co przez ten czas robili moi towarzysze podróży! lecz ja nie spałem ani minutę. Dwa lub trzy razy podczas nocy, wyszedłem na pokład, zawsze w nadziei że choć cokolwiek spostrzegę przy świetle gwiazd; lecz ani jedno światelko nie błysnęło na brzegu, najmniejszy łoskot nie doleciał do mnie z miasta; możnaby sądzić, że jesteśmy o sto mil od mieszkalniój ziemi.

Zaświtało wreszcie. Żółtawa mgła powlokła całe wybrzeże, odróżniające się tylko jak pas ciemniejszego wyziewu. Zbliżaliśmy się jednak do portu, i z wolna, zasłona okrywająca ową tajemniczą Izydę, nie podnosząc się zupełnie, coraz rzadszą się stawała, coraz przezroczystsza jak gaza, coraz bardziej wykrywała naszym oczom wczorajszy krajobraz.

Już ledwie o kilkaset kroków znajdowaliśmy się od raff, gdy się wreszcie zjawił nasz sternik. Zbliżył się na czołnie kierowanym przez czterech wiosłarzy, na którego przodzie wymalowane były dwa wielkie oczy, ze spójrzeniem wlepioném w morze, jakby chcąc wysledzić najskrytsze jego haki.

Był to pierwszy Turek któregom oglądał: gdyż nie uważałem za prawdziwych Turków, owych sprzedających daktyle, których spotykałem na bulwarach Paryzkich, ani posłów Wysokiej-Porty, których niekiedy widywałem w teatrze; patrzałem téż na zbliżanie się szanownego muzułmana, z naiwną ciekawością wędrownika, co znudzony ludźmi i rzeczami jakie dotąd widział, i odbywszy ośmset mil aby widzieć nowych ludzi i nowe rzeczy, czepia się małowniczosci

skoro ją tylko napotka, i klaszcze w ręce, że znalazł wreszcie owe nieznajome dziwy, których przybył szukać z tak daleka.

Był to wreszcie godny syn proroka, z długą brodą, w świetnej i obszerniej szacie, z powolnym i poważnym ruchem, i mający niewolników do nakładania fajki i noszenia za nim tytoniu. Przybywszy do naszego okrętu, poważnie wstąpił po drabinie, ukłonił się kapitanowi złożywszy ręce na piersiach, i usiadł u steru, przy którym nasz sternik miejsca mu ustąpił. Szedłem za nim i nie spuszczałem go z oczu; postrzegłem, że po chwili wykrzywił twarz, jak gdyby miał coś w gardle czego nie mógł ani połknąć ani wyrzucić, nakoniec po wielkich usiłowaniach dokazał wymówić te dwa słowa: *na prawo*. Czas było aby mu z gardła wyszły: jeszcze sekunda, a byłyby go udusiły. Po małym przestanku porwał go znowu ten sam paroxyzm; lecz tym razem aby wyrzec: *na lewo*. Były to dwa jedyne francuzkie słowa których się nauczył: widać że filologiczne jego wychowanie ograniczyło się na niezbędną konieczność.

Słownik ten, chociaż tak ograniczony, był jednak dostatecznym na doprowadzenie nas do wyśmienitego stanowiska. Baron Taylor, kapitan Bellanger, Mayer i ja, wskoczyliśmy w szalupę, a z szalupy na ziemię. Niepodobna opisać co się działo we mnie, gdy m się gruntu dotknął nogą; nie miałem czasu zgłębiać moich uczuć, gdyż niespodziany wypadek wyrwał mnie z zachwycenia.

Jak na ulicach paryżkich widzimy fiakry i kabriolety, tak tam na piasku przystani, oślarze czekają na przybywających. Znajdziesz ich wszędzie, gdzie tyl-

ko człowiek może stąpić nogą, przy wieży czworograniastej, przy kolumnie Pompejusza, przy obelisku Kleopatry. Lecz trzeba wyznać na ich pochwałę, że przewyższają w uprzedzającej grzeczności i uporze naszych stangretów rozwodzących do Sceaux, Pantin i Saint-Denis. Nie postrzegłem jak mnie pochwycono, uniesiono, wsadzono na osła, zrucono z mego bieguna, przesadzono na drugiego, tego znowu przewrócono na piasek, a to wszystko pośród krzyków i rżów tak pośpiesznych, że nie miał czasu najmniejszego stawić oporu. Korzystając z chwili wytchnienia, jaką mi zjednała walka nad mojem ciałem toczona, obejrzałem się w około siebie, i postrzegłem Mayera w przykrzejszém jeszcze położeniu: był zupełnie jeńcem, i pomimo jego krzyków, osłarz galopem wprowadził go na swoim osle. Pobieglem mu na ratunek i wydarłem go z rąk niewiernego; rzuciliśmy się oba natychmiast w pierwszą uliczkę co się nam nadarzyła, aby uniknąć téj ósmej plagi egipskiej, o której Mojżesz nas nie uprzedził; lecz nas wkrótce dogonili osłarze, gdyż dla większego pośpiechu wsiadłszy na swoje bydlątka, mieli nad nami przewagę konnicy nad piechotą. Tym razem, nie wiem jakby rzeczy poszły, gdyby dobrzy Muzułmanie, poznawszy z ubioru że jesteśmy Francuzami, nie ulitowali się nad nami, i nie zagadawszy do nas, nie uprzedziwszy nas najmniejszym znakiem o swojej ku nam życzliwości, przyszedli nam na ratunek, rozganiając upornych napastników, tegiemi razy kańczuków z hipopotamowych kiszek. Wyświadczywszy nam tę przysługę, odeszli nie czekając na nasze podziękowania.



Zapusciliśmy się dalej w miasto; postąpiwszy za-  
ledwie sto kroków, poznaliśmy jakieś nierozsądnie  
odrzucili osiarę osłarzy; osły są kabryoletami krajowe-  
mi, i prawie niepodobna bez nich się obejść pośród  
nieprzebytego błota. Z przyczyny upału muszą tu  
polewać ulice pięć lub sześć razy na dzień: policyj-  
ne to urządzenie poruczone jest fellahom, którzy prze-  
chadzają się ze skórzanemi workami pod pachą, przy-  
ciskają je kolejno aby z nich woda wytryskała: te  
mu skrapianiu towarzyszą dwa słowa arabskie wy-  
mawiane jak najjednostajniej, a które mają znaczyć:  
*Strzeżcie się na prawo, Strzeżcie się na lewo*. Dzię-  
ki tym przenośnym polewaczom, podobnym do kob-  
ziarzy, woda i piasek tworzy pewien rodzaj massy,  
z której tylko osły, konie i wielbłądy mogą się wy-  
dobyć; chrześcian chronią ich bóty; lecz biedni ara-  
robie zostawiają w niej swoje pantofole.

Jednak był to tylko początek naszych przygód,  
Wyszedłszy z ciasnej uliczki w którąś się zapuścili  
ujrzeliśmy się pośród smrodliwego bazaru; było to  
jedno z owych zapowietrzonych siedlisk, z których  
zaraza morowa, jeden lub dwa razy do roku, czerpa  
przegniłe wyziewy i po całym rozszerza je mieście;  
lecz jakkolwiek śpieszyliśmy się go przebyć, tak był  
zawalony pakami, osłami, kupcami i wielbłędami,  
że przez kilka chwil szturchano nas, popychano, przy-  
lepiano prawie do sklepów, i nie mogliśmy ani jedne-  
go kroku postąpić. Jużemy się chcieli cofnąć, gdy-  
śmy postrzegli Kiadego, który podobnie jak w *Tysiąc  
i jedna nocy*, odbywał przegląd na czele swoich ka-  
fasów. Za ledwie postrzegł że droga publiczna była  
załamowana, zwrócił poważne kroki ku téj stronie,

i z cudowną bezstronnością, on i jego posługacze, zaczęli okładać wielkimi razy, grzbiety bydła i ludzkie głowy. Skutek był niezawodnym, i wkrótce utworzył się wyłom; Kady przeszedł pierwszy, a my za nim; cyrkulacya znowu rozpoczęła się po za nami; jak rzeka co do właściwego nurtu powraca. O sto kroków ztamtąd, Kady udał się na prawo, a my na lewo, on aby w inném miejscu przywrócić porządek, my aby się udać do konsula.

Przez pół godziny blisko, szliśmy przez wąskie nierówne i krzywe uliczki, przy których prawie wszystkie domy mają wystające dachy, a najwyższe piętra są prawie zupełnie ciemne. Napotkaliśmy po drodze kilka meczetów, w ogóle nie bardzo się odznaczających; dwa lub trzy w całym mieście są tylko ozdobione madenhami (1). Przy drzwiach owych meczetów, których nigdy nie przestąpiła noga gaura, siedziały kupy prawowiernych, paląc tytuń lub grając w maugallach (2); nakoniec, strawiwszy blisko godzinę na odbycie drogi, wynoszącej ledwie ćwierć milki, przybyliśmy do naszego konsula.

Pan de Mimaut jak najuprzejmiej nas przyjął. Odznaczający się literat, niespracowany archeolog, obroń-

---

(1) To samo co minaret, rodzaj wieżyczki, z której mucczin zwołuje wiernych na modlitwę.

(2) Kawałek drzewa cedrowego lub dębowego, tworzący długi czworokąt; w nim wyżłobione są pół-kuliste dziurki, niekiedy wysadzone perłową macią. Jest to rodzaj tryktaku, w który każda strona gra trzydziestoma szczęcioną muszellkami.

ca nie tylko praw lecz godności naszego narodu, każdemu Francuzowi udziela gościnności i obrony. Przyjął nas w wielkim pokoju, gdzie przebywali niegdyś Bonaparte, Kleber, Murat, Junot, i kilku innych najwaleczniejszych i najślawniejszych generałów naszej wyprawy. Wszyscy przybywszy tutaj przyswoili sobie orientalne życie, kawę i cybuchy. będące zwyczajną i najmiłą rozrywką w téj krainie. Palili tytuń, siedząc na szerokich sofach okrążających pokój, i pokazano nam w kilku miejscach podłogi, ślady ich długich fajek. Wymieniam te drobnostki, dowodzące jak najmniejsze szczegóły naszego pobytu w Egipcie, głęboko zostały wyryte w pamięci jego mieszkańców.

Po ożywionej rozmowie, jaką zwykle toczą pomiędzy sobą ziomkowie, o tysiąc mil oddaleni od rodzinnego kraju, w ciągu której Pan Taylor wyszczególnił powody swojej podróży i poselstwa zleconego mu do Paszy, rozkazaliśmy sprowadzić przewodników i osły; bo już uleczyliśmy się z zapału do pieszych wędrówek, i udaliśmy się ku bramie Mahmudi, wiodącej do zwalisk staréj Alexandryi. Teraz, wolni od błota i spokojnie siedząc na osłach, mogliśmy czynić nasze uwagi, ciekawsze w Egipcie jak gdziekolwiek bądź indziej. Wszystko, dla nas Paryżanów, było przedmiotem zadziwienia; porządek fizyczny i towarzyski zdawał się nam być do góry nogami przewrócony; było to niebo i ziemia, jakich gdzie indziej znaleźć niepodobna, język nie mający styczności z żadnym innym językiem, obyczaje téj tylko ziemi właściwe, lud zdający się całkiem wspak brać nasze społeczeńskie pożyacie. U nas noszą długie włosy, a golą bro-

dy; muzułmanie przeciwnie, gołą głowę a brodę zapuszczają. Karzemy wielożeństwo, a nałożnictwo cechujemy piętnem hańby; u nich pierwsze w największym jest względzie, a drugiemu żadnych granic nie kładą. Kobięta, w naszym poźyciu jest małżonką, przyjaciółką, siostrą; w ich poźyciu jest tylko niewolnicą, niewolnicą nieszczęśliwszą od wszelkich innych niewolników; całe życie prowadzi jak branka, sam tylko jęj pan może się zbliżyć do jęj mieszkania. Im jest piękniejszą, tém jest nieszczęśliwszą, bo wówczas jęj życie na jednęj prawie wisi nitce: skoro podniesie zasłonę, głowa jęj spada!

Wyszedłszy z bramy Mahmudi, zboczyliśmy o kilka kroków, aby obejrzeć nie wielki wzgórek, noszący dziś jeszcze wspaniałe miano twierdzy Bonapartego. Alexandrya jest miastem tak nizko leżącym, iż inżynierom francuzkim dość było nagromadzić kilka garści ziemi i zatoczyć baterią, aby ją zmusić do poddania. Oddawszy cześć i pokłon temu nowoczesnemu wspomnieniu, zagłębiliśmy się całą duszą w starożytności.

Stary Egipt, Egipt co wraz z Nilem wypłynął z Etyopii, istnieje dotąd tylko w zwaliskach Elefantyny i Tebów. Zastąpił ich miejsce Trojański Memfis, i pod murami swemi widział upadek Psammenitów i państwa Faraonów, które Kambyzes przekazał następcom. Daryusz panował; mocarstwo jego rozciągało się od Indu aż do morza Czarnego, od Jaksarty aż do Etyopii. Dokonywając dzieła poprzedników, którzy od pięćdziesięciu lat posiadli Grecyą azyatycką i napastowali europejską, bądź milionami ludzi, bądź złotem i intrygami, Daryusz marzył o trzecim napa-

dzie, gdy w jednej z owych greckich prowincyi, ograniczonej na wschód górą Athos, na zachód Illyryą, na północ Hemusem, a na południe Olimpem, powstał młody dwudziesto-dwu letni mocarz, postanowił zwalić to ogromne państwo, i dokazać tego, o co Cymon, Agezylaus i Filip nadaremnie się pokuszali. Młody ten monarcha był Alexander.

Zgromadził trzydzieści tysięcy piechoty, cztery tysiące jazdy, wystawił flotę złożoną ze stu sześćdziesięciu galer, zaopatrzył się w siedemdziesiąt talentów złota, zabrał żywności na dni czterdzieści, wypłynął z Pelli, okrążył brzegi Amfipolisu, przeszedł Strymon, przebył Hebr, w dwudziestu dniach dostał się do Sestos, wysiadł bez żadnego oporu na brzegi Azji mniejszej, zwiedził królestwo Pryama, uwieńczył kwiatami grób Achilleśa, dziada swego po matce, przebył Granik, zbił satrapów, podbił Missyą i Lidyą, wziął Sardy, Milet, Halikarnas, podbił Galacyą, przeszedł Kapadocyą, ujarzmił Cilicyą, napotkał Persów na płaszczyznach Issus i pogonił ich przed sobą jak kurzawę, doszedł aż do Damaszku, zwrócił się do Sydonu, wziął szturmem i zburzył Tyr bogaty, trzy razy obszedł mury Gazy, włokąc za swoim wozem wodzicę Betisa, jak niegdyś Achilles włókł Hektora; zwiedził Jerozolimę i Memfis, złożył ofiary Bogu hebrajczyków i bożyszczom egipcyan; puścił się Nilem, obejrzał Kanopę, okrążył jezioro Marcotis, i przybył nakoniec na brzeg północny;—uderzony pięnością tego wybrzeża, siłą jego położenia, umyślił nadać rywalkę Tyrowi, i zalecił architektowi Dinokrates zbudować miasto, noszące miano Alexandrya.

Posłusznym był architekt, zakreslił przestrzeń na piętnaście tysięcy kroków, której nadał kształt macedońskiego płaszcza; przerznął swoje miasto dwoma głównymi ulicami, aby północny wiatr mógł je swobodnie odświeżać. Pierwsza z tych ulic rozciągała się od morza aż do jeziora Mareotis, i miała dziesięć stadyów, czyli 1250 kroków długości; druga przerzynała miasto na podłuż, i miała czterdzieści stadyów, czyli 5000 tysięcy kroków z jednego końca do drugiego. Obie na sto kroków były szerokie.

Powstające miasto nie zwiększało się zwolna jak inne miasta, lecz nagle od razu wzrosło. Alexander założył jego fundamenta, pojechał do świątyni Amona, kazał się uznać za syna Jowiszowego, a gdy wrócił, nowy Tyr już był zbudowany i zamieszkały. Wówczas, bohater dalej się puścił w zwycięzki swój obieg. Alexandrya, położona pomiędzy jeziorem i dwoma przystaniami, słyszała odgłos jego kroków zapuszczających się pomiędzy Eufrat i Tygrys; zawieja wschodniego wiatru doniosła jęj rozgłos o bitwie pod Arbellą; dalekie echo udzieliło jęj wieść upadku Babilonu i Suzy; widziała gorejący na widoku pożar Persepolisu; potem, cały daleki ten rozgłos zgaśł po za Ekbataną, w pustyniach Medyi i po nad brzegami rzeki Arias.

W ośiem lat później, Alexandrya ujrzała jak wprowadzono do jęj murów wóz pogrzebny, posuwający się na dwóch osiach, około których toczyły się cztery koła perskie, ze złożonemi sprychami. Dwie szczeroko - złote głowy, których paszczęki trzymały włócznie, tworzyły tych kół przyozdobienie. Były cztery dyszle, do każdego zaprzężono cztery muły w jarz-

mie. Każdy z nich miał złotą koronę na głowie, złote dzwonki po obu szczękach, a na szyi łańcuch z drogich kamieni. Na tym wozie był sklepiony pokój ze złota, kopuła jego ozdobna była w rubiny, karbunkły i szmaragdy. Przed tym pokojem znajdował się złoty przysionek, wsparty na kolumnach jońskiego porządku, a w tym przysionku cztery wisiały obrazy. Pierwszy z tych obrazów wystawiał wóz bogatęj roboty; na nim siedział mocarz trzymający wspaniałe berło; około niego postępowała w uzbrojeniu Macedońska gwardya i Perskie zastępy. Drugi obraz składały słonie na wojenną uzbrojone wyprawę, niosące na szyi Indyan, a na grzbiecie Macedończyków zbrojami okrytych. Na trzecim wyrażono konnicę, naśladowającą obroty używane w czasie bitwy. Czwarty nakoniec przedstawiał okręta w szyku bojowym, gotowe uderzyć na flotę w dali dojrzaną. Po nad tym pokojem, to jest po nad sufitem i dachem, cała przestrzeń zajęta była czworograniastym złotym tronem, ozdobnym w wypukłe postacie, z których zwieszały się złote pierścienie, a w tych pierścieniach przesunięte były upłoty kwiatów, codzień odświeżanych. Na samym szczycie była złota korona, dość obszerna aby w swoim okręgu mogła pomieścić człowieka, a gdy na nią padało światło słoneczne, w błyskawicach rozsyłała w około jego promienie. W owym pokoju znajdowała się nakoniec trumna z lanego złota, w której, na aromatach, spoczywały zwłoki Alexandra.

Jeden z dwunastu wodzów, który przez śmierć bohaterera został królem, wiódł ten orszak żałobny. W tym wielkim podziale, Ptolemeusz, syn Maga, objął dla siebie Egipt, Cyrenaikę, Palestynę, Feni-

cyę i Afrykę. Po tém, jak gdyby palladium jakowe, co przez pół - czwartą wieku, miało panowanie zapewnić jego następcom, zwrócił z przeznaczonęj drogi zwłoki Alexandra i za jego pośrednictwem znalazły grób w mieście, którego kolebkę założył.

Od owego dnia, Alexandria zaczęła zwać się królową, jak niegdyś Tyr, Ateny, a później Rzym miał się nazywać; jęj szesnastu królów i trzy królowe, każde z osobna dołączyło kosztowny kamień do jęj korony. Ptolomeusz nazwany od Rodyjczyków Soter, albo zbawca, rozkazał zbudować latarniową wieżę, groblą połączył wyspę z lądem stałym, z Synopy do Alexandryi przeniósł wyobrażenie bóstwa Serapisa, i założył sławną bibliotekę spaloną przez Cezara. Ptolomeusz drugi, przezwany szydersko Filadelfem, dla tego że prześladował swoich braci, zebrał i kazał przetłómaczyć po grecku księgi hebrajskie, i zostawił nam przekład, zwany: *Przekładem Siedemdziesięciu*. Ptolomeusz IIIci, rzeczony dobroczynny, zapuszcza się w głąb Baktryany, i przynosi do ujścia Nilu, bogów starego Egiptu, zabranych przez Kambizesa. Teatr, muzeum, gimnazjum, stad, pannion, łaźnie, wzniosły się pod ich następcami. Obszerną przestrzeń ziemi sześcioma przerznięto kanałami; cztery biegly od Nilu do jeziora Mareotis; piąty prowadził z Alexandryi do Kanopy; szósty nakoniec przechodził przez cały przesmyk, przerzynał dzielnicę Rhakotis, i poczynając się od portu Kibetos, wpadał do jeziora obok bramy słonecznej.

Teraz, ze starożytnego miasta pozostała tylko grobla, dziś zwiększona i umocniona, a na której zbudowane jest nowe miasto. W pośródku niekształtnych



zwalisk, pomiędzy któremi rozpoznać jednak można ruiny łażien, biblioteki i teatrów, stoi tylko w całości kolumna Pompejusza i jeden z obelisków Kleopatry, gdyż drugi jest powalony i na wpół zagrzebany w piasku. Cała część która była niegdyś wyspą, a na której wschodnim brzegu wznosiła się dawniej cytadella i sławna wieża z morską latarnią, oświetającą na trzydzieści mil odległości, jest teraz tylko płaskiem i pustym wybrzeżem, w kształcie półksiężyca okalającym nowe miasto.

Kolumna Pompejusza jest marmurowym słupem z koryntskim kapitelem, spoczywającym na massie starożytnych szczątków i odłamów egipskich. Miano które nosi, a które jej nadali tegocześni podróżnicy, żadnej nie ma styczności z jej początkiem, który, gdyby można wierzyć greckiemu napisowi, zasięgałby ledwie czasów Dyoklecjana; ku stronie południowej pochyliła się nasiedem blisko cali; prócz tego, ani kapitel ani podstawa nigdy ukończonemi nie były. Co do wysokości, téj nie mierzyłem, lecz przechodzi prawie o dwie trzecie, palmy w około niej rosnące.

Co tak zwanych igieł Kleopatry, z których jedna, jakśmy wspomnieli, dotąd stoi, a druga jest obalona, są to obeliski z czerwonego granitu, noszące trzy rzędy napisów, o każdej stronie. Faraon Meris, na tysiąc lat przed Chrystusem, wydobyl je z kopalni w łańcuchu gór libijskich, jak ze sztuca do klejnotów i potężną swoją ręką wzniosł przed świątynią słońca. Powiadają, że Alexander, pozazdrościł ich Memfisowi, a Kleopatra, pomimo szemrań miasta, wydarła mu je jako klejnoty, w które niegodnym już było się stroić. Starożytne czworograny, służące za

podstawę owym obeliskom, istnieją dotąd i spoczywają na soklu o trzech stopniach, są budowy grecko-rzymskiej i architektoniczną datą służą na poparcie podania gminnego, odnoszącego budowę na 38 lub 40 lat przed Chrystusem.

Od dwóch godzin blisko, błądziliśmy pośród tych zwalisk, ze Strabonem i Plutarchem w ręku, gdy spojrzenie moje padło przypadkiem na białe pantaloney Mayera; były czarne od stóp aż do kolan, a popielate od kolan aż do bioder. Sądziłem z razu, iż spiesząc się odwiedzić zwaliska, został we wczorajszych pantalonach, w których przebył błotniste ulice Alexandryi; lecz postrzegłem w krótko, baczniejszą uwagę zwróciwszy na to zjawisko, że ciemny ten odcień, który coraz bardziej oddalał się od ziemi, był ruchomym i z szczególnej jakowéjsz musiał pochodzić przyczyny. Niezwłocznie spojrzałem na siebie; jeden rzut oka dostatecznym był na poznanie przerażającej prawdy: byliśmy okryci pchłami.

Nie pozostawało nic lepszego uczynić w tej ostateczności, jak udać się natychmiast do łaźni, o której rokoszach słyszeliśmy tak często; za ledwie też pierwszy z nas myśl tę podał, cała karawana przyjęła ją jednozgodnie. Skinęliśmy na przewodników aby nam przyprowadzili osły; każdy jak mógł najzgrabniej dosiadł swego bieguna, i galopem puściliśmy się do miasta; lecz za ledwie powierzyliśmy naszemu tłómaczowi w jakim wracamy celu, natychmiast twarz jego przybrała wyraz niezmiernego przerażenia: łaźnie były dla nas przez cały dzień zamknięte, i szło o naszą gło-

wę gdybyśmy je chcieli otworzyć. Oto przyczyna tego zakazu:

Piątek jest niedzielą u Turków; a sobota przeznaczona jest na niewieście oczyszczania, i w dniu tym łaźnie wyłącznie są przez kobiety zajęte. Widzieliśmy téż przechodzące gromady kobiet, okrytych czarnym lub białym jedwabnym płaszczem, w żółtych bóci-kach, z twarzą zasłoniętą sztuczką materyi, długiej na półtory blisko stopy, a jak twarz szerokiej; owe zasłonki, podobne do bródek dominowych masek, zakończają się spiczasto, wiszą na twarzy począwszy od oczu i łączą się z zasłoną zakrywającą czoło łańcuszkiem ze złota, pereł lub muszli, podług możności lub kaprysu właścicielki. Wszystkie te kobiety, nie wychodzące nigdy pieszo, jechały na osłach; rzezaniec przewodniczył na czele orszaku z batem w rękę. Widzieliśmy podobne szwadrony składające się z sześćdziesięciu, ośmdziesięciu, a nawet i stu kobiet; za niektórymi postępował ich pan, co z przyczyny religijnego obrzędu dającego powód téj wycieczce, zdawało się nam ze strony tych ichmościów niezmierną tchnąć próżnością.

## II.

### D A M A N H O U R.

Pan Taylor musiał czekać w Aleksandryi na Paszę, a nie chcąc abyśmy na próżno drogi czas tracili, wysłał Mayera i mnie na odrysowanie meczetów owego miasta *Tysiąca i jednej nocy*, które Arabowie nazywają *El Masr*, a francuzi *Kairem*. Opuściliśmy Ale-

ksandryą z rana 2go Maja; każdy z nas jechał na osle; towarzyszyło nam dwóch osłarzy, i służący nasz Mohamed idący pieszo.

Był to młody Nubijczyk, silny, zwinny i pojętny, mówiący trochę po francuzku i po krajowemu ubrany. Ubiór ten nadzwyczaj prosty a zarazem malowniczy, składał się z białych pantalonów i błękitnej tuniki, której szerokie rękawy podpinął jedwabny sznur, krzyżujący się na plecach. Białý zawój otaczał mu głowę; na ramionach zarzucony miał czarny płaszcz zwany *abbaye*, a kibić ściśniętą pasem, za którym zatknęty był pugiuał z rękojeścią ze słoniowej kości. Twarz jego, pełną wyrazu i dowcipu, otaczały pukle długich czarnych włosów; gęsty wąs ocieniał najkształtniejsze usta, a broda, dość rzadka na policzkach, zgęszczała się na podbródku i zakończyła spiczasto.

Oprócz osłarzy i Nubijczyka, orszak nasz składał się jeszcze z dwóch *Kawasów*, czyli żołnierzy miejskiej milicyi, których nam dodał gubernator Alexandryi dla ułatwienia naszej podróży; mieli właściwy sobie mundar, podobny do ubiorów dawnych mameluków, i rozkazano im zapewnić dla nas pomoc i opiekę władz tureckich. W krótkce potrzebowaliśmy ich wsparcia.

Jechaliśmy od kilku godzin drogą wiodącą z Aleksandryi do Damanhuru, i przybyliśmy wreszcie do kanału Mahmudi, który najpewniej jest starożytnym kanałem, prowadzącym wody Nilu z Schedia do Alexandryi. Wojsko tureckie strzegło tego przejścia: okazaliśmy mu nasze *tekeriks* czyli paszporty. Dowódca skłonił się przed hieroglifami którymi były ozdobione, i oświadczył że możemy w dalszą puścić

się drogę, lecz pieszo i bez żadnego orszaku. Zażądaliśmy wytlómaczenia i powtórnie okazali mu paszporty. Na to powtórne wezwanie, dowódca odpowiedział, skłaniając głowę na nowo, że paszporty nasze były jak najlepsze; że wprawdzie wyobrażały w środku plan i wzniesienie kościoła Salomonowego, a po czterech rogach pieczęcie Saladyna i Solimana, miecz i rękę sprawiedliwości Machometa, lecz że nie ściągają się do naszych sług, osłów i osłarzy. Przywołaliśmy wówczas na pomoc Kawasów; lecz nie mogli nam udzielić żadnego zdania względem naszego sporu. Poradzili nam jednak ofiarować z tuzin piastrów dowódcy pogranicznej straży. A że piastr egipski wart zaledwie ośm francuzkich soldów, usłuchaliśmy chętnie ich rady; wkrótce postrzegliśmy że była jak najlepszą. Wnet otworzyła się zaporą kanału, i przeszliśmy tryumfalnie, my, nasze bydła i ludzie. Kawasowie nie towarzyszyli nam dalej: polecenie ich ograniczało się na otworzeniu nam przejścia przez kanał; wiadomo jak je wypełnili. Daliśmy im dla tego *batchis*, to samo co u Niemców *trinkgeld*, u Hiszpanów *buona mencia*, a u Polaków *na piwo*.

Udaliśmy się brzegiem kanału, a po dwugodzinnéj jeździe przez płaską i jednostajną krainę, zatrzymaliśmy się przede drzwiami pewnego greka, zwanego Tuitza, który nas przyjął do swego czworograniastego domku, i pozwolił posilić się w cieniu, pod warunkiem że sami dostarczymy sobie śniadanie, i jego na nie zaprosimy. Gościnność ta przypominała mi gościnność sycylijską, gdzie podróżni zwykle żywią oberżystów.

Po skończoném śniadaniu, pożegnaliśmy się z gospodarzem i w dalszą puścili drogę. Droga z Alexan-

dryi do Damanhuru odznacza się jedynie niepłodnością; postępowaliśmy przez morze piasku, konie i osły grzęzły aż po kolana. Chwilami, pałająca zawiewa zmieszana z kurzawą, zaślepiała nas prawie i czuliśmy że oddychamy skwarным tchem pustyni. To na prawo, to na lewo postrzegaliśmy na wznioslejszych punktach, które podczas zalewu rzeki zamieniają się w wyspy, okrągłe wioseczki; w domach zbudowanych z ziemi lub cegły w kształcie ulów, przebite były małe czworograniaste dziury przepuszczające światło, a jak tylko można najinniej upału. Na koniec, w nierównych, lecz dość bliskich przedziałach, spotykaliśmy po drodze odosobnione groby samotników lub derwiszów, ocienione palmą, pobożną przyjaciółką mogił, po nad którymi z przenikliwym krzykiem krążyły rączę stada jastrzębi.

Może była trzecia po południu, kiedyśmy postrzegli z daleka Dumanhur; było to pierwsze miasto prawdziwie Arabskie któreśmy zwiedzić mieli, gdyż Aleksandrya, jest tylko zbiorem rozmaitych narodów, które przez ciągle ścieranie się między sobą coraz bardziej tracą właściwy sobie charakter i oryginalność.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

### III.

## FRANCYA.

OBRAZ STATYSTYCZNY, OBYCZAJOWY I MAŁOWNICZY.

---

Żadnego kraju nazwisko nie obilo się tylekroć o nasze ucho. Francya wyprzedziła inne narody w ogładzie i wykształceniu towarzyskiem; zajmujące, pełne smaku i lekkości płody jęj pisarzów, upowszechniły język francuzki w całej Europie. Skreślić obraz tego kraju, odgadnąć pośród tysiąca sprzecznych żywiołów prawdziwego ducha mieszkańców, dać wyobrażenie o nagromadzonych w stolicy i znaczniejszych miastach skarbach nauk i sztuk pięknych, nie pominąć przemysłu, handlu, tworów przyrodzenia i zabytków starożytności, jest to w rzeczy samej obszerne i nie łatwe przedsięwzięcie. Lecz nie brakuje do niego materiałów, należy je tylko uporządkować.

### I.

ZARYSY GEOGRAFICZNE I STATYSTYCZNE.

Pomijając pierwsze wiadomości o położeniu i granicach Francyi, znajdujące się w każdej chociażby

najbardziej początkowej geografii, wspomniemy o przemianach którym ten kraj ulegał od najdawniejszych czasów. Przestrzeń ziemi zawarta między Pireneami, Alpami, Renem, Oceanem i morzem Śródziemném, zwana była od Rzymian **Gallią**. Ludy w niej mieszkające, podług świadectw Cezara, sami nazywali się **Celtami**. Ponieważ wojownicy tego narodu zagarnęli część Włoch północnych i w nich osiedli, Rzymianie odróżniali ich siedziby dwoma nazwiskami, jedne zowiąc **Gallią przed-alpejską** a drugą **za-alpejską**. Autorowie łacińscy współcześni Cezarowi, zważając na różnicę ubioru Gallów i na sposób noszenia włosów, rozdzielili obie Gallie na trzy części: **Gallią przed alpejską**, zwali **Gallia togata**, ponieważ jej mieszkańcy przyjęli długą togę Rzymian; południową **Gallią zaalpejską** zwali **Gallia braciata**, z powodu krótkiego ubioru; a reszta **Gallii** otrzymała unich nazwisko **Gallia comata**, gdyż jej mieszkańcy odróżniali się długimi włosami spadającymi aż na ramiona. Cezar nazwał **Prowincyą**, południową część **Galii zaalpejskiej** i podbiwszy ten kraj podzielił go na cztery części, na **Prowincyą** (skąd dotąd jest jeszcze nazwisko **Prowancyi**), i trzy Gallie, **akwitańską**, **belgicką** i **celtycką**, tak nazwane od trzech odmiennych ludów które w niej zamieszkały, **Akwitanów**, **Belgów**, **Celtów**. Aż do piątego wieku **Gallia** zostawała pod panowaniem Rzymian i dzieliła się na dziewięć wielkich prowincyi, podzielonych na 17ście pomniejszych, obejmujących w sobie 115 miast czyli okręgów, wyrównywających w obszerności teraźniejszym departementom i zamieszkałym przez odmienne plemiona.

W piątym wieku, najazdy Franków zmieniły postać **Gallii**; po rozmaitych przemianach losu, gdy po-



toki narodów wyruszonych z miejsc swoich odpłynęły na różne strony i osiadły na miejscu, Gallia została podzielona na trzy wielkie królestwa: Franków, Burgundczyków i Wizygotów. Frankowie rozszerzyli swoje posiadłości, podbili Burgundczyków i część krajów Wizygotów, a Karol Wielki objąwszy rządy po ojcu swoim Pepinie, dokonał dzieła poprzedników i rozciągnął panowanie od rzeki Ebro w Hiszpanii, aż do Elby, Dunaju, brzegów północnego oceanu i krańców ziemi włoskiej. Niezmierne to cesarstwo rozdzieliło się na różne królestwa po śmierci Karola Wielkiego, a gdy korona przeszła w moc nową dynastyi, Gallia podzielona była na osiem państw niezawisłych od siebie i tworzących to, co możemy nazwać rzeczywiście Francją feodálną. Państwa te były: Xięztwo Francyi, xięztwo Normandyi, xięztwo Bretanii, xięztwo Gaskonii, xięztwo Akwitanii, xięztwo Burgundyi, hrabstwo Tuluzy i hrabstwo Flandryi. Wszystkie te główne kraje dzieliły się na rozmaite prowincye.

Gdy Hugo wielki, głowa dynastyi Kapetów, obrany został w roku 987 królem Francuzów, xięztwo Francyi składało się tylko z Pikardyi, Ile de France i z kraju orleańskiego. Xięztwo to przybrało wówczas imię królestwa Francyi, a nazwisko Francyi użyte zostało zamiast Gallii dla oznaczenia krajów, podległych bezpośrednio, lub hołdujących królowi Francuzów i przyłączonych w ciągu wieków do posiadłości królewskich.

Królestwo powiększało się ciągle i królowie Francyi nie opuścili żadnej sposobności do tego celu zmierzać mogącej. Nie licząc podbojów Napoleona, które posunęły granice Francyi za Ren, Alpy i

Pireneje, a które odpadły z upadkiem tego wojownika, wcielanie prowincyi składających dawną Galię, do królestwa Francyi, ciągnęło się od roku 1205 aż do 1766. Szczegółowy zarys tych nabytków, strat wojen, znajdują czytelnicy w właściwej historii francuzkiej.

Teraźniejsza Francya liczy 86 departamentów, ich wymienienie i stołeczne miasta, są wypisane w geografiach do podręcznego użycia przeznaczonych (\*).

Powierzchnia Francyi obliczona jest przez PP. Chaptal, Prony, Bottin na 53 do 54 milionów hektarów, czyli włok naszej miary 3,200,000. Z tego blisko  $\frac{2}{5}$  jest roli uprawnej,  $\frac{1}{7}$  lasów,  $\frac{1}{15}$  łąk  $\frac{1}{15}$  pastwisk,  $\frac{1}{30}$  winnic i t. d.

Z dwóch stron, od południa i wschodu, otaczają Francją pasma wysokich gór, są to Alpy i Pyreneje, a ich odnogi zapuszczają się w głąb kraju i przybierają nazwisko gór Jura, Vosges, Cewennów, Overnii. Nadbrzeża morskie od strony zachodniej ciągnące się nad oceanem atlantyckim, są płaskie i piaszczyste; między rzekami Girondą i Loarą są bardzo niskie, tworzą bagniska i zbiory wody słonej; za Loarą zaczynają się podnosić i większa ich część aż do przyładku Finisterre jest stroma, najeżona granitowemi skałami i rozdarta mnóstwem zatok. Nie daleko brzegów znajduje się kilka wysp zasługujących na uwagę, jakoto wysepka *Corduan* przy ujściu Garonny, na której stoi sławna latarnia morska, *Rhe*, *Yeu*, *Noirmoutiers*, *Belle-Ile*. *Ouessant*. Znaczniejsze porty są, Saint

---

(\*) Jako to Ansarta, Sztejna, Szacfajera i t. d.

Jean de Lutz, Bajonna, Roszella, Vannes, Lorient i Brest. Bordeaux, Rochefort i Nantes, znajdujące się nad rzekami wpadającymi do Oceanu atlantyckiego, liczą się także do portów morskich, Brzegi północno-zachodnie ciągną się od przylądku Finisterre aż do Dunkierki; są nierówno powycinane i składają się z wyniosłych skał wapiennych. Główne porty, na tych brzegach są Morlaix, Saint-Malo, Cherbourg, Havre, Dieppe, Boulogne, Calais i Dunkierka. Miasto Rouen leżące nad Sekwaną w znacznej odległości od morza, ma także bardzo uczęszczany port handlowy. Brzegi południowowschodnie nad morzem Śródziemnym, są od Portu Vendre aż do Marsylii płaskie i piaszczyste, i nie mają wygodnych portów i zatok; od Marsylii aż do Var wznoszą się i mają znaczną liczbę wygodnych i bezpiecznych portów, jakoto: Marsylia, Tuluza, Frejus, Antibes.

Francya mało ma jezior lecz za to mnóstwo stawów i nadbrzeżnych bagnisk. Jeziora w górach Owernii znajdują się w znacznej wysokości i po większej części zapełniają otwory dawnych wulkanów. Rzek znaczniejszych jest 24, a z tych sześć, Ren, Moza, Sekwana, Loara, Gironda i Rodan należą do najznaczniejszych w Europie; rzek zdatnych do spławu towarów i do żeglugi jest 122: łatwo przeto możemy sobie wyobrazić o ile przyczyniają się do ożywienia handlu. Lecz nie poprzestano na żegludze *naturalnej*; żegluga *sztuczna*, to jest kanałami, niemniej jest ważną we Francyi. Nie doszła jeszcze do tego stopnia doskonałości jak w Hollandyi, Anglii i Stanach Zjednoczonych, jednakże przewyższa inne narody Europy i we wszystkich epokach, od czasów Ludwika XIV, rząd ło-

żył na budowę kanałów i wszelkimi siłami przykładał się do ich pomnożenia; 74 kanały już są ukończone, 16 rozpoczętych a 24 zamierzonych. Główne kanały są: 1. *Kanał Południowy* zwany także *kanałem dwóch morz,* łączący przez Garonnę ocean z morzem Środiemném, zaczyna się poniżej Tuluzy, idzie przez Castelnau dary i przez Carcassonne, obmywa miasto Bezieres a poniżej Agde wpada w staw Thau który przez port Cette łączy się z morzem Środiemnem. Niezmierne wodozbiory, liczne szluzy, sklepienia, wydrążenia w skałach poczynione, wielkość jego 72 mostów i 75 wodociągów, mieszczą ten kanał w pierwszym rzędzie prac hydraulicznych i nie było mu równego, gdy został ukończony w 1681. Jest to dzieło Ludwika XIVgo.

Kanał środkowy łączy Loarę z Saoną, ukończony był w 1790; kanał *Monsieur* łączący Ren z Rodanem, zaczęty za Napoleona, ukończony jest za Ludwika XVIII. Kanał Burgundzki połączy Yonnę z Saoną a przez to otworzy związek bezpośrednio między zachodnimi i wschodnimi prowincjami Francyi.

Zbyteczną byłoby rzeczą, rozwodzić się nad drogami we Francyi; od dawnych czasów rząd czuwa nad ich utrzymaniem; jednakże wiele jeszcze pozostaje do uskutecznienia a zwłaszcza co do dróg drugiego i trzeciego rzędu i znajdujemy częste użalania w izbie deputowanych francuzkich na zły stan dróg prowadzących do miast prowincjonalnych.

Ludność Francyi wynosiła w 1835, roku 32,569,323 mieszkańców. Francya powstała ze zlewku rozmaitych prowincyi; lud prosty zachował dotąd dawne swoje języki i dyalekta, i tylko w 26 departementach, w okolicach Paryża, Tours i Blois, między Sekwaną i Loarą, pospólstwo mówi językiem francuzkim, mniej

lub więcej wykształconym. Za Loarą już nie można być zrozumianym mówiąc po francuzku; 800,000 Bretonów mówi dawnym językiem Celtów; nad granicą Hiszpanii liczą 200,000 Basków, których język do żadnego europejskiego nie jest podobny; część Lotaryngii mówi po niemiecku; w północnych departamentach panuje język flamandzki; w południowych żyją dotąd w całej mocy rozmaite dyalekta języka romańskiego. Ma się rozumieć, że wszyscy mieszkańcy mający jakiegokolwiek wykształcenie, mówią po francuzku i ciągle używanie tego języka w wszelkich czynnościach rządowych, upowszechnia go między gminem. W ogólności, obliczono, że trzecia część ludności krajowej mieszka w miastach, reszta w wioskach lub pojedynczych domach i osadach. Pod względem wyznań, jest 30,460,000 katolików, reszta zaś kalwinów, lutrów i innych różnowierców.

Francya była w początkach za dynastyi Merowingów, monarchią wybieralną; chociaż zwykle syn obejmował rządy po ojcu, było kilka przykładów przerwy w następstwie. Od początku trzeciej dynastyi stała się państwem dziedzicznym z wyłączeniem kobiet i dotąd utrzymuje się ta zasada. Moźni panowie mieli wielką przewagę w kraju; podkopał ją Ludwik XI; Kardynał Richelieu dokończył jego dzieła; Francya zamieniła się w jedynowładną monarchią i różnorodne części tego wielkiego ciała zrosły się w jedną całość. W skutku przemian i wstrząśnień zaszłych w ostatnich pięćdziesięciu latach, Francya jest monarchią dziedziczną reprezentacyjną, mającą izbę deputowanych, izbę parów i odpowiedzialnych ministrów, w których ręku zostaje administracya kraju. Francya dzieli się na departamenta, zarządzane przez prefektów;

departamenta dzielą na podprefektury czyli okręgi, te zaś na kantony.

Aż do połowy przeszłego wieku, Francya posiadała liczne i kwitnące osady, jako to: w Afryce Senegal i wyspę Goreę; na oceanie indyjskim wyspę Madagaskar, Burbon, Ile de France; w Azji Pondiszerri i Chandernagor: w Ameryce Gujanę, u Gwadelupę, Martynikę, Świętą Łucyę, część wyspy Ś. Domingo, Luizyanę, Przylądek Breton, Nową ziemię i Kanadę. Pod czas wojen za Ludwika XVgo, XVIgo, rewolucyi i Napoleona, postradała prawie wszystkie osady i traktatem wiedeńskim w 1815; przywrócono jęj tylko w Azji, Pondichery w Karnatiku, Chandernagor w Bengalu i Mate w Malabarze; w Afryce osady w Senegambii i wyspę Burbon; w Ameryce Gujanę, wyspy Martynikę i Gwadelupę, i kilka wysepek zwanych Ś. Piotra niedaleko Nowej Ziemi. Zdobyćcie Algieru w ostatnich czasach panowania Karola Xgo, pomnożyło osady Francyi.

Siła zbrojna lądowa składa się z wojska liniowego i gwardyi narodowej. Wojsko liniowe wynosi 238,694 piechoty, 44,498 jazdy, 2,877 artyleryi i 600 dział, 2,764 inżynierów 3,279 pociagu, do którego należy 4326 koni i 924 wozów, i 15313 żandarmów. Francya posiada znaczną liczbę fortec, z których kilka należy do rzędu najpierwszych i najobronniejszych w Europie. Znaczniejsze fortece są, *Dunkierka, Bergues, Lille, Douai, Cambrai, Valenciennes, Condé, Maubeuge, Avesne, Rocroy, Givet i Charlemont, Mezieres, Sedan, Thionville, Metz, Bitche, Weissenbourg*, na granicy północnej wzdłuż posiadłości belgickich, holenderskich, pruskich i bawarskich; *Ha-*

*genau*, *Strasburg*, *Scheelestadt* i *Nowy Brisach* na granicy wschodniej Niemiec; *Belfort*, *Besançon* i nowa warownia *Ecluse*, na tejże samej granicy od strony Szwajcaryi; *Grenoble*, *Briançon* na granicach królestwa Sardyńskiego; *Perpignan*, *Bellegarde*, *Mont Louis* na granicy Hiszpanii od strony wschodniej; *Saint-Jean-Pied-de-Port* i *Bajonna*, od strony zachodniej. Porty wojenne i warsztaty okrętów są w *Brest*, *Tulon*, *Rochefort*, *Cherbourg* i *Lorient*. Budują także korwety wojenne w *Bajonnie*, *Nantes* i *Saint-Servan*. Do gwardyi narodowej należą wszyscy obywatele kraju. Głównym celem tej instytucyi jest utrzymanie porządku wewnętrznego i odpieranie zamachów burzycieli i podżegaczy; gdyż obywatele ją składający, posiadając własność gruntową, zakłady przemysłowe lub handlowe, urzędy albo stałe zatrudnienia i obowiązki, najwięcejby szkodowali na nowém jakimś wstrząśnieniu polityczném. Gwardya Narodowa dzieli się na ruchomą i nieruchomą; ogólna liczba obywateli zapisanych do kontroli Gwardyi Narodowej jest 3,780,000 z tych 1,945,800 ruchomych, czyli pełniących służbę. Francya pod względem wojskowym, dzieli się na 19 dywizyi czyli okręgów. Siła morską, wynosiła w epoce powrotu Burbonów, 71 okrętów, z których 19 było na warszłacie. Majtkowie i oficerowie nie mieli potrzebnego doświadczenia, a to z tego powodu, iż przez cały czas wojny z Anglią, okręty były blokowane w portach i nie śmiały wyruszyć na morze. Długie lata pokoju rozwinęły żeglugę handlową, a przez to samo ukształciły zdolnych żeglarzy. Marynarka francuzka odznaczyła się zaszczytnie w bitwie pod Nawarynem, w uderzeniu na Algier i teraz świeżo przy blokadzie

Mexyku. Nie na tém ograniczając się jćj zasługi. W czterech żeglugach około świata, odbytych z woli rządu dla pomnożenia wiadomości geograficznych i historyi naturalnej, PP: de Freycinet, Dupernéy, Dumont d'Urville i de Laplace, bogate zebrali plony, a zbiory przez nich ofiarowane ogrodowi królewskiemu, obejmują niezmiernie mnóstwo nieznanych zwierząt i roślin. Marynarka Francyi liczyła w 1833 roku, 287 statków, między temi 33 okrętów, 37 fregat i 37 korwet wojennych 9 korwet aviso, 54 brygów i galliot, 17 parowych statków, reszta zaś pomniejszych od 8 do 4 armat. W tćj ogólnej liczbie było 145 statków uzbrojonych i użytych. Oprócz tego, było na warsztatach 78 rozmaitych okrętów i statków. Liczba armat należących do marynarki wynosiła 11,718 sztuk. Żeglarzy wszelkiego stopnia i stanu, tak na okrętach rządowych jako téż na kupieckich prywatnych jest 143,330.

Ozdoby wojenne na teraz istniejące są, krzyż Śgo Ludwika i order Legii Honorowej. Stopień marszałka jest najwyższym w wojsku lądowym, a stopień admirała w marynarce; liczba marszałków ograniczona jest do 12stu, admirałów do 3. Są dwa wielkie domy inwalidów dla wojska lądowego, jeden w Paryżu obejmujący 4,600 osób, drugi w Awinionie 1,000. Inwalidzi marynarki mają oddzielną kasę, wynoszącą 7,700,000 dochodu i z niej wypłacane są zasiłki kalekom, wdowom i sierotom żeglarzy. Pensye retretowe tak lądowego jak morskogo wojska, są bardzo szczupłe. Maximum pensyi wice admirała i generała broni, wynosi 6,000 franków, a dla jego wdowy 1,500 fr; pensya prostego żołnierza 300 franków, a dla jego wdowy 100 fr: Zakłady naukowe dla wojska są: szkoła artylleryi i



inżynieryi w Metz ; do niej przyjęci są tylko uczniowie szkoły politechnicznej;—Szkola aplikacyjna sztabu głównego w Paryżu;—Szkola Politechniczna w Paryżu;—Szkola jazdy w Saumur;—Szkola specjalna wojska w Saint - Cyr;—Kolegium królewsko wojskowe w la Fleche, dla synów ubogich oficerów. Oprócz tego, każdy pułk ma elementarną szkołę dla żołnierzy i dla ich dzieci. Zależą bezpośrednio od ministerium marynarki:—Szkoly artyleryi w Tulonie i Lorient; Szkoła morska założona na okręcie w Brest, i 44 szkół żeglugi.

*Sądownictwo.* Nie będziemy rozszerzać się nad sądownictwem we Francyi. Tém różni się od naszego, że w miejsce sądu Najwyższej Instancyi ma tylko sąd kassacyjny, sprawy kryminalne podlegają sądowi przysięgłych, a czynności sądów policyi prostiej należą po większej części do Trybunałów cywilnych pierwszej instancyi. Trybunałów tych jest 361, sądów appellacyjnych 27 i jeden sąd kassacyjny na całe państwo.

*Zakłady Naukowe.* Wszystkie zakłady naukowe zostają nad naczelném zwierzchnictwem uniwersytetu. Wielki mistrz uniwersytetu jest zarazem ministrem oświecenia publicznego. Bez upoważnienia uniwersytetu nie można zakładać żadnej szkoły, żadnego zakładu naukowego, oprócz prywatnych początkowych szkółek. W. Mistrz uniwersytetu ma przy sobie *Królewską Radę wychowania publicznego*. Dla kierowania i zarządzania oświatą, Francya dzieli się na akademie, których władza rozciąga się na pewną liczbę departamentów; stolicami tych akademii są te same miasta w których znajdują się sądy apellacyjne, lecz zamiast 27 jest tylko 26 akademii, gdyż Korsyka nie

ma własnéj i zależy od akademii w Aix. Każdą akademią zarządza rektor; ma przy sobie radę akademicką i jest jój prezesem. Rozmaite szkoły mają następujące stopnie starszeństw:

1. Fakultety, czyli właściwe wydziały uniwersyteckie. 2. Kollegia królewskie i kollegia gminne. 3. Instytuta i pensye prywatne. 4. Szkołki początkowe i prywatne. Przy każdej akademii jest przynajmniej jedno kollegium królewskie. Dwunastu inspektorów głównych, ma dozór nad fakultetami, kollegiami i szkołami całego kraju, tak pod względem porządku i karności, jako téż pod względem zdolności profesorów. Przy akademii są, oprócz profesorów fakultetów, jeden rektor, dwóch inspektorów akademii i sekretarz. Przy kollegium królewskiem jest prowizor, cenzor nauk, jałmużnik i gospodarz. Każde kollegium gminne zostaje pod kierunkiem pryncypała, a najznacześniejsze mają jeszcze podpryncypała i jałmużnika. Professorowie mają rozmaite stopnie; oprócz zwyczajnych są jeszcze pr: tytularni, pr: adjunkci, pr: zastępcy i pr: przypuszczeni (agregés). Nauczyciele rysunku kaligrafii i gimnastyki nie należą do urzędników uniwersytetu, lecz do ich rzędu liczą się naczelnicy zakładów i pensyi. Liczba wszystkich urzędników uniwersytetu, razem z professorami, inspektorami, cenzorami, wynosi 9,792 osób. Ogólna liczba zakładów wychowania publicznego zależących od uniwersytetu, wynosiła w końcu 1832 r. 52 wyższych 1,506, podrzędnych, 42,209 początkowych. W liczbie zakładów głównych było, 33 fakultety, to jest 6 teologii katolickiej, 2, protestanckiej, 9 prawa, 3 medycyny, 7 umiejętności, 6 nauk pięknych, 18 szkół lekar-

skich 2go rzędu i jedna szkoła normalna w Paryżu dla kształcenia professorów. Prywatnych instytutów uczenia jest 120, a pensyi 1625.

Ogólna liczba uczniów płci obojędz wynosiła w 1833 16,303 w zakładach naukowych wyższych, 31,036 w kollegiach i pensyach, 1,935,624 w szkołkach początkowych, tak gminnych jako też w *szkołach chrześcijańskich*. Od tego czasu liczba ta znacznie się powiększyła.

Oprócz zakładów podległych uniwersytowi, jest kilka innych nie zależących od niego, lecz zostających tylko pod nadzorem ministerium oświecenia. Najważniejszém jest. 1. *Kollegium Francyi* założone w 1530 przez Franciszka Igo; kursa tego zakładu są publiczne, ma tylko uczniów i słuchaczy przychodzących z miasta; professorowie mianowani są przez ministra oświecenia na przedstawienie zakładu, zgodnie z odpowiednią klasą Instytutu; wykładają tam nauki przyrodzone, historią i moralność, prawo natury i narodów, języki wschodnie, tudzież grecki i łaciński, literaturę starożytną i francuską. 2. *Muzeum Historji Naturalnej*, przy ogrodzie botanicznym w Paryżu. Wykładają tam anatomią, nauki przyrodzone, ogrodnictwo i sztuki chemiczne. Kursa są publiczne. 3. *Szkoła żyjących wschodnich języków* przy bibliotece królewskiej, tamże znajduje się *szkoła Archeologii, szkoła czytania dawnych dyplomatów*.

1. Oprócz fakultetów akademickich, szkół publicznych i instytutów prywatnych, Francya posiada liczne instytuta i towarzystwa, mające na celu wzrost umiejętności i nauk pięknych. Wszystkie dawne akademie francuskie, założone za Ludwika XIII, XIV i

XVgo, zniesione zostały w roku 1792. Następnego roku założono Instytut Narodowy, któremu polecono zgromadzać odkrycia i wynalazki, doskonalić nauki i umiejętności. Kilkakrotnie zmieniano i przekształcano Instytut, ostatnia jego organizacya jest z roku 1822, tytuł zaś ma: *Instytutu królewskiego Francyi*.

Instytut składa się z pięciu akademii. 1. *Akademia francuzka* złożona z 40 członków, utrzymująca się bez przerwy w tym duchu w jakim ją założył kardynał Richelieu za Ludwika XIII; głównym jej celem jest ułożenie dykeyonarza i rozbiór pod względem języka, ważnych dzieł literatury, historyi i nauk. Corocznie rozdaje nagrodę za najlepszą prozę i poezyą, i nagrody ustanowione przez pana Monthyon za czyny cnotliwe i za dzieło najużyteczniejsze dla obyczajów.

2. *Akademia Królewska Napisów i Nauk pięknych*, składa się z 40 członków tytularnych z 10 akademików wolnych, z 8 członków cudzoziemców przybranych i z korespondentów zagranicznych. Uczone języki, starożytności, pomniki, historia, są przedmiotem jej prac, szczególnież stara się o zbogacenie literatury francuzkiej dziełami autorów greckich, łacińskich i wschodnich, które jeszcze tłómaczonemi nie były. Zajmuje się zbiorom postanowień i historyków francuzkich; rozdziela corocznie nagrodę za historią i literaturę starożytną i nagrodę za numizmatykę wyznaczoną przez P. Allier d'Hauteroche.

3. *Akademia królewska umiejętności*, składa się z 65 członków tytularnych, 10 akademików wolnych, 8 członków cudzoziemców przybranych i z korespondentów zagranicznych. Dzieli się na 11ście sekcyi. Akademia rozdaje corocznie nagrody za rozwiązanie

kwestyi przez nią podanej do konkursu, 3 nagrody założone przez pana de Monthyon za statystykę, filozofię doświadczalną i mechanikę; nagrodę za astronomią, założoną przez pana Delalande; nagrody za wydoskonalenie medycyny i chirurgii, oraz uczynienia mniej niezdrowemi rozmaitych sztuk i rzemiosł.

4. *Akademia Królewska sztuk pięknych*, składa się z 40 tytularnych członków z 10 akademików wolnych z 10 korrespondentów i dzieli się na pięć sekcji. Przysądza corocznie, wielkie nagrody malarstwa, rzeźby, architektury, kompozycyi muzykalnej, co dwa lata nagrody za rzeźby, a co cztery lata wielkie nagrody za obrazy historyczne i rznięcie medalów. Artysci którzy otrzymują pierwsze wielkie nagrody, dostają pensyą przez lat pięć i dokończają swego wykształcenia w szkole francuzkiej w Rzymie. 5. *Akademia nauk moralnych i politycznych* składa się z 30 członków, z 5 akademików wolnych z 5 korrespondentów, dzieli się na pięć sekcji. Corocznie przysądza jedną nagrodę za kwestyą z nauk moralnych, albo politycznych. Każda akademia ma swoje oddzielne uposażenie i urządzenie, jednakże administracya, sekretaryat, biblioteka i inne zbiory instytutu wspólne są pięciu akademiom. Corocznie w dniu 1 Maja wszystkie zbierają się na ogólną publiczną sessyą, a prócz tego mają każda osobno publiczne posiedzenia.

Znajduje się także w Paryżu wielka liczba towarzystw naukowych, jako to: *Ateneum królewskie* ustanowione w 1785 pod nazwiskiem Liceum. — *Ateneum sztuk* zał: w 1792, *Towarzystwo Filotechniczne*, *Towarzystwo Geografii*, — *Tow: prac Statystyki powszechnej*, — *Tow: Azyatyckie*, — *Tow. Bibliofilów*; — *Tow: Gra-*

*matyczne;—Tow: powszechnéj cywilizacyi,—Tow: metod nauczania i t. d.* Na prowincyi jest 14 Akademii Królewskich mających na celu nauki, umiejętności i sztuki piękne i 37 znaczniejszych towarzystw naukowych. Do nich doliczyć należy muzea, stowarzyszenia i szkoły sztuk pięknych i nauk. O znaczniejszych tego rodzaju zakładach wspomniemy przy szczegółowym przeglądzie kraju. W Paryżu znajduje się 37 bibliotek publicznych, obejmujących 1,900,000 tomów drukowanych, 108,000 rękopismów 100,000 medalów 1,600,000 rycin i 300,000 mapp i planów. Bibliotek publicznych w departamentach jest 204. a w nich 2,223,000 tomów drukowanych i 50,000 manuskryptów.

*Stan Skarbu.* Jednym z najciekawszych i najważniejszych przedmiotów dla statysty i badacza źródeł pomysłności kraju, jest stan i urządzenie finansów Francyi. Z nich wykaże się jakim sposobem kraj ten zdołał ponieść tyle wysień, przetrwać tyle klęsk i jakie są zasilki i źródła jego materyalnej mocy. W dawniejszych epokach, skarb Francuzki nie był rządzony jak należy. Przyczyną tego było niewykształcenie teoryi finansów, oraz nadużycia i błędy wspólne w owéj epoce wszystkim krajom. Ztąd wynika przewyżka wydatków nad dochodami a za tém ciągle wzrastający dług państwa.

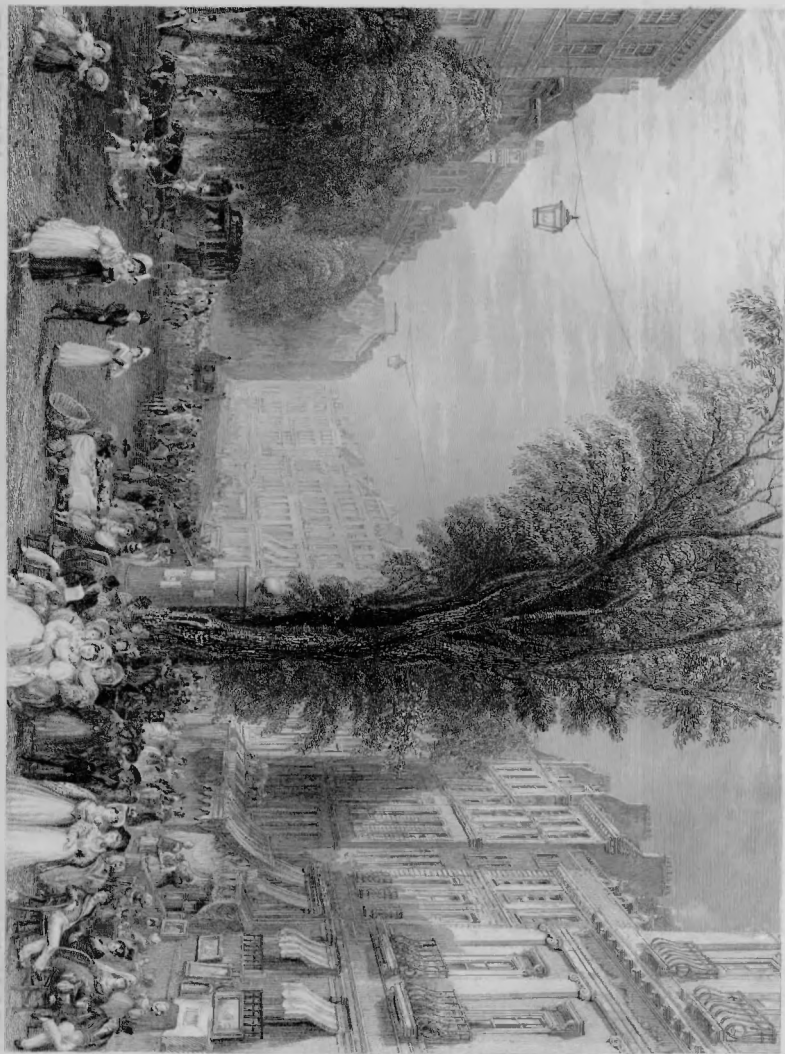
*(Dalszy ciąg nastąpi).*

BELLIOTTA

Nr. Tom

WYICIA MÜNNICHA







## WYCIECZKA DO EGIPTU I ARABII.

(przez *Alexandra Dumas*).

Dalszy ciąg.

Złudzenie wzroku (*le mirage*) przedstawiało oczom naszym miasto jak wyspę otoczoną wodą i mgłą; w miarę zbliżania ulatniały się zwolna wyziewy tego udanego jeziora, i przedmioty w prawdziwym zjawiały się kształcie; cienie nasze przedłużały się przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca, palmy kołysały wdzięcznie zielone swoje parasole przy wieczornym powiewie, gdyśmy zsiadli z naszych biegunów u bram miasta, którego kształtne medenahy wystrzeliwały po nad mury i meczety, ubarwione na przemian w białe i czerwone pasy.

Nim przestąpiliśmy bramę, zatrzymaliśmy się chwilę, aby się przypatrzeć tak nowemu dla nas widokowi. Niebo pogodne, przezroczyste i tak delikatno błękitne, iż żaden pędzel nie zdołałby dać o niem wyobrażenia, stawy otaczające miasto z jednej strony i odbijające jego mury w swój wodzie nieruchomój, długie pasma wielbłądów wiedzione przez arabskich wieśniaków i zwolna wsuwające się do miasta, wszystko nadawało temu cudownemu obrazowi pozór życia, spoczynku i szczęścia, bardziej jeszcze uderzający po owęj pustyni, którą tylko cośmy przebyli.

Chociaż ludność Damanhuru 8,000 dusz wynosi, jedną ma tylko gospodę, Mohamed doprowadził nas do tego błogosławionego karawanseraju, o którym, ufnie w opisy *tysiąca i jednej nocy*, czarowne na przód utworzyliśmy sobie wyobrażenie. Na nieszczęście, nie mogliśmy porównać poezji z rzeczywistością; austerya tak była pełna, że nawet myszy więcej pomieścić nie mogła; mimo prośb i ofiar, musieliśmy się oddalić. Chociaż w wielu już rzeczach byłem odczarowany, pamięć gościnności arabskiej, tak bardzo sławionej przez podróżnych i poetów, znowu stanęła mi na myśli i zacząłem prosić Mohameda, aby chciał wzruszyć właścicieli najwygodniejszych domów, któreśmy napotykali po drodze; lecz wszystko było bezskutecznem: upokorzeni odmówieniem, musieliśmy połączyć się z przyjaciołmi, którzy, przezorniejsi od nas, nie chcieli daremnych czynić zachodów i czekali na nas przy bramach Damanhuru. Nie było w czem wybierać; spojrzałem w około siebie aby upatrzeć miejsce sposobne na nasz obóz, i postrzegłszy klomb daktylowy, kazałem pod jego cieniem rozciągnąć kobierce; po tém pierwszy dałem przykład poddania się wyrokowi Opatrzności, ścinawszy pas i położywszy się tyłem do niegościnnego miasta, co nas odrzuciło ze swego łona.

Na nieszczęście, w przeciwnéj stronie od miasta, i właśnie w zakresie który obejmował promień mego widzenia, wznosił się rokoszy dom arabski, którego białe mury odbijały od lubéj zieloności czuło - drzewów. Nie zdołałem się oprzeć chęci uczynienia ostatecznej próby, i posłałem Mohameda w poselstwie do właściciela owéj oazy. Był właśnie w mieście, a pod-

czas jego nieobecności, słudzy nie śnieli obcych przyjmować.

W pół-godziny później, ujrzałem wychodzącego z bram Damanhuru i zbliżającego się ku nam, jezdca w bogatym ubiorze i na pysznym białym koniu, licznym otoczonego orszakiem. Domysliłem się że to jest właściciel pięknego domku, i uszykowałem naszą małą karawanę wzdłuż drogi którą miał przejeżdżać, rozkazując jej przybrać ułożenie jak najsmutniejsze. Gdy się zbliżył do nas o dziesięć kroków, oddaliśmy mu głęboki pokłon; odклонił nam się wzajemnie i po ubiorze poznając franków, spytał jaki powód zatrzymywał nas za miastem o tak późnej godzinie. Opowiedzieliśmy mu wówczas nieszczęsną naszą przygodę. Opowiadanie nasze cudowny uczyniło skutek, chociaż w tłumaczeniu wielce na zajęciu straciło; zaprosił nas abyśmy przenocowali w owym białym domku, który od godziny już przeszło był celem wszystkich naszych życzeń.

Wprowadzono nas najprzód do obszerniej izby, wokoło której była szeroka sofa, przykryta cienkimi rogożami. Porozciągaliśmy na nich nasze kołdry lecz pomimo tej ostrożności, nie bardzo miękkie utworzyła łożę. Zaledwieśmy skończyli owe nocne przygotowania, gdy weszło trzech służących; każdy z nich niósł półmisek porcelanowy, przykryty srebrną kopułą precudnej roboty: na jednym była potrawka z baraniny, na drugim ryż, a na trzecim jarzyna. Danie to postawili na ziemi. Usiedliśmy w kuczki na przeciw siebie. Niewolaik przyniósł nam miednicę do umycia rąk i zaczęliśmy się uczyć orientálnej gastronii, używając jak najzręczniejszych palców; co jednak, mimo wybornego apetytu, wiele wdzięku ujęło naszej

biesiadzie. Za napój podano nam czystą wodę, w fiaszy zatknietej srebrnym korkiem. Po skończonej wieczerzy, tenże sam niewolnik podał nam znowu miednicę do umycia rąk i twarzy; potem przyniesiono kawę i fajki, i pozwolono nam do woli spać lub czuwać.

Czas niejaki patrzeliśmy jeszcze na siebie przez kłęby dymu; potem składając dzięki za gościnność naszemu gospodarzowi, zasnęliśmy, polecając go łasce Proroka.

Nazajutrz obudziłem się wraz ze świtem. Wyskoczyłem z łóżka i wybiegłem z domu. Obszedłem miasto, aby mu się przypatrzeć pod najkorzystniejszym widokiem; po tém zrobiwszy ogólny jego rysunek, odczycikowałem dwa lub trzy meczety i pobiegłem do mojej karawany, dać hasło wyjazdu. Chciałem jednak piérwój podziękować gospodarzowi; lecz mądry nasz muzułmanin był właśnie w haremie, i niepodobna było z nim się widzieć. Spytałem przynajmniej o jego imie, aby je podać potomności: nazywał się Rustan-Effendi. Wynagrodziłem niewolników, wsiedliśmy na naszych biegunów, i ujechawszy ledwie pięćset kroków od Damanhuru, ujrzelśmy się znowu pośród pustyni.

Przez siedm blisko godzin grzebaliśmy się wśród piasków, przybyliśmy nakoniec na pagórek nie bardzo wysoki, z wierzchołka którego Nil ukazał się naszym oczom.

Po niepłodnych płaszczyznach rokoszne nastąpiły krajobrazy; w miejsce kilku palm rozsianych po skwaronym widokregu, napotkaliśmy lasy pełne owoców i pola okryte kukuruzą. Egipt jest doliną, w głębi któ-

rój Nil przepływa, a brzegi jego są niezmierzonymi ogrodami, które po obu stronach piaszczysta pustynia podkopuje. Śród tych gajów z czuło - drzewu i dahlisów, po nad temi płaszczyznami zasianemi ryżem i kukuruzą, ulatywały nieznane ptaki, których śpiew jest świetny, a pierze rubinami i szmaragdami przyodziane. Idąc pod górę z biegiem Nilu, napotykalismy wielkie stada bawołów i owiec, pędzonych przez wychudłych i nagich pasterzy. Dwa ogromne wilki, znęcone zapewne węchem trzody, wyszły z zarośli o pięćdziesiąt kroków naprzeciwko nas, zatrzymały się na drodze, jak gdyby nam chcąc wzbronić przejścia, i uciekły dopiero wtedy, gdy osłarze zaczęli na nich ciskać kamieniami. Zaczynało się nagle zmierzchać, a droga przerznięta kanałami potrzebnymi do zraszania pól, coraz to bardziej stawała się utrudzającą; nieraz tak była wilgotna, że nasze osły grzęzły aż po kolana, i dalej iść nie chciały. Pomimo wstrętu jakiśmi czuli brnąc przez owe bagniska, musieliśmy jednak zsiąść i iść pieszo; w krótkce musieliśmy prawdziwe przebywać potoki, a ta kąpiel, chociaż chłodząca, nie bardzo jednak była przyjemna. Powstał wreszcie księżyc, i oświecając nieco naszą drogę, nadał owemu krajobrazowi nowe zupełnie znamie. Pomimo utrudzeń drogi nie mogliśmy pozostać nieczuli na piękność widoków. Na szczycie pagórków oddzielających dolinę od pustyni, postrzegaliśmy wdzięcznie kołyszące się palmy, które w mocnych rzutach odstrzeliwały od nieba; za każdym krokiem napotykalismy meczety, których podnóża kąpał Nil spokojny, otoczone cieniem i zielonością sykomorów, długie gałęzie zwieszających aż na piaski, Na nieszczęście, co pięć minut prawie, wyrывał nas

z tego zachwycenia [jaki kanał, który przebyć było trzeba, lub jakie moczary w których musieliśmy się zagłębiać, tak dalece, że gdyśmy postrzegli Rozettę, byliśmy prawie od stóp do głowy zmoczeni.

Im bardziej zbliżaliśmy się do miasta, myśli nasze tém weselszą przybierały barwę; jużśmy się widzieli w jakiej dobrze opatrzonej chacie, gdzieśmy zmieniali naszą przemokłą odzież na suknie dobrego muzułmana: gdyż łomoki nasze zostały w Alexandryi, i cały nasz ubiór mieliśmy na sobie. Głód także nam się czuć dawał; z roskoszą przypominaliśmy sobie wczorajszą wieczerzę, i niepragnęliśmy lepszej, chociażbyśmy ją znowu musieli jeść palcami. Co do łóżka, tak byliśmy strudzeni, że łada mata byłaby dla nas dogodną. Słowem, wcaleśmy nie byli wymagającymi. W takim usposobieniu przybyliśmy do bram Rozetty. Były zamknięte. Jak gdyby piorun w nas uderzył: zamknięcie to na myśl nam nawet nie przyszło; zaczęliśmy z rozpaczą wybijać; lecz straż słuchać nie chciała. Wspomnieliśmy o *batschir*, owym wielkim pojednawczym środkiem; na nieszczęście, szpary bramy nie były dość szerokie, aby się przez nie przecisnęła pięciofrankowa sztuka. Mohamed prosił, błagał, groził; wszystko nadaremnie. Obrócił się wówczas ku nam, i rzekł z rezygnacją, że ani podobna było dostać się dzisiejszej nocy do Rozetty. Widzieliśmy że prawdę mówi, Mahomet i oślarze oglądali się w około, upatrując dogodnego miejsca na nocleg. Co do nas, tak byliśmy rogniewani, żeśmy stali jeszcze blisko przez kwadrans przy bramie. Mahomet doniósł nam wreszcie, iż znalazł wyborny biwak. Nie było co robić, tylko pójść za nim. Zaprowadził nas pod meczet otoczony brem

kwitnącym, gdzieśmy znaleźli kobierce rozesłane pod dwoma wspaniałemi palmami. Położyliśmy się na nich z pustym żołądkiem i przemokli: lecz tak byliśmy utrudzeni, że podrzymawszy kilka chwil, wpadliśmy w głęboką bezwładność, która patrzącemu na nas, snem by się wydała. Gdyśmy nazajutrz otworzyli oczy, postrzegliśmy że poranna rosa przybyła jeszcze w pomoc wczorajszemu zmoczeniu; byliśmy całkiem zdrętiali i zimni; chcieliśmy powstać, lecz żaden staw zgąć się nie mógł: zardzewieliśmy w naszych sukniach jak szabla w pochwie. Zawołaliśmy Mohameda i oślarzy na pomoc; bardziej od nas przyzwyczajeni przepędzać noc pod gołym niebem, otrząsnęli się i przybiegli. Podnieśli nas za ramiona i oparli o pnie palmowe, obróciwszy twarzą do wschodzącego słońca; po kilku minutach uczuliśmy dobroczynny wpływ jego promieni, i życie wraz z ciepłem powracać zaczęło; rozmarzaliśmy zwolna; około ósmej z rana, uczuliśmy się dość krzepcy na siłach i dostatecznie oschli, aby wejść do miasta.

### III.

#### ŻEGLUGA PO NILU.

Domy Rozetty zbudowane są z cegieł, niektóre na cztery i pięć nawet piątr wysokie; dolne arkady oparte są na kolumnach z różowego granitu, rozmaitej objętości, pochodzących ze zwalisk dawniej Alexandryi. Nil płynący u stóp miasta, tworzy przystań wygodną, otaczają go piękne szerokie plantacye ryżu, których błada zieloność wdzięcznie odbija od ciemnych mass

czarnych sykomorów i palm wybiegłych, gubiących się w dali widokregu.

Pan Camps, ajent konsulatu francuzkiego, przyjął nas jak najuprzejmiej i przedstawił swęj żonie i córce. Znaleźliśmy tam naszego współziomka, pana Amon; był to artysta weterynaryjny, uczeń szkoły Alfotrskiej, od sześciu blisko lat zostający w służbie Paszy egiptskiego; ożenił się w Rozecie z młodą Koptką. Koptowie jak wiadomo są chrześcianami; związek ten nie sprzeciwiał się zatém jego religijnym zasadom, chociaż odbył się dosyć dziwnie. Pan Amon postanowiwszy koniecznie się ożenić, zaczął się wypytywać czy nie ma w okolicy jakiej panny na wydaniu. Osoba która się podjęła wyszukać mu żonę, za trzy dni pomyślną przyniosła odpowiedź. Wynalazła młodą Koptkę, ładną i dopiero czternaście lat liczącą. Pan Amon chciał ją widzieć. Powiedziano mu iż to niepodobna, gdyż żądanie jego sprzeciwia się od dawna przyjętemu zwyczajowi; lecz że może się pytać o wszystko co zechce, i że najszczerzą odpowiedź odbierze na pytania, chociażby te nawet ubliżającemi wydawać się mogły. Zdaje się iż odpowiedzi musiały być zadowalające, gdyż nazajutrz ofiarował rodzicom, stósowny posag. W dniu oznaczonym, Pan Amon i rodzice narzeczonej zgromadzili się u kadego. Zaliczono summę, młoda panienska zastąpiła miejsce kwitu, i pan młody zabrał żonę. U siebie dopiero zdjął z niej zasłonę, Dotrzymano mu we wszystkiém słowa, i pan Amon do dziś dnia winzuje sobie że się ożenił w ślepą babkę.

Nie trzeba jednak myśleć że tak się zawsze dzieje. Można niekiedy srodze się omylić. W takim razie, zwiedziony mąż odsyła żonę rodzicom, dając jęj powtór-



ny posag wartości pierwszego. Służy mu to samo prawo gdy zawód jest wprost tylko moralny, i małżonkowie po jakimś czasie postrzegają, że charaktery ich zgodzić się nie mogą. Odzyskują w ówczas oboje zupełną wolność, i nazajutrz po tym dobrowolnym rozwodzie mogą nowe zawrzeć śluby.

Pan Amon opowiadał nam wszystkie te szczegóły, prowadząc nas do meczetu Abu-Mandura, za murami Rozetty po nad samym brzegiem Nilu. Budowa ta zupełnie w stylu wschodnim, wśród rokosznego położona krajobrazu, zachodzi aż w rzekę i zostawia wązki tylko przesmyk pomiędzy swoją podstawą a drugim brzegiem, okrytym domami i otoczonym polami ryżowemi. Kopuła w kształcie przewróconego serca, uwiecznionego pół księżycem, wznosi się po nad białemi murami. Medenah pięknie zbudowany wystrzeliwa na jednym z krańców, a liczne jego galerie, są wypracowane jak koronka, gdy tymczasem, przeciwna strona zdaje się wstrzymywać niezmierną masę piasków, nagromadzonych na spadzistości góry; w około rosną wybiegłe palmy.

Prawowierni utrzymują, że święty derwisz Abu-Mandur utrzymuje na barkach swoich piaszczystą górę, grożącą zwaleniem meczetu i zasypaniem Nilu.

Panowie Campas i Amon ofiarowali nam gościnność; lecz lękając się sprawić im jakąś przykrość, nie przyjąwszy ich zaproszenia obraliśmy sobie gospodę w starym klasztorze kapucynów, obszernym i zniszczonym budynku, gdzie się znajdował jeden jeszcze zakonnik, żyjące zwalisko wśród tych martwych zwalisk. Biedny starzec, jak żołnierze Ulissesa, żywił się owocami lotusu, aby pamięć stracić; od dwudziestu lat żaden ło-

skot zapomnianego przezeń świata, nie doszedł do niego, odpłacał Europie nieczułością za nieczułość. Surowe jego obyczaje, obszerna szata skrojona na wzór wschodni, zjednały mu poważanie Arabów: zapomniałem o jego brodzie, która nie mało do tego poważania się przyczyniła.

Przepędziliśmy wieczór u jednego z przyjaciół pana Amon, nieoszacowanego Turka, który poświęcił najważniejszy z przepisów Koranu, swojemu zamiłowaniu do wina. Pokój w którym nas przyjął był prosty jak zwykle wszystkie salony wschodnie; podług przyjętego zwyczaju, szeroka sofa otaczała go w około; w środku był wodotrysk spadający w piękną kadź z białego marmuru; rzadkie i świetne kwiaty, okryte płynnymi perły, jak gdyby je poranna rosa zwilżyła, gustownie rozstawione były na około fontanny, nadając wesoły i powabny pozór temu obszernemu salonowi. Turek przyjął nas w gronie swoich przyjaciół i ofiarował nam fajkę i kawę. W pół-godziny przyniesiono nam limonadę, którą własne jego przysposobiły żony; oba te napoje bynajmniej nie ożywiły rozmowy, która tém bardziej stawała się nudną, iż trzeba było tłómaczyć wszystko cośmy mówili i co nam odpowiedziano. Najdowcipniejsza rozmowa musi uleść podobnej próbie: wkrótce też umysłowa ta praca tak znudziła mówiących i tłómaczy, iżśmy wstali jednomyslnie i odeszli. Trzeba oddać sprawiedliwość Turkowi, iż bynajmniej nie starał się nas zatrzymać.

Nazajutrz przybył do Alexandryi pan Taylor, kapitan Bellanger i pan Eydoux, chirurg sztabowy. Ten ostatni przybył nie tak z ciekawości, jak raczej filantropiczném powodowany uczuciem. Słyszał okropne

opowiadania o oftalamii, i narażał własne oczy, dla ocalenia naszych.

Ponieważ nie nas nie zatrzymywało w Abu - Mandur, i najspieszniej pragnęliśmy zobaczyć Kair, nazajutrz, 6 Maja, najęliśmy ogromny statek, zwany tutaj djer-mą; miał blisko czterdzieści stóp długości i dwa trójk-graniaste łacińskie żagle, wielkie nadzwyczajnie.

Z rana, 7 Maja, przebudzono nas, oznajmując że powstał wiatr dogodny: żadna wiadomość nie mogła być dla nas przyjemniejszą. Dzień był przepyszny, wiatr dał jakgdyby na nasze rozkazy, a majtkowie wyspiewywali wesoło, dla dodania sobie ochoty. Kaza-liśmy sobie przetłómaczyć dwie z owych piosnek; pierwsza składała się z kilku zwrotek na pochwałę Boga; druga była zbiorem sentencji i uwag filozoficznych, z których najnowsza wydała się następująca. »Ziemia jest niczém, i wszystko nędzą jest na tym świecie.«

Byliśmy w wesołym humorze i prawdy te zbyt nam się wydawały w tej chwili surowe, poprosiliśmy naszych Arabów, aby nam zaśpiewali co weselszego. Wzięli natychmiast dwa muzyczne instrumenta; fujarkę przypominającą flet starożytny i prosty bębenek, którego dno z wypalanej gliny, rozszerzało się u wierzchu; najszerszą część okrywała cienka skórka, wyprężono ją jeszcze bardziej, zbliżywszy ją do ognia. Wówczas nastąpiła prawdziwa kocia muzyka, która tak dalece osobliwą swoją dzikością zajęła naszą uwagę, żeśmy ani pomyśleli o znaczeniu wyrazów, chcąc pośród tego piekielnego wrzasku rozróżnić choć jedną muzykalną nutę. Wkrótce ciekawość nasza odwrócona została od poezyi i cudownego jój akompaniamentu, na grubego Turka w zielonym zawoju, prawe-

go potomka Mahometa, który pobudzony tą melodyą, powstał zwolna, zaczął się kołysać naprzemian w takt, to na jednej, to na drugiej nodze, potem całkiem się rozochociwszy, wykonywał prosty i rubaszny taniec. Gdy skończył, podziękowaliśmy mu uprzejmie za niespodziane ukontentowanie jakie nam zjednał; odpowiedział nam, bynajmniej nie zmieszany, że tak Almy tańczą na publicznych rynkach w Kairze: na szczęście, jako Paryżanie, nie wielką daliśmy wiarę tym słowom.

Dzień upłynął wśród tych melodyjnych i choreograficznych zabaw. Przez całą tę żeglugę, Nil przedstawiał nam wdzięcznie oba swoje brzegi cudowną okrytą zielonością; wieczorem, słońce szybko zapadać zaczęło, i ostatnie jego promienie ognistym blaskiem oświeciły piękną wioskę uwieńczoną palmami.

Nasi majtkowie wystawili na końcu statku namiot—lub raczej pewien gatunek mostowej arkady z płótna, rozpiętego na giętkich i zaokrąglonych trzcinach, rozciągnęliśmy pod nią kobierce, i na nich całą noc jednym snem przespali.

Gdyśmy się przebudzili, krajobraz nie zmienił się; w miarę tylko jakieśmy coraz dalej płynęli pod wodę, wioski stawały się coraz rzadsze i nie tak obszerne. Dzień upłynął na tych samych zabawach; lecz potomek Mahometa mniej się nam wydał rokosznym jak wczoraj; oswoiliśmy się z jego dziwacznością.

Nazajutrz, jeszcześmy spali, kiedy się już rozpoczęły śpiewy; sądziliśmy, otworzywszy oczy, że majtkowie wyprawiają nam serenadę; bynajmniej, wiatr stał się przeciwnym, i to ich zmuszało ciężiej pracować aby nurt przewyciężyć. Właściciel statku na cały głos śpiewał litanią, a po każdej zwrotce, Arabowie

odpowiadali mu: *Eleyson*, Po każdej takiej zwrotce cofaliśmy się o piędziesiąt kroków!

A ponieważ właściciel osadził że postępując tym sposobem, wrócimy do Abu-Mandur na przyszłą noc, lub najdalej nazajutrz rano, rozkazał zarzucić kotwicę przed wioską. Wyskoczyłem na ląd i do najbliższego udałem się domku; z wielką trudnością uzyskałem w nim miseczkę mleka; usiedliśmy pod zachroną muru ubitego z ziemi, aby uniknąć zawiei pałającego kurzu, i zaczęliśmy jeść śniadanie.

Po dwóch godzinach opadł wiatr, i w dalszą puściliśmy się drogę. Postępowaliśmy zwolna; po przeciwnym wiatrze nastąpiła teraz mielizna, a chociaż statek nasz ledwie na trzy stopy zanurzał się w wodzie, dotykaliśmy się niekiedy piasku. Tak płynęliśmy dwie lub trzy mile, w pięciu przeszło godzinach i z nie małym trudem. Około wieczora, ujrzelśmy zwolna wznośzące się, na czerwonym widokręgu, trzy symetryczne góry, których zarysy zębowały się po niebie: były to piramidy! piramidy coraz to bardziej rosnące przed naszym okiem, a na lewo szczyty libijskiego łańcucha, opasywały Nil swemi granitowemi barki.

Stanęliśmy nieporuszeni; oczy nasze nie mogły się oderwać od owych olbrzymich gmachów, do których przywiązywało się tak wielkie starożytne wspomnienie i tak chlubne wspomnienie nowożytne. Tu także było pobojuwisko nowoczesnego Kambyzesa, i podobnie jak Herodot znalazł tu trupy persów i egipcyan, my znaleść mogliśmy kości ojców naszych! W miarę jak zapadało słońce, odblask jego wzbijał się na szczyty piramid, a podstawy ich pograżały się w ciemno-

ści; wkrótce, same tylko wierzchołki błyszczały jak rozpalone kliny; po tém ostatni promyk zadrżał na ostrych końcach, podobny do promyka migającego na wierzchołku latarni morskiej. I promyk ten odczepił się na koniec, jakby wracał w niebiosy, rozplómienie gwiazdy, które po chwili roziskrzać się zaczynały.

Zapał nasz zbliżał się prawie do szaleństwa, klasaliśmy w ręce, wychwalaając ten wspaniały widok. Przywołaliśmy właściciela statku, i rozkazali mu nie postąpić przez noc ani krokiem, aby nie stracić nazajutrz rano, wielkiego obrazu który przed naszymi oczyma miał się rozwijać. Życzenie nasze zgadzało się z jego chęcią: przychodził nas właśnie uwiadomić że musi zarzucić kotwicę. Długo jeszcze pozostaliśmy na pomoście, patrząc ku piramidom, chociaż ciemność różnić nam ich nie dozwalała; potem schroniliśmy się pod namiot, aby przynajmniej o nich mówić, kiedy już widzieć nie było podobna.

Nazajutrz obudziłem się najpierwszy, i bardzom się zdziwił, że chociaż dzień był zupełny, wszyscy jeszcze spali. Czulem duszność; zbudziłem moich towarzyszy; słabość ta wszystkich ogarnęła; wyszliśmy z namiotu; powietrze było ciężkie, słońce wschodziło smutne i posępne, za piaszczystą mgłą, którą wiatr pustyński utworzył. Uczuliśmy na piersiach ciężkość, powietrze którym oddychaliśmy paliło nam płuca. Nie pojmując bynajmniej tego zjawiska, spojrzeliśmy w około siebie: majtkowie i właściciel statku siedzieli nieruchomi na pomoście, owinięci w płaszcze, których jedna poła zakrywając ich usta, nadawała pozór owych twarzy Danta, które Flaxman genialnym skre-

ślił ołówkiem; w ich tylko oczach było życie; wlepili je w widokrąg i badali go niespokojni. Nasze przybycie bynajmniej nie wyrwało ich z tego rozważania. Przemówiliśmy do nich, lecz pozostali niemi; spytałem nakoniec samego właściciela o powód tego ogólnego zniechęcenia; wyciągnął wówczas rękę ku widokręgowi, i nie odkrywając ust, rzekł: Kamzin. Tylko co wyrzekł to słowo, poznaliśmy w istocie wszystkie znaki owego zgubnego wiatru, którego tak bardzo obawiają się Arabowie. Palmy, w rozmaitych naginały się kierunkach, tak, iżby sądzić można że przelot przeciwnych wiatrów krzyżował się w powietrzu. Wiatrem podniesiony piasek bił o nasze twarze, a każde jego ziarnko paliło nas jak iskra z rozżarzonego wylatująca pieca. Niespokojne ptaki opuszczały wyższą strefę powietrza, i zniżając lot swój, dotykały prawie ziemi, jak gdyby się jej pytać chciały, o powód utrapienia co je dręczyło. Chmury jastrzębi o długich i wązkich skrzydłach, krążyły w około nas z przeraźliwym krzykiem, po tém nagle spuszczały się na szczyty minaretów, a z tamąd wzbijały się ku niebu, szybko i prostopadłe jak strzały. Żaden z owych widocznych symptomatów nie uszedł uwagi Arabów, lecz niepodobna było rozróżnić z ich niewzruszonych i niezmiennych oczu, z ich niczem niezachwianej twarzy, czy znaki te były nieprzyjemne lub zatrważające.

A że prócz nadzwyczajnego ściśnienia piersi, kamzin nie zdawał się zapowiadać innego nieszczęścia; wysiedliśmy na ląd uzbrojeni w strzelby i zaczęliśmy gonić długo - nogie ptaki, całemi kupami latające. Zabiliśmy kilka czapli, i mnóstwo skowronków i turkawek.

Okolo wieczora, przywołał nas do statku odzew połączony z wesołemi śpiewy; ustał kiamzin, i majtkowie nasi skakali z radości, maczając dla ochłodzenia ręce i twarze w wodzie Nilu. Podobala mi się ta kąpiel na sposób europejski; zapragnąłem téż należyć do uroczystości. W jednej chwili rozebrałem się i zanurzyłem w wodzie. Gdy wypłynąłem, dawszy nurka, ujrzałem iż cała osada patrzy na mnie z wielką uwagą; wiedziałem dobrze że krokodyły znajdują się w Nilu dopiero za pierwszą kataraktą; nie czując sam żadnej obawy, jak najpochlebniej wytłómaczyłem sobie zajęcie widzów. Bardziej jeszcze podwoilem zwinność i zręczność, i powtórzyłem wszystkie zwroty, których się nauczyłem w szkole pływaków. Nagle, w lewe udo uczułem tak gwałtowne elektryczne uderzenie, że prawie połowa mojego ciała została sparaliżowana; zacząłem podpływać ku statkowi; lecz postrzegłem natychmiast, że bez pomocy nie dostanę się do niego. Na w pół wciągając w siebie wodę, zawołałem aby mi pręt lub linę wyrzucono. Szcześnie, Mohamed przewidując mój przypadek, stał już na pogotowiu u brzegu statku, z liną którą mi wyrzucił; pochwyciłem za jej koniec; przyciągnął mnie do statku, i wszedłem nań bynajmniej nie tak tryumfalnie jakem z niego zeskoczył. Rubaszna jednak nieczułość moich Arabów przekonała mnie wprędce że mój przypadek nie miał w sobie nic zatrważającego; zapragnąłem jednak poznać jego przyczynę, abym na drugi raz mógł się ustrzedz.

Mohamed uwiadomił mnie, że prócz mnóstwa ryb, pochlebiających smakowi i ciekawych dla badacza natury, Nil zawierał w sobie pewien gatunek drętwy, której



własność elektryczną tak znają Arabowie, iż lękając się doznać bolesnego jęj dotknięcia, zamiast całkiem zanurzyć się w wodzie, poprzestali na obmyciu rąk i twarzy. Z tego opowiadania postrzegłem tylko najwidoczniej, że chociaż nie lubią elektryczności, jednak im miło dostrzegać jęj skutków na europejczyku. Z resztą, nim skończyło się wytłómaczenie, już boleść ustała, i członki moje jak dawniej ruch odzyskały.

Wiatr zupełnie ustał. Łup zdobyty na polowaniu dostarczył nam obfitego obiadu.

Potém starannie obejrzelismy nasze kobierce, aby jakiemu niedźwiadkowi nie zachciało się powtórzyć żarciku; który mi uczyniła drętwa. Tym razem, sami Arabowie namówili nas do tego środka przezorności. Zasnęliśmy potém, z lubą nadzieją, iż nazajutrz ujrzymy Kair, od którego o siedm tylko mil byliśmy oddaleni.

#### IV.

##### K A I R.

Nazajutrz o świcie podniesiono kotwicę, i szybko zaczęliśmy zbliżać się do piramid. U stóp nagiego i niepłodnego libijskiego łańcucha, przez piaszczyste wydziwy które zgęszczały powietrze, zaczynaliśmy dostrzegać wieże i kopuły meczetów, uwieńczone bronzowymi półksiężycami. Zwolna, mglista owa zasłona, którą rozpędzał wiatr północny, popychający nasz statek, podniosła się i znikła po za wielkim Kairem, odkrywając nam wysokie strzepy miasta, którego podstawę ukrywały jeszcze wyniosłe nadbrzeża rzeki. Postępowaliśmy szybko, i byliśmy już prawie na wysokości pi-

ramid Ghizejskich. Nieco dalej, na témże samém wybrzeżu, kołysał się wdzięcznie las palmowy, wznoszący się na miejscu gdzie dawniej stał Memfis, i wzdłuż brzegów gdzie przechadzała się córka Faraona, gdy Mojżesza z fali nilowych uratowała; po nad palmami, w zamroku utworzonym nie z mgły lecz piasku, dostrzegliśmy czerwone szczyty piramid Sahara, owych starych prabab piramid Ghizejskich. Przepłynęło około nas w téj chwili kilka statków napełnionych niewolnikami: na jednym z nich były same kobiety. Skoro je postrzegł właściciel naszej nawy, utkwil natychmiast nóż w wielkim maszcie i rzucił garść soli w ogień: miało to nas uchronić od uroku złego oka. Zaklęcie zupełny uzyskało skutek: w godzinę wysiedliśmy bez najmniejszego przypadku w Szubra, na prawym brzegu Nilu. Nie daleko z tamąd, pokazano nam wiejski dom paszy: było to rokoszne mieszkanie, otoczone świeżością i cieniem.

Napotkaliśmy tam znowu osłów i oślarzy; osły były większe i piękniejsze jak Alexandryjskie, oślarze bardziej uprzejmi i kłótlwsi jeszcze, jeśli podobna, od nadmorskich swoich współtowarzyszów. Tym razem, nauce doświadczeniem, żadnej nie czyniliśmy trudności, i zapuściwszy się rokoszną aleją sykomorową, której ciemne sklepienie nie przepuszczało słonecznych promieni, zaczęliśmy szybko odbywać pozostającą nam jeszcze milę drogi.

Wylądowanie ze statku tę tylko sprawiło różnicę w naszym sposobie podróżowania, że zamiast płynąć Nilem pod wodę, jechaliśmy brzegiem jego na osłach. Z resztą, ponieważ byliśmy o trzydzieści blisko stóp wzniesieni, widok stał się dla nas obszerniej-

szym, i postrzegaliśmy wprost siebie wyspę Rudah, podstawę pomnika gdzie przechowują nilometr, przeznaczony do mierzenia wysokości zalewów Nilowych: zakresłone na nim pasy wskazują lata, w których wylew rzeki do niezwykłej doszedłszy wysokości, zjednał Egiptowi pamiętny urodzaj. Tam to, corocznie szekowie naczetów uwiadamiają lud o wzniesieniu wody, i ogłaszają miarę uciech jakich dozwolić sobie może, lub, jako ulegli muzułmanie, obwieszczają przyszłą niepłodność, posty i głód, na które niedostateczny wylew rzeki mieszkańców jej wybrzeży skazuje.

Mieliśmy wówczas na prawo piramidy Ghizejskie, widoczne od szczytu aż do podstawy, i pagórek który tworzy wielki Sfinx, strzegący ich od trzech tysięcy lat, i niezmiennie zwracający ku grobom Faraonów granitowe swoje oblicze, porąbane przez żołnierzy Kambizesa. Po lewój, wzrok nasz rozciągał się na pobojewisko Heliopolisu, unieśmiertelnione przez Klebera, a którego niezmierną samotnie jedyny tylko ożywia sykomor, zieleniejący wśród pałającego piasku pustyni. Wskazali nam go nasi przewodnicy; gdyż podanie Arabskie niesie, że pod tém to drzewem spoczęła Marya, uciekająca przed zjadłością Heroda; *Józef, mówi Śty Maciej, uprowadził nocą dzieciątko i matkę, i udał się z nimi do Egiptu.* Według inniemia samychże nawet muzułmanów, drzewo to winno cudowną swoją trwałość i wieczną zieloność, schronieniu udzielonemu matce Chrystusa.

Przybyliśmy do Bulak, tworzącego przedmieście Kairu, i niby jak strażnik owego miasta, strzegącego pustyni. Pozostawało nam jeszcze tylko pół mili drogi: rzuciliśmy spojrzenie na port ożywiony mnóstwem

ślanków, które płynąc pod wodę znoszą płody nad-  
nilowych ogrodów, lub puszczając się za jój biegiem,  
spławiają owoce Wyższego-Egiptu, nie zdolne dojść  
pod zbyt bladym niebem Deltę. Ludność wiosek, mnó-  
stwem swoim i czynnością zwiastowała bliskość wiel-  
kiego miasta; wskazałem Mohamedowi jego mury:  
zrozumiał moje życzenie. *El Masr*, wykrzyknął, i pu-  
szczając w galop osła, zaprosił nas skinieniem aby-  
śmy przykład jego naśladowali. Wkrótce ujrzelśmy  
Kair, odosobniony wśród piaszczystego oceanu, którego  
pałające fale bez ustanie biją o jego mury, i zrobiły-  
by na koniec w nim wyłom, gdyby dwa razy do ro-  
ku, Nil, potężny sprzymierzeniec, nie uwalniał miasta  
od owego natrętnego oblężenia. W miarę zbliżania,  
rozróżnialiśmy urozmaicone odcienia budynków, i  
kształtne zarysy kepuł, po tém, nad różnobarwym zę-  
bowaniem zwieńczającym mury, medenahy trzystu me-  
czetów wybiegające w powietrze, podobne do ogromnej  
gry szachów. Przybyliśmy na koniec do bramy zwy-  
cięstwa, najpiękniejszej z siedemdziesięciu i jednej  
otaczających Kair, a którą Bonaparte wszedł naza-  
jutrz po bitwie pod Piramidami, dnia 29 Lipca 1798  
roku.

Zaledwie weszliśmy do miasta, gdy pan Taylor wie-  
dząc jak nieprzyzwoicie jest przec'adzać się po Kairze  
nakształt mieszkańca prowincyi przybyłego do Pary-  
ża, galopem puścił się najpierwszą ulicą: musieliśmy  
pośpieszyć w jego ślady aby nie zbłądzić; postrzegli-  
śmy w istocie, że europejskie nasze ubranie nie bardzo  
przychylnym sposobem ściagało na nas uwagę; od-  
gadujemy niekiedy niebezpieczeństwo, nie widząc go,  
domyslnością lub przeczuciem. Mundur officerów ma-

rynarki zajmował szczególnież zwolenników proroka. Podwoiliśmy więc szybkość, popychając Arabów i Turków, przesuwających się przed naszymi oczyma w świetnym swoim stroju, i wołających na nas bezprzerwanie: *Yamin* albo *Dhemal*, to jest na prawo lub lewo, stosownie do tego jak to poruszenie zdawało im się koniecznym z naszej strony, aby ich nie zwrócić z prostej i jednostajnej drogi, którą postępowali poważnie, bądź kenno, bądź pieszo. Nakoniec, po takim biegu jaki tylko we śnie odbywamy, wśród istot nie znanych i fantastycznych, przez wązkie i kręte uliczki, któremi wiódł nas pan Taylor, gdyż to najbliższa była droga, przybyliśmy do dzielnicy franków, i wysiedli przed włoską oberżą.

Najpierwszem naszym staraniem było przywołać krawca; natychmiast sprowadził nam go oberżysta. Krawiec ten był w całym znaczeniu prawowierny Turek. Pokazał nam rozmaite materye do wyboru, wyjął potem z kieszeni szpagat u którego wisiała ołowianka, zawiesił go tak iż ołowianka dostawała do kostek, przycisnął szpagat do mego ramienia, przeczytał na nim stopień; na każdym z nas powtórzył to samo i wyszedł: wziął już miarę.

Po tej oparacyi, pomyśleliśmy o innéj, nie mniej naglącéj: wielkie wspomnienia co się tłumnie cisnęły do naszego umysłu, szczytny widok krajobrazów, niepowściągniona chęć przybycia do Kairu, wszystko to było przyczyną żeśmy zapomnieli o śniadaniu; lecz tylko co ujrzelismy się w mieszkaniu, gdzie brak ubioru więził nas aż do wieczora, natychmiast żołądek zaczął gwałtownie domagać się o swój posiłek. Zawołaliśmy gospodarza, zachwyceni że przecie możemy

do kogós przemówić bez tłumacza, i kazaliśmy dać sobie objad. W pół godziny nakryto w naszym pokoju po europejsku; przyznam się, że nie małej doznałem radości siadając po chrześcijańsku do stołu. Jednak pośród tego gastromicznego zajęcia, nie zapomnieliśmy o Mohamedzie; zawołaliśmy go oknem z dziedzińca, i zaprosili aby usiadł przy nas na ziemi.

Jeśliśmy go ubawili z początku podróży, zmuszeni palcami zastępować łyżkę, nóż i widelec, teraz na nas przyszła chwila tryumfu; biedak nie posiadał się z zadziwienia, widząc jak zręcznie dokazujemy narzędziami zupełnie jemu nieznanemi.

Pomimo tego usiłował nas naśladować; lecz zakłówszy się ze trzy razy w usta i dziąsła, powrócił do krajowego systematu, odrzuciwszy na stronę łyżkę nóż i widelec. Przepych naszej repty nie mniej zadziwił arabską jego wstrzemięźliwość, lecz na drugi ten punkt prędzej zgodził się jak na pierwszy: zajadał wszystko, i wszystko chwalił.

Gdy wieczór nadszedł, korzystaliśmy z ciemności aby przebiec ulice wiodące do konsulatu francuzkiego. Vice-konsul, uradowany widokiem współżemków, chciał nam dać małą ucztę: zawołano sześciu krajowych muzykantów. Usadowili się w kucki na przeciw sofy naszej. Nastroili swoje instrumenta z niezachwianą powagą, i zaczęli grać krajowe pieśni, przerywane śpiewami. Trzeba słyszeć turecką lub arabską muzykę, aby pojąć do jakiego stopnia dojść może owa kocia melodia. Przygrywająca nam muzyka, pod tym względem była jak najdoskonalszą i gdyby nasi muzykanci; nie zatamowali nam przejścia, zdaje mi się, że pomimo wrodzonej grzeczności, przemogłoby w nas wspo-

mnienie francuzkich teatrów, i za pierwszym akordem bylibyśmy pewno uciekli. Po dwóch godzinach, najokropniejszych jakie w życiu przepędziłem, powstałi nakoniec muzykanci, zawsze poważni i niezmieszani, mimo nedorzecznego żarciku jaki nam wyrządzili i wyszli. Vice-konsul uwiadomił nas wówczas, że chcąc nam oddać cześć należną, odegrali najpoważniejsze swoje sztuki, lecz że innym razem usłyszemy weselsze i żywsze kawatyny.

Powróciliśmy do naszego mieszkania, w towarzystwie kassasa, który postępował na czele z papierową latarnią, oklejoną na skręconym drucie; ulice zupełnie były puste, weszliśmy do domu nie spotkawszy żywej duszy, i z radością położyliśmy się na wygodnych łóżkach: szczęście to spotkało nas pierwszy raz od samój Alexandryi.

Chociaż łóżko nieporównanie miękciejsze było od sofy, a materac od kobierca, tak miałem nerwy, okropnie naruszone piekielną muzyką którą nas uraczono, iż ani na chwilę nie mogłem zamknąć oka. Niezadługo, nieznana fizyczna przyczyna przyłączyła się do nerwowego rozdrażnienia co mi zasnąć nie dozwalało: uczułem przeskakujące po mojem łóżku jakowś zwierzątka, których rozpoznać nie mogłem w ciemnościach, a które, pomimo szybkości z jaką starałem się pochwycić je ręką, gdy przebiegały po mojem ciele, wyślizgały mi się tak zręcznie i zwinnie, iż mnie zadziwiały biegłością i wprawnością swoją w tym rodzaju ćwiczenia. Podczas chwili spoczynku, gdym się właśnie zasadził na czaty, posłyszałem Majera odbywającego toż samo polowanie na drugim końcu pokoju. Nie było już wątpliwości że przypuszczono do nas regularny i roz-

myślny atak; dawszy sobie wzajemne hasło, uwiadomiliśmy się o przykrem położeniu naszym, i oparłszy się o poręcz łóżka, aby nie być z tyłu napadnięci, dzielny zaczęliśmy stawiać opór. Lecz gesta i słowa były bezskuteczne; jak mameluk, który *wpada, walczy, ucieka, by napaść na nowo*, wrogi nasze nie podobne były do uchwycenia. Odważyłem się ze zgaszoną świecą uczynić wycieczkę aż do przedpokoju, gdzie się paliła lampa, i natychmiast wróciłem ze światłem. Tym razem, jeśliśmy nie mogli pochwycić naszych przeciwników, zobaczyliśmy ich przynajmniej: były to ogromne szczury, stare i opasłe; na widok świecy, w wielkim nieładzie i z okropnym piskiem, zaczęły uciekać przez szparę będącą u spodu drzwi, o cztery cale oddzielającą je od podłogi. Zaczęliśmy się ubiegać któryś z nas lepić zatamujcie im to przejście; po kilku przedsięwziętych środkach, upragnionego nie przynoszących rezultatu, postrzegłem iż nadeszła chwila, abym jak nowy Kurecysz, poświęcił mój surdut; zwinąłem go w trąbkę i zatkałem nim szparę będącą we drzwiach. Zaledwieśmy się położyli i zagasili światło, znowu zaczęło się oblężenie; lecz teraz przejście było zagrodzone, i zasnuliśmy, pewni, że się nam udała nasza wojenna taktyka.

Podłożyłem w nocy surdut pod drzwi, nazajutrz wyciągnąłem z pod nich okrągłą kurtkę, nierówno wokoło poogryzaną: poły całkiem znikły! posłużyły za zdobycz.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



## KRZYSZTOF KOLUMB.

---

Działo się to w zimie roku 1491; ludna stolica Andaluzji, którą przed ośmiu miesiącami bez ustanku zajmowały bale, turnieje, illuminacye, nagle wstrzymała okrzyki zwycięstwa i radosne pieśni. Zewsząd zbiegały się nowe milicje; *rycerze podbojów* porzucali bogate suknie świąteczne; oręż i zapasy wojenne nagromadzano na wozach; Sewilla podobna była do obszernego obozu. Ferdynand i Izabella wybierali się na ostatnie oblężenie Grenady. Nieznany człowiek ciągnął w owym czasie za dworem. Zmięszany z tłumem natrętnych suplikantów, karmił wyobraźnią swoją w kącie przedpokojów, wspaniałym zamiarem odkrycia nowego świata; smutny i znękany pośród radości publicznej, obojętnie i prawie z pogardą patrzył na dokończenie podbicia, które wszystkich przejmowało nadzieją. Nazywano go Christował Colon; mówił że jest rodem z Genui, gdzie stary ojciec jego trudnił się rzemiosłem gręplowania wełny i żył jeszcze w stanie bardzo bliskim ubóstwa, mimo małego wsparcia, które niekiedy odbierał od trzech synów swoich, Bartłomieja, Diega, a zwłaszcza najstarszego, Krzysztofa.

Pierwszy raz widziano go w Hiszpanii przy końcu roku 1484. Podróżny idący piechotą, razem z mło-

dym chłopcem, zatrzymał się przy bramie klasztoru Santa - Maria de - la - Rabida, o pół mili od małego portu Palos - Moguer w Andaluzji, prosił dla siebie i dla swego dziecięcia o kawałek chleba i o szklankę wody. Odźwierny rzekł do niego, ażeby sobie odpoczął. Przeor, Jan Perez de la Marchena, uderzony szlachetną postawą nieznajomego, sprzecznie odbijającą się od prostych jego sukien, zaczął z nim rozmawiać i poprosił go żeby zanocował w klasztorze. Ten człowiek był to Krzysztof Kolumb, z synem swoim Diegiem, jedynym owcem małżeństwa z doną Felipa Monia de Palestrello, córką jednego z najznakomitszych żeglarzy z epoki Henryka Portugalskiego.

Chociaż wychowany w zaciszy klasztornej, przeor był światłym człowiekiem, biegłym w kosmografii papieża Piusa; czytał pierwsze wydania Ptolomeusza i Strabona, które sztuka drukarska zaczęła rozpościerać po świecie. Sąsiedztwo portu Palos, sławnego wówczas z odwagi żeglarzy, wzbudziło w nim zamiłowanie w żegludze; Kolumb wypłacił się za uprzejmą gościnność zakonnika, opowiedzeniem swoich przygód.

Młodym będąc jeszcze, rzekł, wyszedłem z uniwersytetu Pawii, w którym tajemne natchnienie Opatrzności skłaniało mię do geografii, astronomii i żeglugi; szybko uczyniłem postępy w arytmetyce, geometryi, pisaniu i rysunkach, a mając lat czternaście, zacząłem służyć jako chłopiec okrętowy na okręcie genueńskim, który krążył po morzu Adryatyckiem. Należałem do wyprawy Jana d'Anjou księcia Kalabrii, odbytej przeciw królestwu Neapolitańskiemu w 1459, z pomocą floty genueńskiej. Miałem lat dwadzieścia sześć, gdy król Rejnier, (czyli Renato, hrabia Prowancyi) wysłał mię

do Tunis, ażebym zdobył galeryę Fernandynę. Przybywszy do wyspy San Pedro w Sardynii, dowiedziałem się, że w porcie stoją dwa okręty i jedna karaka, prócz galery: co tak przestraszyło moich ludzi, iż nie chcieli płynąć dalej, lecz powrócić do Marsylii, po nowe okręty i wojsko. Nie mogąc ich przyniewolić, udałem iż się skłaniam do ich życzenia, odwróciłem kompas i rozpiąłem żagle. Było to wieczorem; nazajutrz rano przyплыliśmy przed Kartagenę, gdy wszyscy byli przekonani iż wracamy do Marsylii.

Nie powiodło się xięciu d'Anjou: z wojownika stałem się kupcem, przebiegłem wszystkie wyspy Grecyi, Jonii, Azyi mniejszej; widziałem wyspę Scio tak sławną z mastyxu i nauczyłem się zbierać tę kosztowną gummę. Znowu wziąłem się do oręża ze sławnym korsarzem *Kolombo*, i ostatnia wyprawa z nim razem odbyła, rozstrzygnęła o losie mojego życia. Mieliliśmy eskadrę z siedmiu okrętów i płynęliśmy wzdłuż brzegów Portugalii, gdyśmy otrzymali wiadomość że cztery galery weneckie z bogatym ładunkiem wracają z Flandryi. Czekaliśmy na nich między Lizboną a przyładkiem Sgo Wincentego. Znasz ustawy rzeczy - pospolitej Weneckiej; kapitanowie jej okrętów obowiązują się przysięgą, iż nie odrzucają boju. Walka była straszliwa; statki zahaczyły się jeden o drugi; od rana aż do wieczora, majtkowie walczyli z rozpaczą; obie strony niezmierną stratę poniosły; granaty i wybuch prochu, wznęciły pożar; okręty zahaczone łańcuchami i bosakami nie mogły się rozdzielić; płomień ogarnął oba. Majtkowie przestraszeni rzucili się w wodę; ja porwałem wiosło, a że jestem dobrym pływakiem, dostałem się do lądu, chociaż byłem od niego przeszło o

dwie mile odległy. Bóg zachował mię na inne próby i dodał mi siły do oparcia się gwałtownościom fali; udałem się do Lizbony i tam znalazłem wielu moich towarzyszków. Lizbona jest miejscem schadzki wszystkich geografów i uczonych żeglarzy; osiadłem w tém mieście. Xiążę Henryk panował wówczas i w ciągu wypraw przeciw Maurom, zebrał ważne wiadomości o Afryce. Przeczytano mu opowiadanie Eudoksyusza z Cyzyku, który okrążył Afrykę na okręcie fenicyjskim, wypłynawszy z morza czerwonego. »I ja także, rzekł, chcę popłynąć morzem do Indyów, chcę wydrzeć Wenecyanom handel korzeniami.« Na próżno przytaczano mu wielkiego mistrza geografii, Ptolomeusza, który utrzymuje że lądy Afryki ciągną się aż do bieguna północnego; na próżno przekładano, że strefa gorąca stawia ognistą zaporę między dwiema umiarkowanemi strefami; zwołał zgromadzenie sławnych geografów i wysłał okręty na czynienie odkryć. Niebo sprzyjało jego zamiarom; okrążono straszliwy przylądek Bazador; rozdarła się zasłona niewiadomości; jego żeglarze wysiedli na wyspy Zielonego przylądka. Może byliby dopłynęli aż do Kathaju, gdyby zawczesna śmierć Henryka w 1473, nie wstrzymała ich zawodu.

Miłość zatrzymywała mię w Lizbonie. Poznałem w kościele towarzyszkę mego życia, Filipinę de Palestrello, matkę mego Diega; po śmierci jej ojca, odziedziczyłem wszystkie jego papiery, mapy i dzienniki. Chociaż wojna z Hiszpanami, za panowania Alfonsa, ostudziła zapal do żeglugi, jednakże słyszałem codziennie nowe cuda o odkryciach w Afryce; one podsycały we mnie namiętność do geografii. Celem wszystkich życzeń moich było, ażeby do Indyów udać się

morzem; rozmyślałem nad pismami dawnych filozofów i geografów, porównywałem je z pismami tegoczesnych uczonych i żeglarzy. Duch Święty oświecił mię i przemówił do mnie przez usta proroków; natchnął mię zamiarem udania się do Indyi drogą ku zachodowi i nawrócenia ludów bałwochwalczych mieszkających na końcu Azji. Pisywałem do sławnego geografa Florencyi, Pawła Toskanelli; powierzyłem mu to natchnienie; pochwalił je i przysłał mi mapkę świata, na której Indye umieszczone są naprzeciw Hiszpanii, z Cipango i niezliczonemi wyspami, które zostają pod władzą wielkiego Hana. Ogarnęła mię ta myśl i wznawiała się przed mojem oczyma w mappach, które rysowałem dla utrzymania siebie i rodziny. W długich moich podróżach do brzegów Gwinei i do wysp Azorskich, gdy samotnie dumał nad brzegami morza, huk fali mieszał się z tajemnym głosem duszy mojej i mówił do mnie o tej nowej ziemi. W Lutym r. 1477. żeglowałem o sto mil za wyspą Thule, której część południowa jest o 33 stopnie odległa od równika, podług Ptolomeusza. Podróż ta zachwiała moją ufność w starożytnych geografach, a wieści krążące o nieznaney ziemi na zachodzie, utwierdziły mię w zamiarze moim. Lecz jakimże sposobem puścić się na ten ocean, na którym, jak powiadają, powietrze niezdadne jest do oddychania? jakim sposobem przeniknąć ciemności natury? jak oznaczyć w każdym czasie stanowisko nasze na kuli ziemskiej? Wówczas mogliśmy tylko kierować się bussolą; Bóg wzruszył serce króla Portugalii Jana II. który w roku 1481 nastąpił po swoim ojcu Alfonsie i wzbudził w nim żądze wstawienia swego nazwiska między niewiernemi. Z sławnój narady uczonych odbytój pod przewodni-

ctwem lekarzy królewskich, Rodryga i żyda Józefa, wynikło zastosowanie astrolabu do żeglugi. Tak jest, mój ojcze, dziś, za pomocą codziennych tablic pochyłości słońca, możemy natychmiast oznaczyć, pośród fali morskich, jak daleko jesteśmy od równika.

Nadeszła chwila którą Opatrzność przeznaczyła na wyjawienie mego pomysłu. Prosiłem i otrzymałem posłuchanie u króla Jana; prosiłem go żeby mi dał okręty dla płynienia prosto na zachód do Indyków; mówiłem o niezmiernych bogactwach wyspy Cipango, o złotym pałacu Mangi, o niezliczonych ludach którym przyniesie światło wiary chrześcijańskiej i którzy uznają go swoim zbawcą i monarchą. Słuchał mię z zajęciem, lecz nie śmiał nie postanowić i rozbiór mego projektu porucił juncie złożonej z najbieglejszych kosmografów. Mamże powiedzieć? to uczone zgromadzenie nazwało plany moje urojeniem i szaleństwem; lecz król przejęty miłością chwały, odwołał się od tego postanowienia, do innej rady, do której zawezwał wszystkich uczonych ludzi swego państwa. Znowu zacząłem mieć nadzieję. Namiętności kilku ludzi przemogły nad duchem wiary; poświęcono zbawienie kilkunastu milionów dusz, dla nędznej obawy zbytanych kosztów. Nazwano mię awanturnikiem i oszustem, a z tak niegodnem postępowaniem połączono podłość i zdradę. Król zbytecznie ufający swoim doradcom, zażądał odemnie moich mapp i planów; innego posłano zamiast mnie, dla rozpoznania prawdy którą mi Bóg objawił... Lecz Pan nie pozwolił ażeby dzieło szatańskie doszło do skutku; rozpuścił wiatry i fale przeciw niewiernemu posłańcowi, który wrócił do Lizbony, okrywając mię śmiešnością.

Oburzyło mię to okrutne postępowanie. Bóg powołał z tego świata żonę moją; sam pozostałem na ziemi, z moim synem Diegiem; napróżno król chciał mię wezwać; skrycie porzuciłem Lizbonę przy końcu roku 1484. Genua moja ojczyzna zbyt jest ubogą, ażeby mogła odważyć się na tę wyprawę; odrzuciła pierwsze moje ofiary jako uciążliwe: postanowiłem udać się do dworu Hiszpanii. Jój władzcy są gorliwi o chwałę Boga, a Bóg im nagrodzi, dając im skarby i całe narody które wprowadzą na drogę zbawienia.

Obejście się podróżnego tchnęło taką szlachetnością i powagą, słowa jego takie wzbudzały przekonanie, iż dobry przeor usłyszawszy nagle tak wzniosłe pomysły, mniemał iż ogień boski wytryskuje z oczu jego, w chwili gdy tenże wyjawiał mu swoje zamiary i opisał nieszczęścia; kazał zawezwać swego przyjaciela Garcia Fernandes, doktora z Palos, a ten, podobnie jak zakonnik, podzielił przekonanie Kolumba. Przeor nie poprzestał na zimném i bezsilném pochwalaniu, chciał z całej mocy swojej przyłożyć się do tak wielkiego przedsięwzięcia; podjął się wyjednać Kolumbowi dobre przyjęcie u dworu, i dał mu list do Fernanda z Talawera, spowiednika królowej, swego żytego przyjaciela, i polecił go jak najmocniej. Kolumb zabawił w klasztorze przez czas niejaki, a wkrótce zawiązała się między nim i przeorem ścisła przyjaźń, którą nie przestał chlubić się nawet i wtenczas, gdy szczęście wyniosło go na szczyt wielkości. Mały Diego pozostał w Rabida pod opieką przeora, a Kolumb opatrzony błogosławieństwem i listami tego zacnego człowieka, z sercem pełném wielkich nadziei, pojechał w pierwszych miesiącach roku 1486 do Korduby, w chwi-

li, gdy Ferdynand i Izabella wybierali się na zdobycie królestwa Grenady.

Nie była to stosowna pora do doradzania odkryć; wszyscy tchnęli wojną; spowiednik Talawera ledwie raczył przyjąć Kolumba, a zamiast popierania jego zamiaru przed monarchią, poczytał go za dziwactwo. Jakimże sposobem ten człowiek mógłby zasłużyć na uwagę? Był cudzoziemcem, ubogim, za całe polecenie miał tylko list mnicha franciszkana; nie dawano przeto wiary jego słowom i, co go najbardziej udręczało, nawet go słuchać nie chciano. Pogardzony od gminu, często wystawiony na szyderstwo, zdołał znaleźć w duszy swojej świat cały. Praca i sprzedaż mapp geograficznych wystarczała mu na utrzymanie życia. Zieknął sobie przyjaciół; wszyscy którzy zetknęli się z tym wielkim człowiekiem, doznawali wpływu jego geniuszu i wkrótce pozyskał potężnych opiekunów. Potrzebował ich mocno; inkwizycja byłaby mogła kazać mu zapłacić śmiercią wzniosłe jego natchnienia. Alonzo de Quintanilla kontroller skarbu, Luiz de Saint - Angel nuncyusz papieżki, brat jego nauczyciel infantów Hiszpańskich, i nareszcie wielki kardynał królestwa, Gonzalez de Mendoza, pochwalili jego zamiary i wyjednali mu posłuchanie u króla. Ferdynand zebrał w Salamance, radę astronomów i kosmografów dla roztrząśnienia nowej teorii. Rada ta odbyła się w klasztorze Dominikanów, gdzie Kolumba przyjęto jak najgościnniej. Lecz w r. 1487 wsczęła się wojna z Maurami, a szcęk broni zagłuszył rozpoczęte narady. Umysły jeszcze nie były dosyć dojrzałe aby go zrozumieć mogły; oprócz tego, przykre mu były wspomnienia Lizbony; lękał się żeby znowu nie usiłowano wykraść mu jego



chwałę i rozwijając plany swoje, mówił bardzo ostrożnie. Junta oświadczyła się przeciw jego zamiarowi. Jednakże od tego czasu miał wstęp u dworu. Koszta jego podróży opłacane były przez skarb królewski; ale czas upływał i wielkie wypadki polityczne nie dopuszczały iżby zwrócono uwagę na jego plany. Zdobyćcie Malagi, morowe powietrze w Kordubie i urządzenie kraju zdobytego, zajęło Hiszpanią w r 1487 i 1488. W owym czasie, król Portugalski chciał znowu pojednać się z Kolumbem i wezwał go do Lizbony, naglącym listem. Kolumb pamiętny doznanych krzywd, odmówił. Nie wiedząc czyli Hiszpania przychyli się do jego żądania, wysłał do Anglii swego brata Bartłomieja i otrzymał zachęcającą odpowiedź od Henryka VII. W owym czasie walczył z Hiszpanami przeciw Maurom i dawał dowody odwagi i wielkich zdolności wojskowych.

Nadeszła zima r. 1491. Ferdynand i Izabella zgromadzili wszystkie swoje siły, aby ostatni cios zadać państwu Grenady; Kolumb musiał się śpieszyć i podwoić błagania, jeśli chciał żeby dwór Hiszpański przyjął jego zamiary; wojna miała rozpocząć się z wiosną, a zachody około niej, na długi czas podałyby je w zapomnienie. Wówczas Talawera dostał rozkaz zgromadzić uczonych, ściśle wybadać zamiar Kolumba i przedstawić królowi i królowej zdanie nowój rady. W jednej z sal starożytnego pałacu królów maurytańskich, zasiadli wszyscy najwyżsi z rady duchowieństwa, wszyscy ze świeckich i regularnych księży, odznaczający się w teologicznych i światowych naukach, aby wydać wyrok względem najpiękniejszego odkrycia rozumu ludzkiego. Śród tego poważnego grona ukazał się

Krzysztof Kolumb. Nie okazywał obawy; krok jego był pewny, ułożenie szlachetne i śmiałe; ogień geniuszu błyszczał w jego oczach; przekonywający wyraz głosu zjednał mu słuchaczów, gdy zaczął w te słowa: skłoniwszy się piérwój głęboko swym sędziom i zebrawszy przez chwilę myśli, jakby błagając o opiekę nieba:

—Przezaeni Panowie i ojcowie przewielebni! W imieniu przenajświętszój Trójcy, Jego Królewska Mość katolicka rozkazała mi poddać pod światło waszego rozumu, zamiar, którym sam Duch Święty natchnął mnie raczył. Bóg, przemawiając przez usta swego proroka, oświadczył, że wszystkie narody znać będą ewangelią Jezusa Chrystusa, i że głos jego potężny rozlegnie się aż na krańcach ziemi. Obszerne jednak krainy Indyi, graniczące z oceanem Atlantyckim, dotąd pogrążone są w ciemnościach hałwochwalstwa. Dowiedzieliśmy się o tém od wielu tegoczesnych wędrowców, a szczególniej od Marka Pawła Wenecyanina, który długi czas bawił na dworze wielkiego Hana. Czas nadszedł: Prorok Izaiasz jasno zrozumieć daje, »iż z Hiszpanii ma wyjść owe światło co ludom tym zaświeci i przywiedzie przed tron Najwyższego, narody dotąd nie znane.« Wyspy morza oczekują Pana! Do hiszpańskich to okrętów należy stawić przed jego ołtarze dzieci ziem australnych, oraz złoto i srebro ich kopalni. Od wielu lat, królowie Portugalsey szlachetne czynią usiłowania aby przeniknąć w dalekie te strony; wiedzeni dawném podaniem Fenicyan wysyłają floty, probując morzem okrążyć Afrykę, i śpieszniój dostać się do Indyi. Dziś, gdy zbytek najwyższego dostąpił szczytu, gdy żony prostych rzemieślników stroją się w jedwa-

bne suknie, zdobne złotem i drogimi kamieniami: chcą wydrzeć Wenecyanom monopolium tego bogatego handlu, przenieść Ormuz do Lizbony, i uczynić ją składem wszystkich płodów wschodnich. Bóg nie uwieńczył jeszcze ich przedsięwzięcia, gdyż nie działali natchnieni sławą jego świętego imienia.

Szlachetni Panowie! od lat czterdziestu przebiegam morza zwiedzane przez ludzi; dziś, nową otwierając sobie drogę, zamierzam zgłębić tajemnice Oceanu. »Jeruzolima i góra Sion mają być wzniesione ręką chrześcianina; Han Katajski (a) zażądał mędrców aby go nauczylili wiary chrześcijańskiej; którzyż z was pójdą spełnić to święte posłannictwo? Biorę na siebie obowiązek, przewieźć ich zdrowo i cało.

Żądam od Hiszpanii, okrętów na udanie się przez zachód do Indyi...

Dotąd słuchano w milczeniu; lecz zaledwie wyrzekł ostatnie słowa, jednogłośny szmer powstał w zgromadzeniu. Jeden z członków trybunału inkwizycyjnego, zmarszczył brwi jakby na widok heretyka; teologowie zaczęli przeciwko niemu powstawać, uczeni astronomowie i kosmografi spojrzeli po sobie z zadziwieniem, wszyscy wyrzekli: To niepodobna! Kilku jednak dominikanów z Salamanki, którzy użyczyli Kolumbowi gościnności, a na ich czele Diego de la Doza, profesor teologii i nauczyciel księcia Don Juana, przywrócili ciszę i otrzymali iż słuchano dalej Kolumba. Nie zdziwiło go to pierwsze poruszenie; nazwyczajony był iż wszystkie jego teorye odrzucano, lecz uczuł iż musi

---

(a) Kataj, Chiny.

zgromadzić wszelkie dowody; rachując przeto na potęgę swego rozumu, rozwinął mappy, pochwycił globus, i dalej śmiało mówić zaczął:

Ojcowie moi, ja uznaję że ziemia jest kulą okrągłą; tego samego zdania był Arystoteles, gruntując się na tém, iż niebo nie przedstawia tych samych gwiazd we wszystkich krajach; ja sam sprawdziłem to postrzeżenie na wybrzeżach Gwinei i pod biegunowym klimatem dalekiej Thuli. Podobnie jak Portugalczycy przebiegli kulę ziemską z północy na południe, posuwając odkrycia swoje wzdłuż Afrykańskich wybrzeży, po za krainy które znał mistrz nasz Ptolomeusz, ja powiadam że można ją okrążyć z zachodu na wschód, i z Kadysu dostać się do brzegów Katajskich. Arystoteles mniemał że Indye nie bardzo są odległe od kolumn Herkulesowych, że z cieśniny Gades wprędce się do nich dostać można. Aenneus Seneka powiada, mówiąc o ziemi: »Jakiż przedział dzieli wybrzeża Iberyjskie od Indyjskich brzegów? Przedział który w kilku dniach przebyć może okręt, pomyślnym wiatrem pędzony.« Sam Arab Alfragan przekonany był o tej prawdzie, gdy się odważył powiedzieć, że ziemia i woda tworzą okrągłą kulę.

Wraz z Ptolomeuszem dzielę równik na 360 stopni; lecz opowiadania Cestyana i Marka Pawła, zmuszają nas dalej posunąć położenie jego wschodu, a wyspy Azorskie, których nie znał, występują na Zachodzie za południk wysp szczęśliwych. Dzieło Strabona, kosmografia Arabów, powieści tegoczesnych podróżników, nakazują nam zmniejszyć obszerność pierwotnych stopni; mappa mego przyjaciela Toskanellogo z Florencyi, umieszcza tylko o tysiąc mil od Lizbo-

ny prowincją Manosi, jój złote pałace, jój brzegi perłami obsiane i wszystkie jój cuda. Udając się do Chin, znajdem po drodze sławną wyspę Cipango, a może nawet Antillę czyli Atlantyde Platona. Tysiąc niepewnych wieści krąży między żeglarzami o istnieniu wielkiej ziemi na zachodzie; mieszkańcy wysp Kanaryjskich mniemają, że to jest bajeczna wyspa Saint - Brandon, którą wyobraźnia w obłokach im ukazuje; jestto przygłuszony szmer poprzedzający zwykle na świecie wielki wypadek, a który Bóg zdaje się puszczać jakby na zwiastowanie jego; tym wypadkiem jest to opowiadanie wiary chrześcijańskiej u Indyan, jest to handel owych krain, prowadzony wprost z Hiszpanią. Te same wały Atlantyku które biją o zachodnie wybrzeża Europy, kapią także Indyjskie brzegi. Sternik króla Portugalskiego, Marc'in Vicenti, znalazł o 450 mil na zachód przyłładku Świętego Wincentego, kawał drzewa wyżłobiony snycerską robotą ostrym kamieniem, a pędzony ku niemu zachodnim wiatrem; mój szwagier widział w Porto - Santo, na wyspach Azorskich, podobną sztukę drzewa; mieszkańcy tychże wysp pokazywali mi ogromne trzciny pochodzące z zachodu i zupełnie takie jakie opisał Pliniusz pomiędzy płodami Indyi; ja sam widziałem na koniec pomiędzy muszlami wyspy Flores, naniesionemi wschodnim wiatrem, potworne jodły i trupy dwóch ludzi, których rysy zupełnie były nam nieznane...

Miał dalej rozwijać swój systemat, gdy ciemnota i fanatyzm głos jego zatłumiły. Jeden z najzawziętszych teologów powstał i objawił zdanie swych współtowarzyszy.

Oświadczył, że mniemanie Kolumba sprzeciwia się

wyraźnie słowom pisma Śgo, i że technie bezbożnością i kacerstwem.

Szczęściem, kilka osób bieglejszych w naukach przypuszczało okrągłość ziemi. Ci uczynili tylko zarzut wraz z Cynceronem: Gdy mówimy o strefie umiarkowanej - południowej i jej mieszkańcach zwanych antypodami, trzeba zawsze dać do zrozumienia że ich nie znamy i żadnej nie mamy o nich wiadomości, i że nie wiemy z pewnością czy ziemia ta jest zamieszкана lub nie. Linia którą słońce przebiega pomiędzy dwoma zwrotnikami, sama tylko na myśl nas wprowadza o ich istnieniu. Antypodowie są dla nas jak gdyby nie byli. Bo, mówi Pliniusz, z pięciu stref, dwie północne wydają same tylko lody; jestto pobyt wiekuistych mrozów i ciemności; sam blask śniegu wydaje tam białawe światło! Strefa środkowa nieustannie palona i trawiona jest promieniami słońca; przejście więc z jednej strefy umiarkowanej do drugiej, jest niepodobnem. Dla tego też, gdy Portugalczycy, pod panowaniem Henryka, przeszli na południe rzeki Senegal, ze zgrozą ujrzeli rodzaj ludzki przedstawiający się im w zupełnie nowych kształtach; ludzie mieli skórę czarną jak heban, włosy krótkie i kędzierzawe, grube wargi, nos spłaszczony: tam słońce przekształca ludzką naturę, dalej pożera ją i śmieli żeglarze wrócili się nazad. A jeśli przestając na płynieniu ku wschodowi, nie zapuścisz się w owe pałające przestrzenie, obwód ziemi jest tak wielki, iżbyś przynajmniej trzy lata musiał strawić na tej podróży; z resztą, w pewnej odległości, wypukły kształt ziemi dozwoliłby ci zejść na dół, ale nigdy wrócić w górę. Ach! któż ci zare-

czyć może, iż ocean także granic nie ma, i że nie znajdziesz przepaści zaludnionych potworami?

Na te zarzuty, brane z samejże natury rzeczy, Kolumb odetchnął i uśmiechnął się:

—Ostatnie odkrycia Portugalczyków, rzekł, zwaliły starą stref teoryę; ja sam przebyłem równik i w strefie gorącej znalazłem podobną ziemię do naszej, której mieszkańcy obficie zbierają złoto, gummy, kość słoniową i inne płody przyjemnego chociaż gorącego klimatu. Kilka lat temu (1486) Portugalczyk Diaz posunął się aż do 33go stopnia po za równik, i widział kraniec Afryki, ów straszliwy przyładek burz, który Król Jan, ufny w przyszłość, nazwał przyłądkiem Dobrój Nadziei. A kiedy ta sama potęga, co ustala na powierzchni ziemi kroki Bretańczyków i czarnych mieszkańców Afryki, udziela także Indyanom władzę nóg, mam nadzieję, że gdy przebędę morze dzielące nas od Indyi, Bóg nie przeistoczy praw swoich, nakazanych naturze.

Lecz samą wyższością rozumowania, Kolumb raził zarozumiałość sądzących go doktorów, i chociaż wielu z nich, uderzeni nowém światłem które w umysł ich rzucił, poparli w końcu jego teoryę, zgromadzenie jednak wyrokowało:

Że obie półkule ziemskie rozdzielone były na zawsze; iż byłoby to zbytnią zarozumiałością, przypisywać sobie większe wiadomości, niżeli je posiada reszta rodzaju ludzkiego; że jeśli by krainy które Kolumb zamierza sobie odkryć, istniały, nie mogłyby pozostać tak długo nieznane. Nikczemny sternik! Genuieńczyk! mógłżeby znaleźć świat, o którym 40 wieków nie wiedziało?

Fernando Talawera przedstawił monarsze to zdanie Junty. Lecz przyjaciele których Kolumb miał u dworu, a szczególnie godny zakonnik Diego Doza, żarliwie za nim obstawali, błagając aby zdanie to nie uważane było jako nieodwołalne. Ferdynand i Izabella przestali na odpowiedzi, że zachody wojenne nie pozwalają im zająć się jego propozycją, lecz że ją wezmą pod rozwagę, gdy pokój podpisanym zostanie.

Przez lat piętnaście Krzysztof Kolumb marzył olbrzymią sławę; sądził że jest bliskim jęj pozyskania, gdy stanął przed zgromadzeniem, o które tak dawno błagał; aż tu mędrcy oświadczyli, iż pomysł jego, najobszerniejszy z pomysłów które kiedykolwiek wydał rozum ludzki, był tylko urojeniem, i wystawili go na śmieszność i szyderstwa ciemnoty. Zdanie sędziów przedarło się do dworzan i do ludu samego, a złość mianowała go tylko imieniem Geneueńskiego awanturnika. Chociaż najściślej trzymał się przepisów i obrzędów religijnych, fanatycy unikali go jak heretyka przeznaczonego na auto-da-fe, złośliwe dzieci niosły rękę do czoła gdy przechodził; ulicą, mówiąc: *El loco! el loco!* (waryat! waryat!)... Kolumb uczuł na chwilę, iż ziemia uchyla się pod jego stopami, i gorzka rozpacz ogarnęła jego serce.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



## FRANCYA.

OBRAZ STATYSTYCZNY, OBYCZAJOWY I MAŁOWNICZY.

(Dalszy ciąg).

Dług publiczny Francyi, zasięga czasów Franciszka Igo. Za panowania tego monarchy, procent roczny od długu wynosił 60,000 liwrów, a dochody kraju 15.730.000 liwrów. Oto jest wykaz wzrostu długu krajowego, od panowania Karola IX.

w r. 1562 za Karola IX. . . . .	17,000,000 liw.
— 1539 długi zostawione przez Henryka III. . .	339,649,000 —
— 1555 za Henryka IV. pod ministerstwem Sullego .	96,900,000 —
— 1660 za Ludwika XIV. pod ministerstwem Rolberta	785,400,000 —
— 1698 dito — pod ministerstwem Pelletier	1,301,690,000 —
— 1710 dito — pod minister: Chamillara	4,386,318,750 —
— 1788 za Ludwika XVI. pod ministerstwem Nekera	4,245,750,000 —
— 1796 za Rzeczypospolitęj, assygnaty puszczone	w obieg 45,581,000,614 —
— 1797 Bankructwo, ustalenie trzeciej części długu (1).	

(1) Roztrząsając najznaczniesze wypadki finansowe we Francyi, przestrzegamy, iż rząd w sześciu rozmaitych epokach, zniewolony koniecznością, samowolnie zmniejszył dług publiczny. *Pierwszy raz*, za ministerstwa Sullego, który zmniejszył procenta naznaczone wierzycielom za poprzednich rządów, a opłaty poprzednie potrącił na umorzenie kapitału. *Drugi raz*, przy końcu panowania Ludwika XIV, pod ministerstwem Desmarets, nie zapłacono ani kapitału ani procentów od summ złożonych w kasie pożyczek; tegoż samego losu doznały i inne długi, *Trzeci raz*, po upadku systemu Lawa, zmniejszono samowolnie dług krajowy. *Czwarty raz*, za ministerstwa xiędza Terray, nie zapłacono wiele bardzo długów rządowych.

— 1807	za Napoleona	pod ministerstwem Gaudin	1,912,500,000 fr.	
— 1814	—	tylko dług wpisany w wielką księgę	1,266,142,740	—
— 1821	za Ludwika XVIII.	pod ministerstwem Villela	3,466,000,000	—
— 1825	(wynagrodzenie emigrantów, zamiana rentów,	zniżenie procentu z 5, na 3 i 4. od sta		
— 1829	za Karola X.	. . . . .	4,260,000,000	—
— 1831	za Ludwika Filipa	pod min: Raz. Perrier	5,185,438,457	—
— 1832	—	— — — — —	5,417,495,017	—

Środkiem utrzymania kredytu i rękojmią wypłaty tak znacznego długu jest *Kassa Umorzenia* połączo-  
na z kasą depozytową. Dwie te kassy, z których każ-  
da ma zupełnie oddzielną czynność, zostają pod na-  
czelnem zarządem jednego dyrektora generalnego. Gdy  
za panowania Ludwika XVIII. urządzono i uporząd-  
kowano skarb Francyi, obmyślono fundusz na stopnio-  
we spłacanie długu krajowego i nazwano go fundu-  
szem *Kassy Umorzenia*. Zarząd kassy wykupuje papie-  
ry długu krajowego, na giełdzie, podług kursu, w epo-  
ce którą za najkorzystniejszą uważa; wykupione papie-  
ry już nie mogą pod żadnym względem być znowu  
puszczone w obieg, lecz pozostają w kassie, a procent  
od nich opłacany, pomnaża fundusz umorzenia i służy  
do tém spieszniejszego spłacenia długu. Od roku 1816  
do 1834, *Kassa Umorzenia* otrzymała od skarbu :

712,651,694 fr. uposażenia corocznego ,

508,987,883 procentu od długu

wykupionego,

88,241,164 dochodu za sprzedane lasy,

4,629 rozmaitych procentów,

1,309,885,370 ogólnego wpływu.

*Piąty raz*, za czasów rewolucyi, skassowano bez zapłacenia 45,581,000,614  
assignatów, i 2,400,000,000 mandatów skarbowych. Nakoniec, *szósty raz*,  
w 1797 za ministerstwa Ramela, zmniejszono o dwie trzecie części dług  
publiczny, reszta, nazywa się *le tiers consolidé*, część trzecia ustalona,  
i od niej rząd płaci 5 procentu od sta.

Wykupiła długi za 1,271,686,708, fr. Doliczywszy procent od tego długi, do corocznego uposażenia wynoszącego 44,616,463 fr. okaże się, iż Kassa Umorzenia w r. 1835, 6, 7, 8 i 9tym mogła jeszcze wykupić długi za 540 milionów franków czyli razem z dawniejszym, za 1,800 milionów, to jest trzecią część całego długi. Jeżeli nadzwyczajne okoliczności nie zmienią i nie ograniczą działania Kassy Umorzenia, cały dług Francyi może być spłacony w przeciągu lat 30 do 40stu.

Wszyscy statyscy przyznają, że ministerstwo skarbu we Francyi jest bardzo dobrze urządzone; jasność, porządek, łatwa kontrola i porównanie przychodów z wydatkami, są jego znamieniem. Ministrowie Roy i Villele, są głównemi sprawcami ulepszeń zaprowadzonych w skarbowości francuzkiej.

Zwróćmy teraz uwagę na dochody i wydatki tego kraju, zaczynając od epoki Napoleona.

w r. 1801.	Napoleon Bonaparte pierwszy konsul	549,720,169
— 1802.	— — — — —	499,937,885
— 1803.	— — — — —	632,279,523
— 1804.	Napoleon Cesarzem . . . . .	804,431,555
— 1805.	Wojna z Austryą . . . . .	700,000,000
— 1806.	— z Prusami . . . . .	902,148,490
— 1807.	— dito . . . . .	731,725,686
— 1808.	— z Hiszpanią . . . . .	772,744,445
— 1809.	— z Hiszpanią i Austryą . .	786,740,214
— 1810.	— z Hiszpanią . . . . .	785,060,443
— 1811.	— dito — . . . . .	1,000,000,000
— 1812.	Wojna z Rossyą . . . . .	1,006,014,000
— 1813.	— w Niemczech . . . . .	975,453,797
— 1814.	9 mies: panowanie Ludwika XVIII.	609,394,624
— 1815.	(rządy stu dniowe) — —	798,590,859
— 1816.	— — pokój . . . . .	895,577,205
— 1817.	— — dito . . . . .	1,036,810,583

— 1818.	—	—	pokój . . . . .	1,414,433,706
— 1819.	—	—	dito . . . . .	868,312,572
— 1820.	—	—	dito . . . . .	875,342,252
— 1821.	—	—	dito . . . . .	882,321,254
— 1822.	—	—	dito . . . . .	949,174,982
— 1823.	Wojna z Hiszpanią . . . . .			1,118,025,162
— 1824.	(16 Września) panowanie Karola X. . . . .			986,073,842
— 1825.	—	pokój . . . . .		981,762,609
— 1826.	—	dito — . . . . .		976,948,919
— 1827.	—	dito — . . . . .		986,534,765
— 1828.	—	dito — . . . . .		1,024,100,635
— 1829.	—	dito — . . . . .		1,014,914,432
— 1830.	(7 Sierpnia) panow: Ludwika Filipa . . . . .			1,095,142,115
— 1831.	—	pokój . . . . .		1,214,610,975
— 1832.	—	dito — . . . . .		1,164,610,747

Przychody kraju składają się z podatków stałych, i dochodów z ceł, stępla, tabak, opłat od trunków, poczt, z porębów leśnych, z soli i kopalni, z fabrykacyi monet i t. d.; dochodzą, w miarę mniej lub więcej pomyślnych okoliczności, od 950 do 1,000 milionów franków. Na parę lat przed rewolucyą lipcową, za Karola X, przenosiły tysiąc milionów. Zaburzenia w kraju zaszcze, a zład wynikający upadek handlu i przemysłu, zmniejszyły je o kilkadziesiąt milionów. W nadzwyczajnych zdarzeniach, mianowicie na koszta wojny, rząd zaciąga pożyczkę, a na opłacenie procentu i fundusz umorzenia, powiększa jaką gałąź podatków, albo téż zaprowadza zmniejszenia w rozmaitych wydatkach służby publicznej i w przedsięwzięciach kosztem rządu wykonywanych.

Trudno jest bardzo obliczyć, ile gotowych brzęczących pieniędzy cyrkuluje we Francyi. Wiadomo tylko, że od Napoleona aż do Ludwika Filipa, wybito za 1,022,296,620

fr. pieniędzy złotych, a 2,518,655.235, srebrnych. Przy ministerstwie skarbu znajduje się *kommissya monet* i medalów czuwająca nad dobrocią monet i ich robotą, taxuje ona i stępluje sztaby srebra i złota używane w handlu, i t. p. W całej Francyi jest 13 mennic.

Izba obrachunkowa ustanowiona prawem 16 Września 1807 r. kontroluje i sprawdza rachunki wszystkich władz krajowych. Prezes i radcy mianowani są przez króla i nie odwołalni. Izba zajmuje bezpośrednie miejsce po sędzie kassacyjnym.

*Rolnictwo przemysł i handel.* Grunt Francyi przydatny jest do wszelkiego rodzaju uprawy i można liczyć ją bardziej do rzędu krajów rolniczych niżeli przemysłowych i handlowych. Jednakże, dopiero od lat pięćdziesięciu rolnictwo uczyniło postępy, lubo jeszcze nie bardzo znaczne. Dziś, ulepszenie zwierząt domowych, zaprowadzenie nowych ras, rozszerzenie wielu pożytecznych plantacyi, utworzenie licznych łąk sztucznych, zaprowadzenie wydoskonalonych machin rolniczych, wyrabianie cukru z buraków: wszystkie te zdobycze nauki nad zastarzałym nałogiem, czynią nadzieję, że na przyszłość postępy rolnictwa będą ważne i szybkie. Podług wyrachowań opartych na najlepszych zasadach, Francya liczy:

12,840,000	hektarów (1)	dobrych gruntów,
10,290,000	—	stepów i zarosli,
10,290,000	—	gruntów górnych,
8,440,000	—	— kamienistych,

---

(1) Hektar równy jest naszemu 53,583, prętów kwadratowych czyli  $1\frac{1}{4}$  morgi i 11 prętów.

5,800,000	hektarów	gruntów	kredowych,
1,405,000	—	—	zwirowatych,
3,695,000	—	—	piaszczystych.

Podług dokumentów statystycznych rządowych w r. 1835 przez ministra handlu ogłoszonych, jest 25,559,151 hektarów roli zdatnej do uprawy pługiem, a do tego dołączwszy 951,934 hektarów przeznaczonych na pomniejsze rozmaite płody, mieć będziemy połowę powierzchni Francyi. Z tych 23,224,000 zajmują zboża, lecz nie są corocznie zasiewane, i obliczono że prócz gruntów zostawionych na ugory i pastwiska, corocznie zasiewają zbożem we Francyi 13,542,450 hektarów. Z tych trzecia część idzie pod pszenicę, szóstą pod żyto, czternasta pod mieszaninę żyta i pszenicy (u nas w Polsce nie znaną), dwudziesta pod jęczmień, dwudziesta czwarta pod kukurudzę i proso, dwudziesta pod tatarkę, szóstą pod owies.

Doświadczenie przekonało, rzekł minister handlu podczas narad nad prawem zbożowem w roku 1832, iż Francya w obecnym położeniu, wydaje podczas średniego urodzaju, zbiór zboża wystarczający na potrzeby kraju a nawet i niejaką przewyżkę. Obfity urodzaj powiększa tę przewyżkę, a wtedy znaczną ilość zboża można wyprowadzić z kraju. Gdy kilka lat dobrych następuje po sobie, ten nadmiar staje się bardzo widocznym, a nawet szkodliwym dla rolnictwa; tak było w latach 1818 i 1819. W latach nieurodzajnych jest brak, jako to w 1820 r. a jeżeli po biednym zbiorze nie zostały żadne zapasy w spichlerzach, ciężko będzie doczekać nowego zbioru; gdy zaś i ten chybi, głód mocny może nastąpić. Postrzeżenia czynione przez lat pięć nad tym przedmiotem, mówi pan

Gautier w Cererze francuzkiej, wykazują następujący rezultat. 1. Zbiór zboża przewyższa w massie wzięty potrzeby kraju. 2. Najbliższy zbiór nie daje przewyżki większej nad potrzebę cztero lub pięcio miesięczną. W średnich latach kraj wydaje 155,000,000 hektolitrow (1) zboża, z tego na zasiew wychodzi 24,000,000

na wyżywienie ludzi . . . . .	97,000,000
na wyżywienie bydła, koni i zwierząt domowych . . . . .	29,400,000
na dystylacyą i rozmaite konsumpcye .	1,600,000
	<hr/>
Razem	152,000,000

Przewyżka zatem dochodzi tylko do 3,000,000, to jest ledwie na pół miesiąca na wyżywienie kraju.

Co do pszenicy, produkcya nie wyrównywa potrzeby, i co rok muszą jęj część sprowadzać z zagranicy. Najznaczniejszy dowóz był w roku 1832 i wynosił 4,678,793 hektolitrow, czyli korey warszawskich 3,658,432.

Znane są i cenione winnice Francyi; przez przybliżenie oznaczono, że wydają 38,000,000 hektolitrow czyli 950,000,000 garncy wina corocznie; z których  $\frac{2}{3}$  konsumuje się w kraju a  $\frac{1}{3}$  wyprowadzają za granicę. Owiec liczono w 1826 r. 4,000,000, a liczba ta znacznie wzrosła do roku bieżącego. Według Chaptala, wartość corocznych wyrobów wełnianych jest 238,133,932 fr. Bydła rogatego liczą 8,000,000., koni i mułów 2,300,000.

Statystyci Francuzey obliczyli wartość gruntów, łąk lasów, pastwisk i t. d. na 41,460,120,000 franków,

---

(1) Hektoletr czyni 25 garncy polskich.

licząc w to domy i budowle gospodarskie. Ruchomości i narzędzia, na 3,325,000,000. Inwentarze i płastwo domowe 2,243,250,000. Dochód brutto wynosi 5,237,178,000; wydatki, łącznie z wyżywieniem ludzi i zwierząt 3,552,000,000. Czysty więc dochód wynosi 1,626,000,000. Francya posiada rozmaite stowarzyszenia i rady rolnicze, najznacniejsze są: 1) *Rada Rolnicza* utworzona w r. 1819; składa się z 130 właścicieli lub członków towarzystw rolniczych wezwanych przez ministra handlu; daje ona zdanie co do przedmiotów prawodawczych i administracyjnych; dotyczących się rolnictwa; zbiera się pod prezydencją ministra. 2) *Królewskie centralne towarzystwo rolnicze*; zasiada w Paryżu, w ratuszu. Towarzystwo to założone w r. 1788, przywrócone w 1818, jest ogniskiem rozmaitych towarzystw rolniczych królestwa; składa się z 40 członków zwyczajnych, 9 przybranych, 20 cudzoziemców i korespondentów, zbiera się dwa razy na miesiąc a raz w rok w kwietniu ma posiedzenie publiczne i rozdaje nagrody. 3) *Towarzystwo postępów rolniczych w Paryżu*: towarzystwo to rozdaje nagrody i wydaje dziennik p: t: *Rolnik*. 4) *Towarzystwo ulepszenia węgny w Paryżu*. 5) *Towarzystwo ogrodnicze w Paryżu*, wydaje p: t: *Roczników*, zbiór prac swoich. W departamentach znajduje się 148 *Towarzystw Rolniczych*, 10. *Rad rolniczych* i kilka instytutów rządowych.

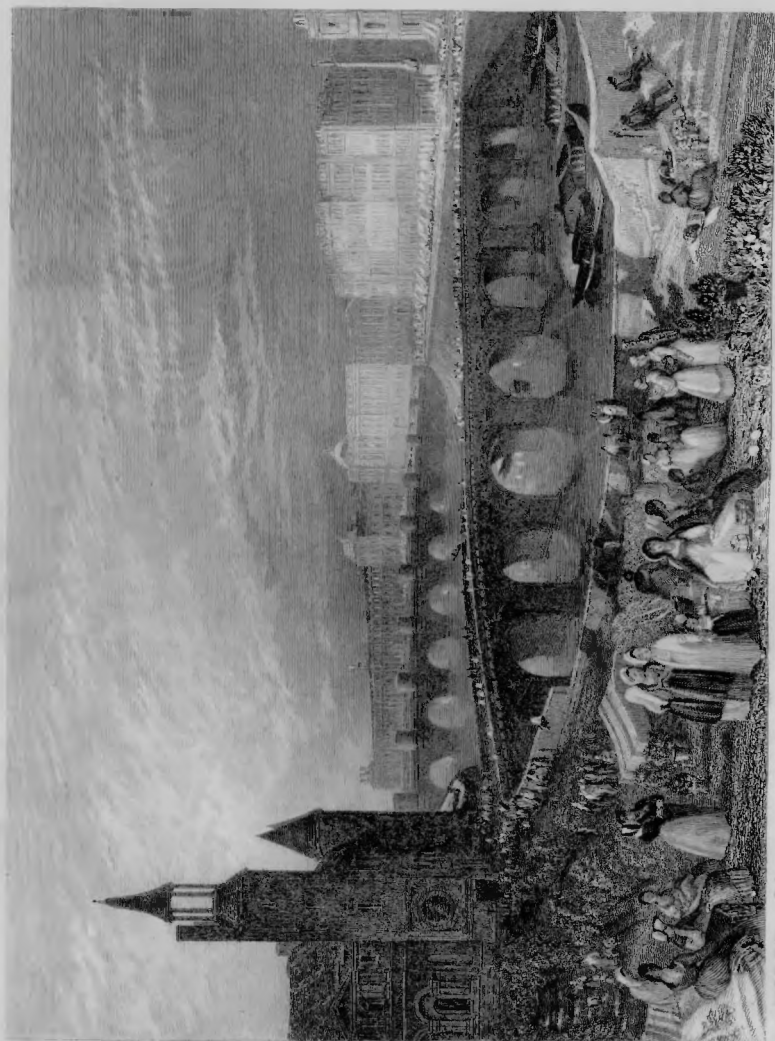
(Dalszy ciąg nastąpi).



BIBLIOTHEKA

Nr. Tom

IZYSCIA MÜNNICHA



## WYCIECZKA DO EGIPITU I ARABII.

(przez *Alexandra Dumas*).

Dalszy ciąg.

---

Ahmed-Ebn-Taylun, którego ojciec był dowódcą gwardyi Bagdackich kalifów, założył stary Kair. Błędny ów zdobywca nazwał go *Postat*, czyli namiot, i zbudował w nim meczet zwany Taylun. Fatymita Djuhaar zdobył r. 969 ów obóz kamienny, zakreślił stanowisko nowego miasta, i nazwał je Mars-el-Kakirah, to jest *Zwycięzkie*. Na początku dwunastego wieku, Salah-Eddin zdobył Egipt i zagarnął miasto *Zwycięzkie* pomiędzy swoje zdobycze. Pod jego to panowaniem, Karakush, wódz jego, zbudował twierdzę i mury okalające miasto. W kilka lat później, Beybar, dowódzca mameluków, zgładził ze świata wezyra i w miejscu jego objął panowanie. Następcy jego posiadali spokojnie Kair, aż pokąd w r. 1517, Selim uczynił Egipt prowincją turecką. W owych to czasach, gdy miasto Ahmeda-Ebn-Taylun rozsypywało się w gruzy, miasto Djuhaara wznosiło kolejnie pyszne swoje budowle.

Kair, zajmuje ogromną przestrzeń ziemi, a ludność jego wznosi się do trzykroć stutysięcy dusz; podzielony jest na kilka dzielnic, podobnie jak europejskie miasta w średnich wiekach, to jest na dzielnice Arabów, Greków, Żydów i Chrześcian; każda dzielnica przedzielona jest bramą, przy której nocą czuwa strażnik. Znajdowaliśmy się, jakem wyżej wspomniał, w dzielnicy Chrześcian, zwaną dzielnicą Franków, a z której niebezpiecznie wychodzić w ubiorze europejskim.

Nazajutrz o godzinie oznaczonej przyszedł nasz kupiec z sukniami. Sama już ta akuratność nadaje wyższość krawcowi tureckiemu nad krawcem francuzkim. Kilku współziomków zwabionych ciekawością przyszło zobaczyć nasze przeistoczenie. Krawiec przyprowadził ze sobą cyrulika, przez którego ręce, lub raczej nogi musieliśmy pierwój przechodzić nim zaczął około nas robotę. Ceremonia odemnie się zaczęła.

Cyrulik usiadł na krześle a mnie posadził na ziemi. Potém wyjął z za pasa małeńkie żelazne narzędzie; poznałem że to była brzytwa gdy je o dłoń potarł. Włosy mi się ze strachu najeżyły na samą myśl że ta piła przebiegać będzie po mojej głowie, lecz w téj chwili ścisnął mi głowę kolanami, jakby kleszczami, i pojąłem że najlepiej zrobię kiedy się ani ruszę. I dobrze zrobiłem: ów pogardzony kawałek żelaza, tak lekko przebiegał po wszystkich częściach mojej czaszki, że aż mi było przyjemnie. Po pięciu minutach cyrulik roztworzył kolana, podniosłem czoło, i posłyszałem w około siebie śmiech powszechny; przejrzałem się w zwierciadle, byłem całkiem ogolony, pozostał mi tylko na głowie błękitnawy odcień, jedyny

zabytek kruczych moich włosów. Oślupiałem na takowy pośpiech; prócz tego nie widziałem się nigdy w takim stanie, i sam nie mogłem siebie poznać. Zacząłem szukać po nad teozoficznym guzem kosmyka włosów, za który anioł Gabryel unosi muzułmanów do nieba, i tego nawet nie było. Zdawało mi się że mam prawo dopominać się o niego; lecz na pierwsze wyrzeczone przezemnie słowo odpowiedział mi balwierz, iż ozdoba ta jest cechą pewnej dyssydenckiej sekty, nie bardzo uważanej pomiędzy innemi z powodu nienajlepszych obyczajów. Przerwałem mu zapewniając, iż pragnę jedynie należeć do sekty jak najczystszej, gdyż moje obyczaje zawsze były w Europie przedmiotem powszechnego uwielbienia. Przeszedłem potem w ręce krawca; najprzód włożył mi obcisłą białą czapeczkę na głowę, na tę czapeczkę czerwony tarbuch, a na tarbuch zwinięty zawój, co mnie przeistoczyło w prawowierneho. — Włożono potem na mnie suknię i *abbaye*; boki podobnie jak głowę ściśnięto mi szalem, u którego dumnie zawiesiłem szablę, zatknąłem puginał, ołówki, papier i ośrodek chleba. Krawiec upewnił mnie że w tym stroju wszędzie się mogę pokazać. Nie wątpiłem o tém; z jak największą niecierpliwością, jak aktor mający pierwszy raz wystąpić na scenę, oczekiwałem aż się skończy przeistoczenie moich towarzyszków. Musieli teraz odbyć z kolei przed memi oczyma operacyę, którą ja w ich oczach odbyłem; i wydało się że moja głowa nie była najśmieszniejszą. Po skończoném ubraniu, zbiegliśmy po schodach i wyszli na miasto.

Dość byłem zakłopotany całą moją osobą: zawój ciążył mi na czole; fałdy sukni i płaszcza iść mi prze-

szkadzały; moje papucie i nogi, nieprzywykłe jeszcze do siebie, częstego doznawały rozdziału. Mohamed postępując obok nas, miarkował nasze kroki, częstém: Zwolna, zwolna. Gdy wreszcie ukoła się nieco żywość francuzka, gdy nabywszy trochę powolności zaczęliśmy bardziej zważać na miarowe kołysanie ciała, mające nadać naszemu chodowi wdzięk arabski, wszystko poszło jak najlepiej. W ogóle, ubior ten zastosowany do klimatu, jest nierównie od naszego wygodniejszy, ściska tylko kibić a wszystkie zgięcia wolne zostawia. Turban tworzy w około głowy pewien rodzaj muru i pozwala jęj wolnie parować, co żadnego uszczerbku nie przynosi reszcie ciała, i bardzo jest przyjemném.

Najpięrszą wizytę odbyliśmy do pałacu Paszy; droga odkryta była szczętami starożytności, i Mohamed musiał nas co chwila wyrwać z podziwającego przypatrywania się. Nic nie zdola dać wyobrażenia o delikatności i dowcipie ozdób arabskich; bo Kair wszędzie jest wielkim, bądź w szczegółach, bądź w ogóle, czyli to ukaże kawałek ulicy lub róg meczetu, lub czy w powszechnym obrazie rozwinie przed oczyma swoje trzysta medenachów, siedmdziesiąt dwie bram, olbrzymią opaskę murów, groby kalifów, piramidy, Nil i pustynię.)

Przebyliśmy śpiesznie wspaniałe bazyry i ulice namiotami przykryte; przybyliśmy potem do olbrzymiego meczetu sułtana Hassana, placem oddzielonego od cytadelli, ku której główną swoją wystawę obraca. — Udaliśmy się stromą drogą wiodącą do *Dywanu Józefa*; obok niego znajduje się sławna studnia, którą nam wskazał pan Taylor. Jest to czworograniasta budowa, dostarczająca wody cytadelli, a która ma być tak

głęboka jak rzeka: wykuta jest w skale, i schodzi się do niej po stopniach, oświeconych z razu dziurami wybitymi w jej ścianach; lecz gdy się dojdzie do pewnej głębokości trzeba zapalić pochodnie.

Meczet znany pod imieniem *Dywanu Józefa*, wsparty jest na kolumnach z cudownego marmuru, dźwigających na swych korynckich kapitelach nieco wklęsłe arkady, ozdobne do koła arabskimi głóskami, wskazującami ustępy z koranu. Postępując coraz wyżej przybywa się do pałacu Paszy, zbioru kamieni, słupów drewnianych i malowideł włoskich w najszkaradniejszym guście; całość nawet jak najgorzej zastosowana jest do klimatu.

Towarzyszył naszój wycieczce pan Msara, tłumacz konsulatu, dawny drogman gwardyi mameluków; handlował on starożytnościami, wiedział prócz tego mnóstwo anegdot, co go czyniło jednym z najbardziej zajmujących *cicerone*. On to wytłumaczył nam wspaniałe panorama, które z wzniesłego tego punktu rozwinęło się przed naszymi oczyma.

Cytadella wznosi się po nad Kairem. Obróciwszy się twarzą ku wschodowi a plecami do rzeki, na prawo będziemy mieć południe, na lewo północ; a przed oczyma niezmierzone półkole; u stóp naszych wznoszą się groby kalifów, miasto martwe, milczące i niezamieszkane: jest to Nekropolis olbrzymów. Każdy grobowiec wielki jest jak meczet, a każdy pomnik ma swego stróża, niemego jak mogiła. Zwiedzimy je później przy świetle pochodni, wywołamy jego widma, ptaki drapieżne, siedzące przez dzień na wieżyczkach co go zwieńczają, a nocą powracające do grobów, jakby uwiadomić dusze kalifów, że teraz na nich kolej wyjść

z ich wnętrza. Za tém miastem pomników i śmierci, ciągnie się łańcuch Mokattanu, prostopadła i spieczona skała, odbijająca aż na Kair pożerzące promienie słońca.)

Obróciwszy się, postrzegamy pod naszymi stopy miasto żyjące zamiast miasta zmarłych; zapuściwszy oko w zagmatwane i kręte ulice, widzimy krążących po nich, zwolna i poważnie, kilku Arabów pieszo, ubranych w wspaniałe msallach, lub kilku Turków na osłach; potem jakiś tłum w nieładzie, z którego powstają krzyki wielbłądów i kupców: są to bazy; dalej dach kopuł, i las medenachów, podobny do masztów lub drzew palmowych; na lewo stary Kair, czyli *Namiet Tayluna*; na prawo Bulak, pustynia Helio-polis; wprost, po za miastem, Nil i wyspa Rudach, a po drugiej stronie pobojuwisko Embabech; dalej jeszcze pustynia; na wschodo-zachód piramidy Ghizejskie, sfinks, niezmierzony las palmowy, w którym spoczywa kolos, co był niegdyś Memfisem; po za jego szczytami jeszcze piramidy; potem pustynia, pustynia na wszystkich widnokręgach: piaszczysty ocean, nieścignięty okiem jak ocean prawdziwy, ze swoim przybywaniem i ubywaniem; ze swemi karawanami co go przerzynają jak floty; ze swemi wielbłądami, co się po nim suną jak łodzie; z simunem co jak orkan wzburza jego łono.

Z tego samego tarasu na którym teraz znajdujemy się, Pasza egipski, w r. 1818, kazał kartaczami walić na gwardyę mameluków, którą zwołał jakby na uroczystość jakową: przybyła podług zwyczaju, strojna w najpiękniejszy ubiór, uzbrojona w najlepsze oręż, niosąc ze sobą całe swoje bogactwo. Na znak przez



Paszę wydany, śmierć zionęła ze wszystkich punktów; ogniste paszcze krzyżowały swoje płomienie i kule, a ludzie i konie zanurzyli się w krwi potokach. Wówczas rozpięch się cały ów tłum przelekły, uderzając czołem o mury z szalonymi krzyki zemsty i wściekłości, mieszając się wirem, dzieląc na drobniejsze grupy, rozpięchając jak liście wiatrem pędzone, to znowu łącząc się nagle, i w ostatniem wysileniu drugocząc piersi rumaków o ryczące paszcze armat; potem cofając się nazad jak stado spłoszonych ptaków, które w biegu ściga grad brązowy. Wielu wówczas straciło się ze szczytu cydelli i legło wraz z rumakami; dwóch jednakże z pomiędzy nich powstało; jezdcy i konie odurzeni, chwiali się przez chwilę, jak konne posagi których trzęsienie ziemi wzrusza podstawę; potem obaj jezdcy i oba konie puścili się lotem błyskawicy, przebyli przystań miasta, jeszcze wówczas niezamkniętą, i ujrzeni się po za Kairem. Zwrócili natychmiast bieg swój ku miastu kalifów, przebyli gród milczący, który pod ich kroki tętniał jak grobowa pieczara, dostali się do łańcucha Mokattanu, w chwili, gdy konna gwardya Paszy, wybiegała za nimi w pogoń z miasta. Jeden udał się drogą do El-Arich, drugi zapuścił się w góry; pogoń rozdzieliła się, i dalej ścigała za niemi.

Był to niejako widok cudowny, owa gonitwa na śmierć i życie, owe rumaki puszczone przez góry, przeskakujące skały, przebywające wpływ potoki, drapiące się po skraju przepaści. Po trzykroć koń jednego z mameluków padł, pozbawiony prawie oddechu i życia; po trzykroć, słysząc ścigający go galop powstał, i w dalszy bieg się zapuścił; powalił się nakoniec, aby nie po-

wstać więcej. Mameluk dał wówczas rozczulający przykład wzajemnej wierności; zamiast ześlizgnąć się ze skały w jakowy wąwóz i dostać się na urwisko niedostępne koniom, siadł przy rumaku, założył cugle na rękę i czekał; przypadli żołnierze i zabili go: nie wydał najmniejszego jęku, najmniejszego westchnienia. Drugi mameluk, szczęśliwszy od towarzysza, przebył El-Arich, dopadł pustyni i został rządcą Jerozolimy; widzieliśmy tam ten jedyny szczątek owego groźnego korpusu, który przed trzydziestą laty ubiegał się o mężstwo z wyborem młodej armii Francuzów.

Główną rzeczą która nas uderzyła w tej wycieczce było mnóstwo ludzi bez uszu i nosów, co godnym owym ludzom dziwnie fantastyczny nadawało pozór. Spytałem Mohameda o przyczynę tego nadzwyczajnego zjawiska; odpowiedział mi, iż szanowni ci inwalidzi przeszli wszyscy przez ręce poprawczego trybunału w Kairze. Słowa te potrzebowały wytłómaczenia: Pan Msara, zawsze uprzejmy, objaśnił nas natychmiast:

Kair jest jeszcze pierwotną kryiną, która nie miała czasu dosięgnąć naszej cywilizacji, i nie ma całej armii agentów na podstrzeganie armii złodziejów; z resztą jak najstaranniejsze poszukiwania, jak największa baczność, jeszcze byłyby omyłone i nie dosięgłyby swego celu. Skoro winowajca wyslizgnie się za mury Kairu, już jest w pustyni. A sprawiedliwość zarówno brzydzi się piaskiem jak i wodą; każde morze ją przestrasza: trzeba więc było zaradzić tej niedogodności. Kadowie, których to szczególnie obchodziło, zaczęli nad tém przemyśliwać i wynaleźli dowcipny sposób rozróżniania złodziejów od ludzi poczciwych.

Skoro schwytają złodzieja, co się zdarza niekiedy, każdy rozkazuje przyprowadzić przed siebie obwinionego, robi wywód słowny, a gdy go o występek przekona, chwyta jedną ręką za ucho złodzieja, drugą bierze brzytwę, i zręcznie przesuwą narzędzie pomiędzy swoją ręką a głową oskarżonego; zwykle w skutku podobnej operacyi ujęta część zostaje mu w ręku, a oskarżony odchodzi bez ucha.

Łatwo poznać jak taki sposób ułatwia postępowanie policyi. Jeżeli złodziej raz przez sprawiedliwość ukarany powtórna popełni kradzież, żadną miarą zaprzecić się nie może, chyba żeby mu ucho odrosło, co by wielką było osobliwością; urzynają mu wówczas drugie, na mocy owego prawnego przysłowia: *non bis in idem*. Jeżeli złodziej jest niepoprawionym, i trzeci raz ten sam występek popełni, wówczas każdy chwyta się twarzy i urzyna mu nos, jak pierwój pourzynał uszy: teraz do mieszkańców Kairu należy mieć się na baczności, gdy ujrzą zbliżającą się do siebie głowę pozbawioną tych części, gdyż właściciele tak bardzo ich żałują iż szukają swęj zguby po wszystkich kieszeniach które im się nawiną. Z resztą, jeżeli uczujesz w Kairze że ręka wsuwa się do twojej kieszeni, wyjmij pugiuał, urznij ją, i idź w dalszą drogę; jeżeli znajdziesz pierścionki na palcach, tém lepiej dla ciebie, możesz być spokojny, właściciel nie będzie się o nie upominał.

Pan Msara właśnie kończył te objaśnienia, gdyśmy ujrzeli każdego pełniącego swoje obowiązki. Każdy wychodzi z rana, nie uprzedzając w którą stronę się uda; zaczyna przebiegać miasto, i w towarzystwie wykonawców prawa, napada na pierwszy napotkany bazar; tam

siada na los w którymkolwiek sklepie, sprawdza wagi, miarę i towary, słucha zażaleń publiczności, bada kupców pochwycionych na gorącym uczynku; potem bez obrońcy, sędziego, a nadewszystko bez żadnej zwłoki, wydaje wyrok, wymierza karę i idzie szukać innych winowajców. W razie takowym zmienia się kara: niepodobna obchodzić się z kupcem jak ze złodziejem; kary są też zwykle: najłagodniejszą konfiskata, umiarkowaną zapieczętowanie sklepu, najsurowszą wystawienie przestępcy na widok publiczny. Wystawienie to szczególniejszym zapełnie odbywa się sposobem: stawiają obwinionego przy sklepie, każą mu podnieść pięty tak, aby cały ciężar ciała spoczywał na palcach nóg, potem przybijają mu ucho do drzwi lub okiennicy, co mu nadaje pozór jak gdyby chciał robić podskoki, na wzór panny Elssler lub Tagljoni; dowcipne owe męczeństwo trwa podług przewinienia dwie, trzy, a czasem i sześć godzin. Nie potrzeba wzmiankować że pacjent może je skrócić przedarłszy ucho; lecz to bardzo rzadko się zdarza; kupcy tureccy bardzo dbają o swój honor, i bynajmniej nie chcą być podobni do złodziei brakiem najanniejszego kawałeczka ucha.

Zatrzymałem się przed jednym z owych nieszczęśliwych, którego dopiero co przybito. Już zaczynałem się litować nad jego losem, gdy Mohamed powiedział mi że on przywykły do tego, żebym się tylko przypatrzył jego uszom, a zobaczę że są podziurawione jak durszlak. To zmieniło moje uczucia; jeszcze miał stać przez siedm kwadransy: miałem dość czasu do odrysowania jego portretu. Poprosiłem moich towarzyszków aby puścili się w dalszą drogę z panem Msara, i zostawili mi tylko Mohameda, który dosta-

teczną będzie dla mnie pomocą; lecz wierny Mayer nie chciał mnie opuścić. Pozostaliśmy więc wszyscy trzej: reszta towarzystwa poszła dalej.

Obraz całkiem był już ułożony. Piekarz przybiły za ucho, stał wyprostowany na wielkich palcach, a obok niego siedział na progu strażnik pilnujący wykonania i palił fajkę, która jak się zdawało tak była nałona aby wystarczyła przez cały czas egzekucyi. Półkole ciekawych, rozszerzało się lub zwężało, w miarę jak nowi przybywali lub oddalali się dawniejsi. Sta-  
nęliśmy na boku i zacząłem rysować.

Po dziesięciu minutach, piekarz widząc że żadnej litości nie może się spodziewać od gminu, wśród którego rozpoznawał może nie jednego ze swoich kupujących, odważył się zagaść do strażnika:

—Bracie, rzekł do niego, jedno z praw naszego świętego proroka głosi aby ludzie wspólnie sobie dopomagali.

Strażnik nie miał nic do zarzucenia przeciw téj ustawie, i nie przestał spokojnie palić fajki.

—Bracie, rzekł znowu winowajca, czy usłyszałeś mnie?

Strażnik za całą odpowiedź posłał mu pod nos ogromny kłęb dymu.

— Bracie, dodał tenże, jeden z nas mógłby pomódz drugiemu, i stać się przez to miłym Machometowi.

Kłęby dymu następowały po sobie z regularnością wprawiającą w rozpacz nieszczęśliwego, który się czego innego spodziewał.

—Bracie, bolesnym głosem odezwał się znowu winowajca, podłóż mi kamień pod pięty, a dam ci za

to piast, — najzupełniejsze milczenie, — dwa piastry, — pauza, — trzy piastry, — kłęb dynu, — cztery piastry.

—Dziesięć piastrow (\*), odczwał się nakoniec strażnik.

Ucho i worek piekarza toczyły ze sobą walkę, wydającą się na jego twarzy; zwyciężyła w ręście boleść i dziesięć piastrow padło u nóg strażnika; podniósł je, policzył jeden po drugim, włożył do swojej kieski, oparł cybuch o ścianę, wstał, przyniósł kamień wielkości jajka, i podłożył go delikatnie pod nogi sąsiada.

—Bracie, rzekł winowajca, nic nie czuję pod moimi nogami.

— Jest jednakże pod niemi kamień, odpowiedział strażnik siadając na progu i znowu zaczynając palić fajkę; tylko wybrałem go zastosowany do kwoty. Daj mi jednego *talari* (pięć franków), a podłożę ci pod nogi kamień tak piękny, i tak dobrze zastosowany do twego położenia, że w raju nawet żałować będziesz miejsca któregoś zajmował przy drzwiach twego sklepu.

Cały rozhovor na tém się skończył, iż strażnik dostał pięć franków, a piekarz kamień. Nie czekałem reszty, i w pół godziny ukończywszy rysunek odszedłem.

Że upał zaczynał być utrdujący, a wycieczka nasza nie bliska swego kresu, na skinienie Mohameda przyprowadzono nam dwóch osłów, we wspianale przystrojonych rzędy. Były to najzwyczajniejsze stworze-

---

(\*) Nie trzeba zapominać że piast o którym mówimy jest to piast egipski wartujący 12 do 14 groszy polskich.

nia jakieśmy dotąd napotkali; lecz wyjechaliśmy dla robienia rysunków nie zaś odbywania wyścigów. Przymusiliśmy je iść wedle naszej woli, co nienajłatwiejszą było rzeczą szczególnie dla Mayera, który jako officer marynarki nie wielkie miał upodobanie w jeździe. Mohamed upewnił nas, że przed przybyciem Francuzów do Kairu, nigdy nie widziano galopującego osła; lecz zaledwie spokojne owe zwierzęta poczuły dowcipne sposoby nowo przybyłych, jak np. dźgnięcie bagnetem w bok lub rozpalony lont pod ogonem, przybrały natychmiast ów wiekuisty galop, przechodzący teraz z pokolenia do pokolenia. Mohamed utrzymywał jednak że mają dar poznawania do jakowego narodu należy jeździć. W istocie widziałem osły, które dniem pierwiej niepodobna było pohamować, postępujące jak najpowolniej pod ciężarem poważnego Turka, lub biegnące przyzwoitym truchtem gdy je dosiadł Kopt: te zaś co służyły francuzkim podróżnikom, były zawsze prawdziwemi buccsałami.

Zwiedziliśmy kolejno kilka bazarów: każdy bazar przeznaczony jest zwykle na jeden rodzaj towarów, jak każdy kupiec trudni się jednym tylko rodzajem handlu, a każdy niewolnik wyłącznym rodzajem usług. Zaczęliśmy od bazarów żywności: było najprzód jak najwięcej ryżu, który jest wiktuałem najłatwiejszym do przewożenia i główném pożywieniem pospólstwa; potem ciasto brzoskwiniowe, pozwijane jak kobierce, którego każda sztuka trzyma do trzydziestu stóp długości a trzy lub cztery szerokości; to ciasto sprzedaje się na łokcie, co nieco miejsza wyobrażenia o konfiturach jakie mamy na Zachodzie; dalej idą daktyle wyborowe, potem daktyle zbyt dojrzale, i daktyle je-

szcze zielone, ugniecione razem i ubite w słupki, wążące od stu do stu pięćdziesięciu funtów: wraz z ryżem jest to główny pokarm pospólstwa; tylko pierwszy uważany jest jako obiad, a drugi jako wety: trzeba dodać iż to ciasto sprzedaje się za jak najlichszą cenę.

Bazary ubiorów są bardzo bogate; pełno w nich szali indyjskich; cena ich zdała mi się być o połowę mniejszą jak we Francyi. Bazar broni jest przepyszny; broń ostra jest nadewszystko wspaniałą, lecz rzadką i bardzo poszukiwaną. Nigdy prawie w tych bazarach znaleźć nie można sztyletu lub szabli zupełnie oprawnych; trzeba kupić klingę, kazać ją oprawić u puskarza, zanieść potem do innego rzemieślnika aby do niej przyrobił pochwę, potem do złotnika aby ją potrzebnemi opatrzył ozdoby, dalej do passamonika żeby poprzyczepiał do niej taśmy, nakoniec do szlifierza żeby ją wyostrzył. Za niektóre klingi niepojętą żądają cenę; wartują niekiedy 2,000, 2,500 aż do 3,000 fraków.

Dla ułatwienia kupna, żydzi krążą po bazarach, ofiarują się zmieniać złoto i srebro, lub pożyczają pieniądze znajomym osobom, gdyby przyniosły z sobą mniejszą kwotę jak kupno ich wymaga: poznać ich na pierwszy rzut oka po czarném ubraniu: gdyż ubiorcze prawa Kairu zabraniają im wszelkiej innćj barwy.

Cheąc ciekawie dzień zakończyć, udaliśmy się do bazaru niewiast. Mieszczący je w sobie budynek dzieli się na nędzne czworograniaste podwórza, mające w około murów pewien gatunek klatek; każde podwórze przedzielone jest na dwoje przepierzeniem: piéw-



sze piętro zajmują pokoiki nieco wygodniejsze, przeznaczone dla droższych niewolnic.

Weszliśmy w dziedzińce i znaleźli towar w pierwotnym stanie natury, aby od razu ocenić jego przymioty; potem dobrany wedle koloru, narodu i wieku; były tam Żydówki z poważnemi rysy, prostym nosem, długiem i czarnemi oczyma; śniade Arabki, których ręce i nogi strojne są w złote opaski. Nubijki, z nadzwyczaj ciekim włosem, rozdzielonym na środku głowy i spadającym na obie strony w długich upłotach; pomiędzy temi, chociaż wszystkie były czarne, są dwie klasy i dwie ceny; bo niektóre mają przywilęj, podczas największego nawet upału, zachowywania skóry tak zimnej jak skóra żmij, co nieocenionę jest wartości dla posiadacza, w tym pałającym klimacie, gdzie wszystko co oddycha przez dziesięć godzin szuka świeżości i cienia. Były nakoniec młode Greczynki, porwane ze Scio, Nasos i Milo, a pomiędzy temi dziewczęta zachwycające wdziękiem i pięknnością; spytałem o cenę téj lubéj istoty; zażądano za nią 300 franków.

Wszystkie te niewolnice są na pozór wesołe, gdyż najgorzej żywione przez kupców, bite za najmniejszym przewinieniem lub raczej najmniejszym kaprysem swego pana, nie im się nie wydaje gorszego jak zostawać na targowisku. Nie ma téż min, uśmiechów, niemych obietnic, którychby te nieszczęśliwe istoty nie czyniły przychodzącym je oglądać. Kupcy obchodzą się z niemi zupełnie jak z bydłem. Z resztą, pod tym ognistym klimatem, kobiéta przestaje już byđ młoda w dwudziestym roku.

I w tych bazarach można spotkać pełno żydów; lecz tutaj sprzedają ubiory. Ponieważ po skończonym

targu towar natychmiast bywa wydanym, kupujący nie może go uprowadzić bez jakiegobądźkolwiek okrycia.

Około każdego bazaru są wspaniałe fontanny: piękne i przepychowe pomniki prawie zawsze odosobnione, a których otwory zamykają kraty brązowe. U każdego okna wisi kubek miedziany, przytwierdzony na łańcuszku; przesuwając rękę przez kratę, czerpa, pije, i opuszcza kubek, na który już zwykle spragnione czekają usta. Wiekniście około każdej fontanny siedzi przynajmniej ze dwudziestu Arabów: krążą około pomnika wraz ze słońcem; tak iż mają zawsze dwie najpotrzebniejsze rzeczy w tym klimacie, cień i wodę.

## VI.

### PIRAMIDY.

Nazajutrz postanowiliśmy zapuścić naszą wycieczkę aż do piramid, udając się przez pobojewisko, a wracając przez Gizeh. O świcie przyprowadzono nam trzy osły pierwszego rzędu, które w dziesięciu minutach zaniósły nas po za Bulak; tam przebyliśmy Nil, i ujrzelśmy się wkrótce na pobojewisku, gdzie przed trzydziestu dwoma laty rozstrzygnął się spór pomiędzy Wschodem a Zachodem. Bardzo krótkim było rozpatrzenie się; z wysokości Embabech ujrzelśmy cały przestwór na którym stoczono nieśmiertelną walkę. Z resztą, wszystko tutaj służy wspomnieniu i myśli, nie opisom.

Łotem ptaka puściliśmy się ku piramidom; nieza długo byliśmy zmuszeni postępować truchtem: bieguny nasze zagrażały się w piasek; strawiliśmy blisko pięć godzin nim dostaliśmy się do pierwszej piramidy,

którą przy wysiadaniu na ląd sądziliśmy że ręką dostać możemy.

Największa piramida, ta, na którą podróżni najczęściej wstępują, spoczywa na podstawie sto dziewięćdziesiąt dziewięć stóp długiej, i widziana z dołu wydaje się lekko wyszczerbiona na samym wierzchołku: utworzona z kamieni kładzionych jedne na drugie, których pokłady coraz się zwężają, przedstawia schody olbrzymie; każdy ich stopień wysoki jest na cztery stopy a szeroki na dziesięć cali. Na pierwszy rzut oka wstęp wydał nam się, jeżeli nie zupełnie niepodobnym, to przynajmniej dość niewygodnym do uskutecznienia; lecz Mohamed pochwycił za pierwszy węgiel, wdarł się na początkowy pokład, zaczął się drapać na drugi, i coraz wyżej postępując dał nam znak abyśmy poszli w jego ślady, jak gdyby chodziło o najprostszą rzecz w świecie. Chociaż nie bardzo nęcącą była przyjemność drapania się na czterysta stóp w górę, pod płomieniami pożerczego słońca, odbijającymi się od granitu, po którym mieliśmy się drapać jak jaszczurki, wstydziliśmy się jednak wstecz pozostać. Co do Mayera, przywykły wdzierać się po linach okrętowych, tryumfował teraz z kolei, skacząc z pokładu na pokład jak rozochociona koza. Wreście, po dwudziestu minutach utrudzającej pracy, poobcierawszy sobie paznokcie i pokaleczywszy kolana, dostaliśmy się do samego wierzchołka, z którego musieliśmy zejść prawie natychmiast, pod niebezpieczeństwem że słońce egipskie stopi nam resztę tłuszczu pozostałego na naszych kościach. Miałem jednak dość czasu cały ogarnąć krajobraz. Obróciwszy się tyłem do Kairu, po lewej niezmierzony las palmowy co Mem-

fis zasłania; po za tym lasem, piramidy Sakary; po za piramidami Sakary, pustynia; na przeciwko mnie, pustynia; na prawo także pustynia, to jest obszerna płaszczyna ognistój barwy, przedstawiająca tylko tu i owdzie ruchome wzgórza piasku, które wiatr kolejno to nagromadza, to rozprasza; z przeciwniej strony Egipt, to jest Nil płynący śród szmaragdowej doliny, potem Kair, miasto żyjące pomiędzy Fostatem a grobami kalifów, obu martwemi braćmi; po za grobami kalifów niepłodny łańcuch Mokattan, tworzący na widokregu jakby mur granitowy.

Przechadzałem się przez chwilę po górnym tarasie zdającym się mieć 30—35 stóp długości; kilka kamieni pozostałych ze szczytu, wydają się być rozdrapanemi szczęty jakowój góry. Rozliczne imiona okrywają granit; pomiędzy nimi zostały najwidoczniejsze nazwiska kilku generałów należących do wyprawy Bonapartego; obok tych imion postrzegłem imiona Karola Nodier i Chateaubrianda, które pan Taylor wyrył w poprzedzającej swojej podróży.

Z tamtąd zwróciłem wzrok poniżej siebie, i postrzegłem naszych osłów i osłarzy dużych jak chrzabaszce i mrówki; chciałem rzucić na nich kamieniem; lecz chociaż silnie go wymierzyłem, odskakując z pokładu na pokład dostał się dopiero do ziemi.

To mi przywiodło na myśl jak też sam zlezę; i muszę przyznać, że na pierwszy rzut oka wydało mi się to trochę trudniej jak wdrapać się na wieńczchołek: każdy schód marmurowy, zważywszy szerokość względnie do wysokości, zakrywał brzeg następującego po nim schodu, tak dalece iż mi się zdało że nie ma innego sposobu dostania się na dół, jak zsunąć się

po owęj spadzistęj pochyłości. Na szczęście że rozmyślemy się po dwakroć, nim przedsięwzięmy podobną ślizgawkę; z resztą, zszedłszy na pierwszy stopień, postrzega się drugi, i tak następnie. Powtarzam jednakże, iż droga nie jest bardzo dogodna, a osoby podległe zawrotowi głowy, bardzo dobrze robią gdy się zechcą pozbawić przyjemności tego wniebowstąpienia.

Dostawszy się na dół upadłem na piasek; umierałem prawie z gorąca i pragnienia; nie zważałem na to w całym ciągu podróży, gdyż wyłącznie byłem zajęty czuwaniem nad własnem bezpieczeństwem. Mohamed zaczął rozprawę o konieczności picia jak najpowszechniej; wydarłem mu z rąk butelkę i jednym wypróbnikiem ją haustem. Lecz zaledwie ugasiłem pragnienie, ogromnie mi się jeść zachciało. Na szczęście, każdy z nas przyznał że też samą uczuwa potrzebę, i wszyscy jednogłośnie zgodziliśmy się aby zjeść śniadanie. Przyprowadzono osła dźwigającego na sobie zapasy, i z wielkiem zadowoleniem postrzegliśmy iż żaden nie zdarzył mu się przypadek.

Obeszliśmy do koła piramidę aby znaleźć nieco cienia. Na nieszczęście słońce było w samym zenicie, i zarówno zlewało pożercze swoje promienie na cztery boki grobowca Cheopsa. Napróżnośmy krążyli wokoło nie mogąc znaleźć ani jednego kącika, w którymby można pozostać pięć minut na miejscu i nie zwaryować. Wówczas nasi Arabowie wskazali nam, o jedną trzecią piramidy, od strony północnej, wejście przez które wchodzi się do pomnika. Ponura owa paszcza, którą kolos rozwierał jakby dla odetchnięcia, wydała nam się tak pełną cienia i chłodu, że cho-

cięż strudzeni, zaczęliśmy się piąć na nowo, i dostaliśmy się do niej w pięciu minutach. Znaleźliśmy w niej salę jadalną, jeżeli nie najwygodniejszą, to przynajmniej bardzo chłodną; nie trzeba nam było więcej.

Po skończonj biesiadzie, kazaliśmy przynieść pochodnie, aby zwiedzić wnętrze piramidy, kiedy nam się tak dogodna nastręcza sposobność.

Wchodzi się do tego pomnika czworograniastym korytarzem, coraz pochylającym się w głąb na 45 blisko stopni. Upał zmniejsza się w miarę oddalania się od wejścia; lecz z powietrzem zgęszczoném dymem pochodni, miesza się niedotykany pyłek, podniesiony krokami zwiedzających, i czyni je nadzwyczaj trudném do oddychania. Przybywa się nakoniec do dwóch komnat, zwanych komnatą króla i komnatą królowej; w pierwszej jest granitowy sarkofag ze strzaskaném wiekiem, druga jest pusta.

Wyszliśmy z komnat najjaśniejszego państwa, w których jedynie ściany godne są tylko widzenia, aby oddać pokłon dostojnemu sfinxowi; leży o kilkaset kroków bliżej od Nilu jak piramidy: jest to olbrzymi pies strzegący owj granitowj trzody. Za pomocą Arabów dokazałem wleść mu na grzbiet, a z grzbietu na głowę, co także niemłą jest pracą. Mayer tuż za mną postępował. Ześlizgnąłem się natychmiast na ramiona kolosu, a z ramion na ziemię i zacząłem go rysować; Mayer stojąc na uchu zastępował pióropusz: posłużył mi za skalę proporcji.

Obok wielkiej piramidy jest nieco mniejsza, której szczyt doskonale się zachował i zakończy się spiczasto; rzadko kto wdziera się na niego; najpiérwszy co się tam dostał, jak nam powiadali nasi Arabowie, był to

francuzki dobosz ścigany przez mameluków, a który nie widział nic lepszego jak wdrapać się na ten mur niedostępny, gdzie go nieprzyjaciele dosięgnąć nie mogli. Przybywszy na szczyt najwznioślejszy, przyszło mu na myśl przywołać pomocy bijąc z całej siły pobudkę: uczyniony przez niego hałas usłyszany został na milę w około, i generał Regnier wysłał dwie kompanie, które odpędziły mameluków, i uwolniły dobosza z oblężenia, i w tryumfie zeszedł ze swojej piramidy.

Wsiadliśmy na osły i wrócili przez Gyzech, nie dla zobaczenia wiejskiego domu Murada, z którego jak mi się zdaje ani ślad nie pozostał, lecz dla zwiedzenia zakładu osieroconych kurcząt.

Wiadomo iż w Egipcie zastępują kury, które przy najlepszej chęci i największym poświęceniu, mogą za ledwie wylęgnąć na raz piętnaście jajek, piecami ogrzewanemi parą, wylęgającemi od razu po tysiąc kurcząt. Zajmujący ten zakład jest pod zarządem dyrektora, który nie tylko że na własną działa korzyść, lecz prócz tego przyjmuje do wylęgnięcia wszystkie przyniesione mu jaja, i za lekką opłatą obowiązuje się czuwać nad nimi podczas wykłucia. Dormitarz w którym umieszcza zaskorupionych swoich wychowanców, jest długą galeryą, mającą po każdej stronie ciąg dwupiętrowych celek, które mają ze sobą styczność środkowym otworem, przeznaczonym udzielać im ciepła podziemnego ogniska, które zawsze do wyrachowanego ogrzane jest stopnia. Otwór tych celek wychodzi na galeryę; jest zamknięty przez pierwsze dziesięć dni; potem otwierają go codziennie nieco dłużej; wreszcie dwudziestego dnia kurczęta są wylęzione.

Przybyliśmy właśnie gdy jeden piec otwierano. Sposób obchodzenia się około tego jest jak najprostszym: roztlukują jaja jak na jajecznicę; wyluskują kurczęta jak groch ze strączków, potem rzucają je na kupę w tenże sam piec w którym się ogrzewały, bez żadnej ostrożności, jak gdyby rzucano kamienie. Najpierwszym znakiem życia jaki daje cała ta gromada, jest pisk przeraźliwy, drugim szukanie sobie żywności: lecz na nieszczęście nie mogą zadosyć uczynić temu żądaniu, gdyż właściciel zakładu zobowiązał się wyłęgnać je, nie zaś żywić. Lecz i bez żywności mogą żyć trzy dni, zapewne samém ciepłem. Po upływie tego czasu, gdy właściciele nie żądają zwrotu, należą do wylęgacza, który posyła je sprzedać na targ bez poprzedniego utuczenia.

Wracając do Kairu, wstąpiliśmy na wyspę Rudah gdzie jest Nilometr. Jest to kolumna zwieńczona kapitelem, na której oznaczają corocznie najwyższe przybieranie rzeki. Mekias ten bardzo uszkodzony podczas bytności wojsk francuzkich w Kairze, został wyrestaurowanym z rozkazu generała Menou, pod dozorem obywatela Chabrol, inżyniera dróg i mostów. Po skończonej naprawie zbudowano portyk przy wejściu do pomnika; po nade drzwiami wprowadzono tablicę z białego marmuru, a na niej wyryto ten napis w języku francuzkim i arabskim :

»W Imię Boga łaskawego i miłosiernego, Roku IX rzeczypospolitej francuzkiej, 1215 hegiry, we trzydzieści miesięcy pozdobyciu Egiptu przez Bonapartego, Menou, generał głównie dowodzący armią, naprawił mekias.«

(Tu następuje wyliczenie, kiedy i jak wysoko Nil przybrał tego roku).



Tego samego wieczora, gdyśmy wrócili do Kairu, pan Eydoux, doktor statku *Le Lancier*, co nam towarzyszył w filantropicznym celu leczenia nas na oftalmię, sam został rażony tą chorobą. Pan Msara poradził nam natychmiast posłać po pana Dessap, francuzkiego doktora z Besançon, który nabył wielkiego doświadczenia w leczeniu ocznych słabości, wyłącznie zajmując się niemi. Z pośpiechem usłuchaliśmy jego rady, i za godzinę ujrzelśmy wchodzącego do nas wspaniałego starca, ubranego po orientalnemu i dźwigającego swoją brodę w rękę: był to nasz ziomek.

Arabowie mierzący naukę wedle długości brody, mają dla niego jak największe poważanie. Pośpieszmy dołożyć, iż na nie zasłużył, i że u niego szylk nie obiecuje więcej jak dotrzymać może. *M. M.*

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

## KRZYSZTOF KOLUMB.

(Dalszy ciąg.)

---

Lecz owi uprzywilejowani ludzie u których serce i wyobrażenia nad całym górują życiem, znajdują w głębi duszy moc prawie boską: jeden uśmiech kochanej kobiety umacnia ich pychę, czyni wytrwałymi na pogardę świata całego, a geniusz ich, przez chwilę przyćmiony, na nowo łot swój wzbija, wzgardą głupców okrywając. Kolumb zakochał się; był wysoki, kształtny, ułożenie jego było szlachetne, wzniosłe, nos miał orli, twarz podługną, a cera jego zdawała się malować umysłowy jego zapal. Włosy jego jasne za młodość, posiwiały przedwcześnie w niepokojach dumy zbyt często zdradzonej. Lecz namiętne jego spójrzenie, rozmowa poruszająca wszystkie serca sprężyny, zniewoliły szlachetną Korduańską damę, signorę Beatrykę Enriguez, i dwóch synów uwieńczyło już szczęśliwy ich związek. Podwójny węzeł miłości; rodzicielskiego przywiązania zatrzymywał go w Hiszpanii, gdy oburzony doznawaniem upokorzenia gotował się ją opuścić. Pałająca jego dusza zdolna była pomieścić w sobie wszystkie namiętności: żarliwy chrześcianin, znajdował pociechę u stóp ołtarzy Najwyższego; i nim na inny dwór poniesie objawione mu

słowo Ducha - Świętego postanowił spróbować wszelkich dróg jakie mu pozostawały do dostąpienia zamierzonego celu.

Śród feudalnych ciemności, w których Hiszpania była jeszcze wówczas pogrążoną, śród dziwacznych zasad zabobonu, Kolumb mocno się broni w jednym ze swoich listów: »Czyliż mają mnie za tak głupiego iż pojąć nie mogę, że gdyby nawet Indye do mnie należały, nie zdołałbym się utrzymać bez opieki którego z królów?...« Udaje się więc do potężnego lennika korony Kastylskiej, szlachetnego i bogatego księcia Medina-Sidonia, który omamiony z razu świetnością przedsięwzięcia, odrzuca je nakoniec jako marzenie zagorzałego Włocha. Ofiaruje potem swoje usługi księciu Medina-Coeli, którego uprzejma gościnność dała mu schronienie w nieszczęściu. Książę uważa iż ten plan zbyt jest obszernym jak na poddanego, lecz obiecuje najsiłniej poprzeć jego sprawę na dworze Izabelli: i dotrzymuje słowa. Kolumb oburzał się na te nieustanne zawiedzenia: postanowiwszy wypełnić posłannictwo które Bóg przeznaczył mu na ziemi, poskromił słabość swego serca, i postanowił udać się do Francyi, aby oddać w ręce króla Karola świat, którego monarchowie hiszpańscy przyjąć nie chcieli. Juan-Perez ujrzał go znowu w klasztorze de la Rabida, gdzie przyjechał aby odebrał swego syna Diega i podziękował mu z serdeczném uczuciem: to tylko mogła mu dać jego szlachetna i wspaniałomyślna przyjaźń. Szanowny opat zalał się łzami i błagał go aby nie wydzierał Hiszpanii najpiękniejszej zdobyczy. Otrzymawszy posłuchanie u królowej, której był spowiednikiem, dosiadł muła, udał się do dworu i obstawiał w sprawie swego przy-

jaciela z takim zapałem i ewangeliczném przekonaniem iż Izabella świątobliwą żarliwością uniesiona, rozkazała natychmiast przywołać Kolumba, i z ową delikatną względnością tak pospolitą u kobiet, kazała mu dać tajemnie 20,000 marawedów, aby mógł pokazać się przyzwoicie na dworze.

Wrócił. Ostatni z królów maurytańskich składał wówczas koronę u stóp Ferdynanda i Izabelli; Grenada otwierała bramy zwyciężkim Hiszpanom, sztandary Kastylii i Arragonu powiewały złączone na szczycie wysokich wież Alhambry. Zawsze pyszny mimo nieszczęścia, zdziwił wyniosłością swoją radę zwołaną aby rozsądziła ostateczne jego podanie, a której przydawał tenże sam Talawera. Dworacy mogli korzystać ze śmiałego geniuszu pospolitego człowieka; lecz w nagrodę szczytnego pomysłu, przysługi niesłychanej, nie chcieli zezwolić aby rząd wyżej go nad nich wyniósł, (gdyż nędzny ten awanturnik za pierwszy podawał warunek że będzie mianowany admirałem i wice-królem wszystkich krajów które odkryje), do tego oburzona ich pycha nigdy poniżyć się nie zdołała. Napróżno Kolumb odpychał ich zniewagi chcąc na siebie przyjąć ósmą część kosztów: Talawera oświadczył królowej, iż przyznanie podobnych zaszczytów genucńskiemu żebrakowi byłoby hańbą dla jej królewskiej mości. Wielki człowiek nie chciał uleść kapryswi kobiety, i pożegnawszy się z przyjaciółmi, wyjechał do Francyi na początku Lutego 1492 roku.

Nieraz rozpacznie tracimy rzecz, obojętną dla nas gdyśmy mieli ją posiadamy. Na to ostateczne postanowienie Kolumba, zbudzili się wszyscy jego przyjaciele, najozięblejsi stali się żarliwymi; Ludwik de

St-Angel pobiegł do królowej. Zapal który go nagle ogarnął przeniknął Izabellę; margrabina Moja, ulubienica królowej, podnieciła jeszcze bardziej jej wyobraźnię, podlegając zazdrość.— Jeżeli król Francyi usłucha Kolumba, tyle potęgi, tyle sławy, tyle skarbów indyjskich, wiekuisty zaszczyt nawrócenia do wiary chrześcijańskiej tyle ludów bałwochwalczych..... wszystko należeć będzie do Francyi!— Ferdynand pozostał nieporuszonym; Izabella wybuchnęła: —Podejmuję się tego przedsięwzięcia dla własnej mojej kastylskiej korony, i zastawię moje klejnoty aby zebrać potrzebny fundusz.— St-Angel uspokoił ją ofiarując pierwszy pieniężny zasilek, i natychmiast wysłano kuryera aby przywołać Kolumba. Był już o dwie mile od Grenady; wielka jego dusza napawała się goryczą, a gdy go doścignął goniec, zaledwie raczył słuchać jego poselstwa, cierpienie tak opryskliwym go uczyniło! Jechał dalej w drogę. Zdziwiony goniec odmalował mu wówczas niecierpliwy zapal Izabelli: sama namiętność zdolna jest tylko do namiętnych dusz przemawiać; Kolumb wrócił znowu do Grenady.

Znowu ukazał się na dworze ów człowiek którego służalcy nawet poniżali; lecz otoczony zaszczytami: wszystkich łaska królewska nawróciła. Dziwna to rzecz opinia publiczna! Przypuszczony do towarzystwa monarchów, zapalał ich nieraz ogniem swojej wyobraźni, przenosząc po za morza, oprowadzając po owych miastach ze srebrnymi mury, złotemi baszty, któremi Marek-Paweł zasiał królestwo Mangi. To znowu obudzając w nich żarliwość wiary, czynił wnioski aby użyć skarbów indyjskich na oswobodzenie świętego grobu. Nakoniec 17 Kwietnia 1492 se-

kretarz stanu podał monarchom do podpisu traktat następujący:

1. Kolumb dla siebie i poprzedników swoich posiadać będzie urząd admirała we wszystkich ziemiach które odkryje na oceanie, z zaszczytami i przywilejami wielkiego admirała Kastylji.

2. Będzie wice-królem wszystkich ziem powyższych i t. d.

3. Będzie miał prawo do dziesiątej części wszystkich pereł, drogich kamieni. złota i t. p. znalezionych, kupionych lub zamienionych....

4. On, lub namiestnik jego będzie jedynym sędzią we wszystkich sporach handlowych....

5. Będzie mu wolno teraz lub w każdym innym czasie zaliczyć ósmą część kosztów... za co przyznana mu będzie ósma część zysku i t. d.

6. Kolumb i potomkowie jego upoważnieni są odtąd nosić tytuł Don.

Wyznaczono małą przystań Palos na uzbrojenie wyprawy: mieszkańcy za karę podniesionego rokoszu skazani byli dostarczyć koronie w przeciągu roku dwie zbrojne karawelle; Ferdynand korzystał z tej sposobności, i 21 Maja Kolumb opuścił dwór. Wielka była radość w klasztorze de la Rabida gdy tam przybył; Juan Perez nie posiadał się z uniesienia; może Kolumb winien był niezachwianej przyjaźni tego nieoszacowanego człowieka wykonanie rozkazów królewskich. Załedwie dowiedziano się w Palos w jakim celu odbywa się ta wyprawa, gdy żeglarze, ludzie zabonni i kłótlivi, burzyć się zaczęli. Śród nadmorskiej ludności kobiety wielki wpływ wywierają; podburzały majtków, rzucały kamieniami na robotników co się ośmieli-

li pracować przy statkach. »Aby niecną zaspokoić zemstę, chcą więc rzucić naszych mężów i braci na pastwę potworom oceanu! I czegoż chce ten nieznajomy? Mało go obchodzi życie naszych braci, byle »wślawił swoje imie.« — Napróżno rząd posyłał codziennie nowe rozkazy do władz prowincjonalnych; kupcy nie chcieli dostarczać żywności i amunicyi, kowale i cieśle uciekali gdy chciano ich przymusić aby pracowali około tych statków przeznaczonych na okropną zagubę. Świętobliwy charakter opata wraził uszanowanie w rozjadłych szaleńców, nakłonił bogatego i śmiałego żeglarza, Marcina Alondza Pinzon, do rzucenia się ciałem i majątkiem w to przedsięwzięcie, a ten ułożywszy się z Kolumbem, dostarczył trzeciego statku. To uzbrojenie z taką trudnością uzyskane, kosztowało tylko 300,000 franków, i 3 Sierpnia 1492 flota wyruszyła pod żagle.

Wszystko zadziwia w tym nadzwyczajnym człowieku, i wzniosłość jego pomysłów, i śmiałość z jaką je wykonywał. Dzisiaj, kiedy żeglarstwo doszło do tak wysokiego stopnia doskonałości, kłóżby z nas na słabém czólnie odważył się podróż tę rozpocząć? Z dwóch karawellów które miał pod swojemi rozkazami, jedna tylko miała pomost: źle zbite, źle opatrzone, wszystko dla nich było wichrem i burzą; a prócz tego nienawisć która się spiknęła aby przeszkodzić pomyślnemu skutkowi tej wyprawy, starała się wznosić nieprzeczwyciężone przeszkody. Z pomiędzy dziewięćdziesięciu ludzi składających osadę tych trzech statków, dziesięciu zaledwie z własnej służyło woli, reszta posłuszną tylko była obawie i mniemała że na śmierć płynię. Ach! dzielny posiadał duszę ów cudzoziemiec, który własną

jedynie siłą odniósł zwycięztwo nad nieufnością, nienawiścią i zabobonem ze wszech stron go otaczającym, który wiódł ludzi tam dokąd wyobraźnia tylko ledwie ze zgrozą odważyła się przeniknąć, i w przełękłe te umysły wpoić zdołał ślepą wiarę w Boskie swoje natchnienie.

Nie odważę się naśladownictwem pozbawić właściwego kolorytu opowiadanie najślawniejszego z żeglarzy; oto dziennik pierwszej jego podróży; jak nam go Las-Casas przekazał:

*Oto jest pierwsza podróż Krzysztofa Kolumba.*

IN NOMINE DOMINI NOSTRI J. C

IV S T Ę P.

»Arcy - chrześcijańscy, Najjaśniejsi, najpotężniejsi monarchowie, Królu i Królowo wszech Hispanii i wysp morskich! tego roku 1492 gdyście Najjaśniejsze Państwo położyli koniec wojnie przeciwko Maurom którzy panowali w Europie, i zakończyli tę wojnę w obszer-ném mieście Grenadzie, gdzie, tego samego roku, 2 Stycznia widziałem siłą oręża, zatknięte wasze królewskie sztandary na wieżach Alhambry, będącej cytadelą miasta, u bram którego widziałem króla Maurów całującego twoje królewskie ręce Najjaśniejszy Panie, oraz Najjaśniejszego Księcia; tegóż samego miesiąca, podług objaśnień jakie udzieliłem Waszój Królewskiej Mości, o ziemiach indyjskich i pewnym księciu, który się nazywa Wielkim Chanem, to jest w mowie pospolitej królem królów, i o żądaniu które on i poprzednicy jego kilkakrotnie zanieśli do Rzymu o przysłanie im doktorów coby ich nauczali świętej wia-



ry naszéj; a że Ojciec Świąty nigdy im ich nie posłał, i że tyle ludów gubi duszę swoją wierząc w bałwochwalstwa, Wy Najjaśniejsze Państwo pomyśleliście, jako katolicy chrześciance, przyjaciele świętój wiary chrześcijańskiéj, a nie nawidzacy sekty Machometa, wszystkich bałwochwalstw i odszczepieństw, posłać mnie Krzysztofa Kolumba, do owych krain indyjskich, aby zobaczyć owe ludy i królów i wyrozumić jakim sposobem nawrócić je można do naszéj świętój wiary. Jego Królewska Mość rozkazała mi nie udawać się lądem na wschód, jak to dotąd czyniono, lecz przeciwnie pójść się na zachód, drogą o którój nie wiemy z pewnością czy ktokolwiek dotąd pomyślał. Wasza Królewska Mość wielkie wyświadczyła mi łaski i nadała szlachectwo, abym odtąd mógł nosić tytuł Dona. Przybyłem do przystani Palos, i urządziłem trzy statki stosowne do podobnój wyprawy, i wyruszyłem... Oprócz tego że postanowiłem zapisywać każdój nocy to co się w dzień wydarzy, a każdego dnia zapisywać nocną żeglugę, mam jeszcze zamiar zrobić nową kartę morską, w którój oznaczę najzupełniej położenie morza, i ułożyć książkę gdzie wyobrażać będę wszystko, jak najpodobniej odmalowane. Najwięcej na tém zależy abym zapomniiał snu i baczném okiem śledził moją żeglugę, dla wypełnienia wszystkich zobowiązań które na mnie włożono, co wielką będzie pracą.

Piątek 3 Sierpnia 1492.— Dziś o ósmój wyruszyliśmy z Saltes i udali się ku południowi.

6 Sierpnia.— Stér statku *Pinta* złamał się: miano podejrzenie iż ten przypadek był sprawką Gomeza Rascon, za namową właściciela karawelli; widziano ich

przynajmniej szeptających i intrygujących razem. Majtkowie źle sobie z tego wróżą i trwożą się tym.

9 Sierpnia.— Zatrzymaliśmy się przy Gomera aby naprawić statki i świeżej nabrać wody. Płomień i dym wulkanu Teneryffy przestrasza osadę; Kolumb tłómaczy im to zjawisko. Kilku Hiszpanów zapewnia go, że corocznie spostrzegają ziemię na zachodzie; majtkowie odzyskują odwagę.

6 Września.— Wyjazd z Gomery.

9 Września. — Admirał postanawia liczyć mniej drogi, niżeli jęj rzeczywiście odbywa, aby osada jęgo nie zbyt łatwo się zatrzażała.

13 Września.— Postrzega z niejaka obawą że busola zaczyna zmieniać kierunek od zachodu. Zachowuje sam dla siebie straszliwą tę tajemnicę i baczność podwaja.

16 Września.— Na widok porostów, których zwrotnikowe morza są pełne, osada marzy o blizkiej ziemi: »Lecz ja wnoszę podług kart moich, że ląd stały jeszcze jest daleko.»

17 Września. — Dnia tego płynęliśmy po morzu zupełnie okrytém porostami, woda tak zdała mi się gęstą, iż sądziłem że była płytka, i że statki na piasku osiadą. Majtkowie jednocześnie zbledli z przestachu poznając zjawisko zmiany magnetycznej: igła magnesowa skłaniała się o dwanaście stopni ku zachodowi. Osada wpadła w osłupiałą odrętwiałość: miał ujrzyć ziszczenie przerażających wieści którei jęj zagrożono? Spotkanie gromady ciał morskich wróciło jęj wesołość.

22 Września.— Wiatr zachodni. Przeciwny wiatr był mi nadzwyczaj potrzebnym, gdyż osada moja bu-

rzyć się zaczynała; szemrano na długość podróży, sądząc iż na tych morzach nie powiévają wiatry coby ich mogły przepędzić do Europy.

23 Września. — Osada na nowo użalać się zaczyna, lęka się że braknie jój pomyslnego wiatru do powrotu; lecz nagle morze się wzdyma, chociaż najmniejszy wietrzyk nie wionął, i cichną wszelkie skargi. »Wzburzenie morza stało się téż dla mnie wielką pomocą, co aż dotąd nie wydarzyło się od czasów Izraelskich.«

25 Września. — Admirał rozmawiał z Alondzem Pinzon względnie mappy Toskanellego, umieszczającj właśnie ziemię w miejscu w którém się znajdowali. — Pinzon wdrapał się na kosz masztowy i zawołał: Ziemia! ziemia!.... Rozległ się okrzyk radośny; Kolumb padł na kolana i złożył dzięki Najwyższemu: lecz promień słoneczny rozpreszył ową ziemię fantastyczną, którą mgła przedstawiła na widokregu.

1 Października. — Stérnik admirała rozsiał obawę pomiędzy całą osadą, oznajmiając jój iż była o 578 mil od wysp Kanaryjskich. Jakaż byłaby jój rozpacz gdyby znaną była prawdziwa odległość 707 mil!

Nagroda 20,000 marawedów przyobiecana została w imieniu królowej temu, kto piérwszy ziemię odkryje; wszyscy pragnęli ją otrzymać, i przez kilka dni wszystkie oczy zwrócone były na widnokrąg; lecz oczekiwanie zawiedzioném zostało.

10 Października. — Zniechęceni majtkowie odmawiają płynąć dalej; admirał krzepi ich odwagę jak tylko może, mówiąc im o nieskończonych bogactwach co ich czekają. »Z resztą, dodaje, wszystkie nasze skargi są próżne; wyruszyłem aby udać się do Indyi,

i nie poprzestanę podróży dopóki ich nie znajdę za pomocą Boską.

11 Października.— Wszystko zwiastuje bliskość ziemi, zielona trzcina, obrobiony kijek, małeńka deseczka. O dziesiątej z wieczora, admirał znajdując się na strażnicy, postrzegł światło powyżej widnokregu, lecz przez masę tak zgęszczoną, iż nie chciał zaręczyć aby to była ziemia. Przywołał jednakże Pedra Gutierrez, i rozkazał mu patrzeć czy także niedostrzeże ognia. Ten oświadczył iż widzi go w istocie. Postrzeżono go jeszcze kilkakrotnie, jak świecę zniżającą się i wznoszącą wraz z falą. O północy, gdy żeglarze zgromadzili się aby odśpiewać *Pozdrowienie*, admirał przekonany że jest blisko ziemi, zalecił im czuwać na pomoście, przyobiecując jedwabną kurtkę temu, który pierwszy powie: *Oto ziemia!* Statek pędził ku zachodowi; Pinta jak zwykle, wszystkie inne wyprzedzała nawy; o drugiej z rana, Rodryg Triano wydał okrzyk rozpoznawczy, a wystrzał armatny ogłosił tę wieść pomyślną małej eskadrze.

12 Października 1492 roku, przy pierwszym promieniu jutrzeńki, gdy młoda Ameryka wychyliwszy się z po za błękitnawej zasłony, za którą dotąd drzymała, przedstawiła zieleniące swoje wybrzeża oczom Europejczyków, Kolumb ukląkszy w niewysłowioném zachwyceniu, świętym pieniem powitał ów świat nowy, który geniuszem swoim zrodził.

Wielkie jego posłannictwo spełnioném zostało. Cóż ma świat obchodzić reszta jego życia? Mógł umrzeć już wówczas: towarzysze jego, idąc śladem drogi którą im otworzył, objawiliby staremu światu wielkie jego zamiary. Odtąd przestał być człowiekiem podo-

bnym innym ludziom, uposażony dzielnością jaką duszy nadaje szkoła przeciwności.

Podaję ciekawości historycznej czternaście ostatnich lat jego zawodu: może znajdą się w nich nauki przeciw zmiennym kolejom życia i niewdzięczności ludzi; lecz przeznaczenie Ameryki nie należy już do niego; on, tak wielki, tak wspaniałomyślny, zjawia się jedynie krajowcom nowego świata, wśród zaburzeń wieków, jako czarny geniusz co rozpoczął scenę ich zniszczenia.

Umieszczam tu kilka uwag, które posłużą na wytłómaczenie poprzedniego postępowania Kolumba i dziwacznych wyobrażeń które dziwionoby się znaleźć w człowieku tak znakomitym. Do jakiegokolwiek szczytności geniusz wznieść się zdoła, zawsze przesady wieku w którym żyje mieć będą nad nim przewagę i pozbyć się ich nie może. Krucjaty położyły za zasadę, iż państwa posiadane przez niewiernych, należć będą do pierwszego chrześcianina co je osiądnąć zdoła. Kiedy po gorączce owych wojennych wypraw nastąpił zapal nowych odkryć, zasada ta nowój nabrała rozciągłości, zażądano aby samo postawienie nogi na wybrzeżu dotąd nieznaném, stanowiło objęcie w posiadłość całego kraju. Kolumb jednakże, wychowany wśród handlu, uważał go jako jedyne bogactwo narodów; nie ciemieztwo miecza pragnął przenieść do Indyi, lecz opiekuńczą władzę, któraby zabezpieczała układy prywatnych. Wkrótce zalał go potok szlacheckiej młodzieży, która rzuciła się na świat nowo odkryty jak gdyby na zdobycz swoją.

Fizyka i geografia nie są naukami które wykryć może natchnienie: samo tylko doświadczenie ich uczy:

godną uwagi jest rzeczą iż winniśmy odkrycie Ameryki szczęśliwemu zbiegowi dwóch błędów: wyobrażeniu że wybrzeża indyjskie bardziej niżeli w istocie ku wschodowi się rozciągają, i zbyt słabemu wyrachowaniu stopni długości. Lecz podziwienie jakie wzbudza w nas Kolumb nie zmniejsza się dla tego, iż sądził że znajduje się pośród nieprzeliczonych wysp indyjskiego morza, w chwili gdy przybijał do San-Salwador, (Guana-hani).

Gdyż to był San-Salwador, na wielkich piaskach Bahamy, owa płaska i zieleniejąca wyspa, na której zatykał sztandar kastylski, i wymawiał uroczyście sakramentalne wyrazy, które podług niego zapewniały jej posiadłość dla korony hiszpańskiej. A nadzy i bezbronni Indianie tańczyli i wyskakiwali na około owych cudzoziemców, których brali za synów nieba. Niez szczęśliwi! ani domyslałi się nawet, że ci żelazni ludzie tak prędko ich plemię wygładzą! wówczas, kiedy starcy, wzruszeni radością, wielkimi krzykami zwoływali ziomków, mówiąc im: »Pójdźcie zobaczyć ludzi co z nieba do nas zstąpili! znoście dla nich »jeść i pić!« Najznamienitszy i najlitościwszy z owych synów słońca, podpisywał ich wyrok śmierci i pisał do swoich monarchów: »Jeżeli Najjaśniejsze Państwo »rozkażą zabrać ich wszystkich i we własnej uwięzić »wyspie, nie nie będzie łatwiejszego.« (12 i 14 Października 1492).

Lecz trzeba było dostać się do strefy złota, był to przedmiot wszystkich życzeń.

»Płynąc ku południowi napotkałem kraj, którego król posiada wielkie naczynia złote: muszę zobaczyć owego monarchę. który podług świadectwa moich In-

dyan nosi ubiór obciążony złotem i panuje po nad wszystkimi sąsiednimi wyspami. Udam się potem do Apange, a skoro znajdę miejsca gdzie podostatkiem złota i korzeni, zatrzymam się.»

Opuszcza San-Salwador i rzuca się pomiędzy miryady wysp któremi mielizna Bahamy jest obsiana: tam zapomina na chwilę swoich snów złotych i upaja się pięknościami natury. »Nie wiem z kąd mam zacząć mój objazd, oczy moje nie mogą się nasycić widokiem zieloności tak pięknej i tak odmienniej od drzew naszych. Nadbrzeżne kwiaty przesyłają tak przyjemne i lube wonie, iż nic podobnego w świecie bardziej wężu upieścić nie zdoła.«

A teraz, odzywa się biegły żeglarz: »Ponieważ jest niebezpiecznie przybijać do tych wysp chyba we dnie, i że nie można jasno widzieć gdzie zarzucić kotwicę, gdyż grunt jest nierówny, i przedstawia tu piasek, tam skały, stałem o podał od lądu przez noc całą.«

21—26 Października. — Nim udałem się do miasta Kinsay na lądzie stałym, dla oddania Wielkiemu Khanowi listów Najjaśniejszego Pana, zwiedzę wielką wyspę Kuba, gdzie moi Indyanie powiadają iż wielki prowadzi się handel, że jest mnóstwo złota, pereł, korzeni, wielkich okrętów i kupców. Jest to Cipango o którym opowiadają tak cudowne rzeczy.»

28 Października. — Na wyspie Kubie, »nigdy nie widziałem tyle wspaniałości, brzegi rzeki są zachwycające, nie mogę się od nich oddalić.« I w istocie wielkich musiał doznawać przyjemności pośród tych wszystkich wysp. Indyanie wspomnieli mu o *Kubakan*, co znaczyło lud wewnątrz mieszkający: cały zajęty opowiadaniem Pawła Marka, pomieszał to poko-

lenie z pokoleniem Kublay-Khan. »Nie ma wątpliwości, że to jest ład stały i że jestem blisko Zayto i Quinsay, mniej lub więcej o 100 mil oddalony od jednej lub drugiej z tych stolic. Las-Casas, nieobznajmiony z geografią Pawła Marka, mówi przytaczając tę frazę: nie rozumiem zupełnie téj gadaniny (*esta algaravia*).

2 Listopada. — Wysła kilku rozsądnych żeglarzy z listami do owego urojonego króla. Posłańcy oświadczają za powrotem iż nie widzieli coby było podobnem do stolicy obszernego państwa. — Spotkali mnóstwo mieszkańców, wszyscy mieli w ręku zeschłe liście jakiejś rośliny, w trąbkę zwinięte, zapalali jeden ich koniec a drugi ssali dym w siebie wciągając. Nazywali je *tabaccos*. Były to cygara.

»Mam nadzieję, przy łasce Boskiej, że Najjaśniejsze Państwo raczą wprędce się namyślić i przysłać osoby pobożne i religijne aby przyłączyć do kościoła Bożego tak wielkie ludy, a któreby ich nawróciły do wiary świętej podobnie jak wygubiły wszystkich co nie chcieli wyznawać Ojca, Syna i Ducha Świętego.«

Najdziwniejsza że nie nie zdołało odłudzić Kolumba; aż do śmierci upierał się że był w Indyach.

21 Listopada. — Fizycy mniemali że kraje najgorętsze kryły w sobie najkosztowniejsze kruszce. Według wielkich upałów jakich doznał na południe wyspy Kuby wniósł iż ma się znajdować bardzo wiele złota w kraju który przebiegał. Tego dnia Marcin Pinzon opuścił go ze statkiem Pinta, co mu wielką boleść sprawiło.

22 Listopada—11 Grudnia. — Indyanie czynili mu potworne opisy ludożerców, których zwali Kanibalami. »Mówię i powtarzam, że *Kaniba* nie jest nic in-



nego tylko lud wielkiego Khana, którego państwo bardzo musi być bliskiem tej krainy. Monarcha ten ma zapewne okręta, na których poddani jego przybywają ujarzmić wyspiarzy indyjskich, a że nie powracają więcéj, współziomkowie wyobrażają sobie że ich pożarto.« Wykształcony w polityce portugalskiej, taką radę daje Hiszpanom: »Wasza Królewska Mość nie powinna dozwolić żadnemu cudzoziemcowi ani jednego kroku stawić na tej ziemi...« Odkrywa Hispaniolę (Haite). »Bóg doprowadzi mnie do miejsca gdzie rodzi się złoto; są Indyanie którzy znają jego kopalnie; znajdują się one w Cipano, które mianują Cibas.«

25 Grudnia. — Statek opływał wybrzeża, piękna była pogoda, jedenasta wybiła, admirał, przez dwa dni i noc jedną żadnego nie zażywszy speczynku, położył się; sternik korzystał z nieobecności dowódcy aby się wypaść, i mimo wyraźnego rozkazu, oddał rudel nowicyuszowi. Wszystko spało na pokładzie, a karawella rozbijała się o rafy. Przebudzony wstrząśnieniem, rozkazuje jedyny obrót co go mógł ocalić: rozkazuje kilku majtkom wsiąść w czołno i zarzucić kotwicę na szerokości morza; szalupa ucieka do statku *Nina*, a karawella roztrzaskuje się. Z tąd można wnosić jakie trudy musiał wytrzymać. Zresztą widzi tylko w tém nieszczęściu rękę Bożą która wszystko na dobre obraca. Jeden z kacyków Hispanioli, Guakanagary, tkliwe oświadczał mu przywiązanie, które to nieszczęście bardziéj jeszcze zwiększyło. Przymuszeni zostać na lądzie, Hiszpanie poczynili tam zamiany na mnóstwo złota, i Kolumb pozwolił nawet niektórym majtkom osiąść w tej krainie, aż do blizkiego powro-

tu wyprawy z Hiszpanii: zbudował im nawet twierdzę: »Každy z ludzi których tu zostawiam będzie miał za moim powrotem beczkę złota, uzyskanego za zamiany, odkryją zarazem kopalnie i korzenie. Król i królowa, nim trzy lata upłyną, będą wszystko mogli przygotować na odzyskanie przenajświętszego grobu, bo jedyną moją chęcią jest poświęcić korzyści téj wyprawy na oswobodzenie Jerozolimy. Gdym dawniej o tém wzmiankował, wzbudziłem tylko wasz uśmiech Najjaśniejsze Państwo, i raczyliście mi oświadczyć że to się wam podobało, i że nawet bez tego wielką mieliście chęć uczynienia tych nowych zdobyczy.« Ukazuje się tu ostatni odblask religijnego ducha krucyaty.

Przy jednym tylko statku pozostawszy Kolumb, gotował się wrócić do Europy. Szóstego Stycznia połączyła się z nim *Pinta*; lecz osada jego zaczęła wychodzić z karności. »Pragnę co prędzej oswobodzić się od rozbójników pomiędzy którymi żyję.« I tym razem szczęśliwe miał natchnienie; skierował ku północy, a zmienne wiatry zapędziły go do Europy; można by sądzić iż miał już wówczas tajemne przeczucie fizycznych praw kuli ziemskiej.

13 Lutego. — Zobaczmy go teraz w obec wielkiego niebezpieczeństwa. — Znajdowali się na zachód wysp Azorskich; błyskawice mignęły po trzykroć w stronie północno-wschodniej. Jest to wroźba, powiada, wielkiej burzy, która ma wybuchnąć z owéj strony, albo téż z przeciwnéj.« Morze staje się groźném, a w nocy wzburzone fale tak bardzo przerażają! Traci z oczu *Pintę*. Wiatry i bałwany szumią tak gwałtownie, iż wszystkich trwoga ogarnia. Statek znajdujący zasłone w wydrążeniu bałwanów, nie może u-

ciekać przed burzą, i wodne góry rozbijają się o jego boki. Rozkazuje processyę, w której miała być obnoszona pięcio-funtowa gromnica; powtarza ją trzykrotnie, gdy orkan coraz bardziej zwiększa swoją gwałtowność. Już pewni zguby. Lecz Kolumba wspierała jeszcze myśl religijna: »Czyż Bóg może pozwolić aby wielkie wiadomości które ze sobą przynoszę, wraz ze mną zaginać miały!« Najmocniejsza chęć dowiedzenia świata, że wszystko co powiedział sprawdziło się, obudziła w nim właśnie jak największą obawę, że tego dokazać nie zdoła.

»Kaźda muszka przebiegająca przed memi oczyma już mnie nudzi, niepokoi. Słabość ta pochodzi z braku wiary i ufność w Opatrzność Boską... lecz łaski które mi dotąd Bóg udzielał, czynią mnie spokojniejszym. Wszechmogący Pan ocali mnie abym ukończył dzieło rozpoczęte.« Przyszłość dzieci rozdzielała mu duszę: »Siórotę, ojca i matki pozbawione, cóż się z niemi stanie na obcej ziemi? Król i królowa wiedzieć nie będą o zasługach ich ojca.« Pełen téj myśli, wziął pargamin i napisał na nim ile mógł o swoich odkryciach; potem obwinawszy go w woskowane płótno, włożył w barylkę i puścił na morze. Majtkowie myśleli że spełnia jakiś czyn pobożny, a on poruczał fałom ażeby zaniósł starymu światu wieść o urodzeniu Świata-nowego.

Uspokoił się wreszcie gniew niebios i przybili do wysp Azorskich. Nowe niebezpieczeństwa go czekały: Gubernator Kastaneda chciał go pochwycić i wydrzeć Hiszpanii zaszczyt jego odkryć. Kolumb uciekł: lecz burza go ścigała; musiał zatrzymać się przy ujściu Tagu, gdzie król portugalski przyjął go jak najza-

szczytniej. Z tamtąd popłynął ku Andaluzyi, a 15 Marca 1493, zarzucił kotwicę w małej przystani Palos. —

Lud na zawsze jednakim pozostanie: ślepym w nienawiści, ślepym w zamięłowaniu; skała Tarpejska i Kapitol, oto dzieje jego bohaterów. Kolumb, którego przed ósmiu miesiącami przeklinano i ciskano nań błotem, nagle był w tryumfie niesiony; niezliczone tłumy cisnęły się na jego przejście, odgłos dzwonów zwoływał lud na jego spotkanie. Umaczał nawet usta swoje w upajającej czarze królów; Ferdynand i Izabella napisali do niego list pełen pochwał i podziwienia, z następnym przypiskiem: Do Don Krzysztofa Kolumba, admirała naszego na morzach oceanowych, wice-króla i gubernatora na wyspach odkrytych w Indjach. — Jakże podchlebnemi wyrazy przemawiali do niego: Więcej umiesz w twojej sztuce, niżeli kiedy pomyśleć można było, że ktokolwiek umieć będzie z pomiędzy żyjących.... Prosimy cię udzielić natychmiast twojego zdania... — A u dworu, co za przyjęcie! hidalgowie, dworzanie, świetny utworzyli mu orszak, gdy otrzymał pierwsze posłuchanie u monarchów; królestwo rozkazali mu usiąść w swojej obecności, zaszczyt prawie wówczas niesłychany; muzyłanci kaplicy królewskiej zaśpiewali *Te Deum*, które całe zgromadzenie chórem powtórzyło z długim okrzykiem. Odtąd miał wolne wejście do zamku królewskiego, i herb monarszy zabłysł na jego tarczy z tym napisem:

*Por Castilla y por Leon*  
*Nuevo mundo hallo Colon. (\*)*

---

(\*) Dla Kastylii i Leonu, świat nowy odkrył Kolumb.

Jakichże zaszczytów można było odmówić człowiekowi który mówił: »Pierwsza moja podróż była tylko wycieczką; przyobiecuję Najjaśniejszemu Państwu dostarczyć tyle złota ile potrzebować będą, za najmniejszą pomoc jaką mi udzielić raczą; korzenie, bawełnę, gummy którą dotąd znajdowano tylko na wyspie Kios, a którą sułtan sprzedaje po cenie jaką mu się ustanowić podoba, aloesu, niewolników; wszystko będą mieć ile tylko zażądata.« Co do niego, chociaż zdruzony na chwilę niesłychanem swoim szczęściem, skromnie jednak używał tryumfu; jedyną zemstą której sobie dozwolił względem tych co go najbardziej upokarzali, było głośne dowiedzenie prawdy jego pomysłów. »Błogosławionym niech będzie Bóg, on udziela tym, co postępują drogami Jego, zwycięztwo i powodzenie! dowiódł tego najlepiej cudami jakie dla mnie zdziałał. Wbrew i przeciw radom tylu znakomitych osób odważyłem się na tę podróż; wszystko powstawało przeciwko mnie, nazywając mój zamiar marzeniem, a przedsięwzięcie moje dziwactwem. Mam nadzieję w Najwyższym, że powiedzenie się jego wielki zaszczyt przyniesie chrześcijaństwu... Potworów któremi mi grożono, nigdzie ich nie spotkałem....« Pośród przepychu którego niespodziewany blask ze wszystkich stron go oślepiał, zawsze miał sobie za zaszczyt byź przyjacielem opata klasztoru de la Rabida, i głośno oświadczać wdzięczność swoją zakonnikowi Diego de la Doza, który później był biskupem Palencyi.

Wkrótce rozgłos jego imienia po całej rozszedł się Europie: we Włoszech, Francyi i Anglii mówiono tylko o wyprawach; niewiadość krzyczała że to cuda! pomiędzy uczonemi wielkie wzrosło zaburzenie. Spór

o kulistość ziemi i istnienie antypodów został wreszcie rezstrzygnięty; umysł ludzki oswobadzał się z pasków niemowlęcych które go tak długo krępowały w ciemności. Odkrycia Kolumba były niejako wstępem do systemu o którym przemyślał Kopernik.

Był to wówczas człowiek potrzebny. Ludy muszą koniecznie ścigać jakąś chimere; potrzeba żywiołu ognistym i niespokojnym umysłom poburzającym tłumy: wypędzenie Maurów zostawiło bez zajęcia całą tę część ludności, żyjącej jedynie ruchem; odkrycie nowego świata padło jak błyskawica pomiędzy ubogich i walecznych hidalgów, któremi Hiszpania była przepełnioną. Wyobraźnia śpiesznym postępuje krokiem: ryccerze, zakonnicy, spekulanci zbiegli się słysząc świetne opowiadania Kolumba; jedni aby orężem nowe zdobywać państwa, drudzy aby wznowić święte posłannictwo apostołów pomiędzy bałwochwalcami ludy; wszyscy nakoniec aby zbierać złoto którym dzicy gardzili. Żadna wyprawa nie była tak popularną jak druga podróż na którą się gotowano; każdy miał sobie za zaszczyt należeć do niej; siedmnaście okrętów rozmaitej wielkości gotowych było wyruszyć co chwila pod żagle z przystani Kadysz; zgromadziło się na nich przeszło 1500 ludzi, wśród trzody i roślin, które uważali jako niezbycie potrzebne dla osady. Urzędnicy mieli rozkaz nie odmawiać admirałowi; lecz w zapale który go ogarzał, nieraz Kolumb przeciwiał się mnichowi Fonseca, którego nienawiść nieszczęsny wywarła wpływ na resztę jego życia.

Tu zaczyna się zawód administracyjny Kolumba. Zarząd spraw publicznych jest skałą o którą zwykle rozbijają się uczeni i ludzie odznaczający się w wyłącznym

jakim przedmiocie. To co mi pozostaje skreślić z życia Kolumba, jest długą tkaniną błędów; zbyt żywa wyobraźnia za daleko go unosiła; lecz będzie to przynajmniej ciekawy widok, przez jakie drogi wzniosły ten umysł obłąkać się zdołał. Nie zamyslałem czynić jego pochwały; chcę tylko odmalować go tak, jak wielki cień jego ukazuje się wśród ubiegłych wieków.

Była to w istocie bogata i płodna kraina, owa wyspa do której wiódł Hiszpanów. Rzeki toczyły nurty po złotych piaskach, góry zawierały w swém łonie kosztowne żyły tego kruszcu; lecz tam, podobnie jak i wszędzie, ziemia tylko pracy otworzyć miała skarby swoje. Chciwy nowych odkryć, zboczył z drogi dla rozpoznania archipelagu Karaibów, a zapal awanturników co mu towarzyszyli, ostudził się pośród trudów i długiej przeprawy. Nadzieja iż wreszcie pogrążyć się będą mogli w rokoszach Hispanioli utrzymywała ich jeszcze, lecz gdy przybyli do portu Narodzenia, ujrzeli iż zamordowano ich współziomków, ubiory ich podarte w szmaty rozrzucone na wybrzeżu: gdyż Indianie w pień wycięli bezczelnych cudzoziemców co im chcieli wydrzeć majątki i żony. Nim zaczęli szukać złota, musieli pierwój zdobywać ziemię, zbudować miasto, otoczyć go murami. Co za srogi zawód. Owa ziemia obiecana przedstawiła im brzeg niegościnny, pożerczy i niezdrowy klimat, który ich niemiłosiernie dziesiątkował; ludy rozjątrzone groziły że ich zamorzą głodem. Zapasy wyczerpywały się, musieli czekać owocu zasięwów swoich. Duma szlachty oburzyła się, gdy musieli wziąć się do podłych rolniczych narzędzi. Wszystkie serca zadrżały oburzeniem przeciwko włoskiemu intrygantowi który ich tak

zwiódł; konający przeklinali go, ocaleni myśleli tylko o jak najprędszym powrocie do ojczyzny, i przez czas niejakiś powstające miasto Izabelli przedstawiało rozdzierający obraz cierpienia i nieładu.

Ciągle łudzony świetnymi urojeniami, Kolumb nie słyszał burzy namiętności która pod jego stopami wrzała; zdawało mu się iż wszelkie ustanowienia ludzkie opierają się na niebie: zwierzchnictwo udzielone przez króla uważał jako niewzruszone, i postanowił założyć rząd swój na zasadach towarzystwa od dawna ustanowionego. Memoryał który napisał do króla, odsyłając flotę do Hiszpanii, świadczy wielką rościągłość widoków, obszerne pojęcie ekonomii towarzyskiej, przyćmione tylko nieco odcieniem fanatyzmu religijnego; okazuje wszędzie kupca opierającego działania swoje na przyznanej i świętej władzy, nie zastanawiającego się jednakże nad charakterem ludzi których używa.

»Oświadczysz Najjaśniejszemu Państwu, iż chciałbym przysłać im większą ilość złota, lecz znaczna część ludzi moich zachorowała...

»Powiesz im, że dla dobra dusz Kannibalów i samychże nawet mieszkańców tutejszych, przyszło nam na myśl, że im dalej ich wyślemy tém lepiej dla nich będzie. Zważywszy ile tu potrzeba bydła na żywienie, koni i mułów do pracy, dla ludzi mających osiąść w tej krainie, Najjaśniejsze Państwo upoważnić będą mogli stosowną liczbę karawellów, które dostarczałyby tu wspomniane zwierzęta, aby załudniać pola i korzystać z gruntu. Trzody te sprzedawane by były po umiarkowanej cenie, i możnaby je płacić niewolnikami wziętymi z pomiędzy ludożerców, ludzi dzikich i do wszystkiego przydatnych.«



Widocznie nie zgadzał się z gromadą którą prowadził: on przybywał zakładać, oni niszczyć. Nieugięty w wierze, chciał aby sprawiedliwość ugruntowana na tém co nazywał prawami człowieka ucywilizowała świat nowy; myśl ta nie odpowiadała ani obyczajom ani zbrodniom jego wieku, nie mógł sam jeden dokazać aby tryumf odniosła. Niechętni utworzyli spisek; Indyanie nawzajem poprzysięgli zgubę białych, którzy kraj ich niszczyli; okropna i nieznana klęska przyszła zarazem ukarać Hiszpanów za wszystkie nadużycia, i nieszczęśliwa osada zdawała się skazaną na nieochybną zagubę. Uskarżał się gorzko iż świat źle się z nim obchodził; lecz niesłusznie: chcąc prowadzić ludzi trzeba umieć naginać się do ich namiętności a często i do dziwactw: bezwzględna sprawiedliwość nie istnieje na ziemi. Pozorna jednakże cisza nastąpiła po tylu cierpieniach, lecz było to tylko wysilenie szału. Kolumb znowu zajął się zamiarem nowych odkryć, i poruczyłwszy rząd wyspy juncie pod przywództwem brata swego Diega, wyruszył 24 Kwietnia 1494 z trzema karawellami, na ostateczne rozpoznanie krańców Azyi, owego złotego Chersonesu, sądząc iż Kuba jest jego częścią. Oplłynął południową stronę tej wyspy i przybił do Jamajki; lecz ta podróż, która stawiała mu naprzemian świetne marzenia i odłudzenia bolesne, była dla towarzyszków ciężkiem doświadczeniem trudów i potrzeb. Miał już wręście okrążyć przylądek Ś. Antoniego i wejść w zatokę Meksykańską. Kuba niebyłaby już dla niego lądem stałym; może byłby przybył do obszernego państwa Meksyku, gdy musiał cofnąć się; statki jego od robaków stoczone ze wszystkich stron przesłukały wodą; majtkowie upadali pod cierpieniem; jedynie zajęty rozszerzeniem swego przyszłego

królestwa, rozkazał stwierdzać autentycznie, uroczystym aktem przez całą osadę podpisanym, że Kuba była lądem stałym. Wrócił; lecz skoro ujrzał Hispaniołę, wzburzenie umysłu uspokoiło się, siły opuściły go, i w długi wpadł letarg.

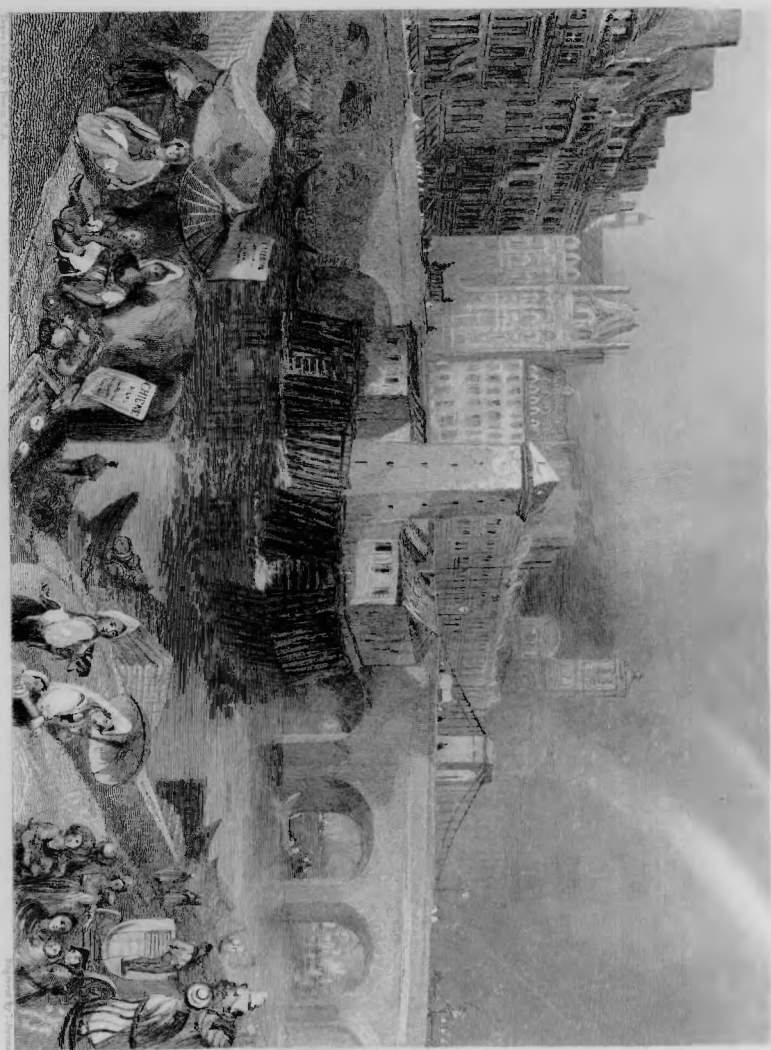
Na szczęście obudził się na ręku brata swego Bartłomieja, dzielną obdarzonego duszą, pełnego pojęcia i śmiałości. Tego też właśnie potrzebował: słaby Diego upuścił z rąk swoich powierzoną mu władzę; dowódzca wojskowy, Pedro Margarita, uczynił się niepodległym od junty, i wraz z mnichem należącym także do tymczasowego rządu, dopuścił się najokropniejszych nadużyć, przebiegając wyspę jak herszt rozbójników, i oburzając przeciwko sobie Indyan. Dla uniknięcia kary którą zagrażał im powrót admirała, przywłaszczyli sobie gwałtem karawelle stojące w przystani, i w towarzystwie przestępców i wielkiej liczby malkontentów, wrócili do Hiszpanii, rachując że potwarzą zdołają usprawiedliwić postępek swój u dworu. Zakonnik Tonseca, niezmiernie wówczas potężny, użył im wsparcia: otrzymałiby najzupełniejszy skutek gdyby nie przybył Diego z wiadomością o ostatniej podróży swego brata, której cudowne opowiadania na nowo zapal wzbudziły; mniemano iż się dostał na koniec do czarownych miast Azjatyckiego wybrzeża. Ferdynand poprzestał na wysłaniu kommissarza, mającego zlecenie rozpoznać stan osady.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

BIBLIOTEKA

Nr. Tom

WYDZIAŁ MATEMATYKI



## KRZYSZTOF KOLUMB.

(D o k o ń c z e n i e.)

---

Hispaniola coraz posepniejszą przybierała postać; rokosz wrzał ze wszech stron; Indyanie rozżarci obelgami którymi napawać ich nie przestawano, utworzyli związek; zemsta całą ochłonięła wyspę, musiało wreszcie przyjść do ogólnej bitwy. Kolumb odzyskał na koniec zdrowie; wystąpił z całemi siłami naprzeciwko nieprzyjaciela. Dwóstu Hiszpanów rozproszyło stutysięczną armię. Mieli w pomoc żelazne zbroje, oboieczne miecze, broń ognistą niewysłowiony przestрах wzbudzającą, lotne ramaki, których sam widok przerażał dzikich, okrutne psy nauczone pożerać owych nieszczęśliwych, mających za całą obronę kruche tylko trzciny: mniemanie na koniec iż przybyli z nieba, otaczało ich tajemniczą potęgą. Od tego zwycięstwa puścili wolne wodze swemu okrucieństwu, a Indyanie, szczerwani jak dzikie zwierza, napróżno błagali miłosierdzia. Wówczas przybył kommissarz z Kastylii: Kolumb uczuł iż władza ma się z rąk jego wyslizgnąć; postanowił wrócić do Hiszpannii, i sam popierać sprawę swoją u dworu. Zostawiwszy zarząd wyspy bratu swemu Bartłomiejowi, z tytułem Adelan-

tady, wsiadł na okręt ze wszystkimi Hiszpanami, którzy nie byli potrzebni nowój osadzie.

Przeprawa była długa i trudna: zamiast udać się ku północy, nieszcześnie ciekawość skłoniła go iż popłynął ku wschodowi, i przez całe dwa miesiące musiał się pasować z wiatrami odpychającemi go od brzegów europejskich. W tak przykrém byli położeniu, iż osada okrętowa chciała koniecznie wrzucić w morze wszystkich Indyan. Przybył nakoniec 11 Czerwca 1496; lecz nie był to już ów Krzysztof Kolumb, którego uwielbienie publiczne czciło jak bożyszcze; ostygł zapał: wprzód ubóstwiano jego geniusz, teraz przesadzano błędy.

Dziejopisowie podobni są do gminu: chcą aby wszyscy ludzie, których los powoła grać wielką rolę na scenie publicznej, nadprzyrodzonymi byli istotami: uderzeni ważnością jakiejś Ameryka nabrała pod Karolem Wielkim, obwinili Ferdynanda iż nie wyczerpał wszystkich skarbów Hiszpanii dla dania pomocy Kolumbowi. I cóż obchodziła króla hiszpańskiego, sława owego Włocha! On tylko chciał złota; jedynie w téj nadziei obsypał tyłu zaszczytami nikczemnego cudzoziemca: wyniszczały go wojny europejskie, a świat ów nowy, więcej mu straty niż pożytku przynosił. Jak wszyscy ludzie tworzący wielkie zamiary, Kolumb, ognisty i namiętny, poświęcał teraźniejsze korzyści przyszłemu blaskowi swego przedsięwzięcia; Ferdynand, obojętny i zastanawiający się, wiedziony niezawodną domyslnością własnego interesu, nie zapalał się bynajmniej. Umowa zawarta z Kolumbem całkiem była na korzyść Genuńczyka; korona ponosiła koszt, on

zyskiwał sławę i chciał sobie przywłaszczyć namiestnictwo nad całemi Indjami, bo przez późniejsze układy uwolniony został od ósmiej części wydatków, z razu na nim ciężaczej. A jednakże, chociaż gmin uchylił się od niego, znalazł wsparcie u dworu; mimo potwarzy któremi go oczerniono, monarchowie jak najzaszczytniej go przyjęli i nowych łask udzielili; królowa ofiarowała mu margrabstwo, lecz go nie przyjęła, lękając się nową obudzić przeciwko sobie nienawiść; dekret pozwalający wszystkim przedsiębrać podróże i czynić odkrycia, został odwołanym, jako naruszający, jego przywileje. — »Życzeniem naszym było, mówili najjaśniejsze państwo, w niczem nie naruszać praw don Krzysztofa Kolumba. — Mówił jednakże zupełnie inaczej jak po pierwszym powrocie, odwoływał się do przyszłości i wspaniałości monarchy. »Oddawna już królowie portugalscy zaczęli podbijać Gwineję, a kraj ten od niedawnego dopiero czasu dochody im przynosi.« I wśród wojen nieustannych, wśród zakłopotañ nowych przymierzy, jeszcze przeznaczono znaczną sumę na trzecią wyprawę. Jeżeli Kolumb nowe napotkał przeszkody, jeżeli końca nie mające kłótnie często stały mu na zawadzie, oskarżać o to należy niechęć kilku podwładnych. Dodajmy dla sławy Kastylii, że królowa Izabella zawsze udzielała mu wspaniałomyślnego wsparcia. Oto wyrazy w których maluje własne położenie względem Hiszpanij. »Zaczęto mówić pogardnie o rozpoczęciu przedsięwzięciu, dla tego że nie przysłałem okrętów naładowanych złotem, a nie baczono jak krótki miałem czas do tego. Postanowiłem udać się do Was Najjaśniejsze Państwo, wystawiłem Wam zobowiązania się na które mieszkańcy Hispanioli przystać

chcieli; przywiozłem Wam mnóstwo próbek złota, korzeni, drzewa farbiarskiego; wszystko to nie było dostatecznym dla niektórych osób, gdyż wymagało pracy i kosztów.»

Brakowało ludzi na uzupełnienie okrętowych osad; zawerbował złoczyńców, których kary na proźbę jego, zmieniono w wygnanie; nieszczęsny ten środek gorzkie przyniósł owoce. Wygotowano nakoniec sześć statków przeznaczonych dla niego. Lecz nim skręśliśmy katastrofę która zakończyła zawód jego administracyjny, zajmującą może będzie rzeczą, dać poznać jego wyobrażenia o fizyce i geografii: z własnych słów go osądzimy. Trzecia owa podróż, którą cechował nadewszystko charakter naukowy, dała mu powód do wystawienia nowej nauki.

»Wypłynąłem, w Imieniu Przenajświętszej Trójcy, 30 Maja 1498 z miasta San-Lucar.« Błahe powieści o ziemi leżącej na południe, zachęciły go zbliżyć się do równika. Wysławszy trzy statki do Hispanioli, wpadł na strefę ciszy: »Tam, mówi, tak wielkich doznałem upałów, i płomienie słońca tak były pożercze, iż myślałem że nas spalą.« Zapędzony został na zachód aż do ujścia Orenoki, odkrył wybrzeża Para, i przez całą podróż okropnych doznał trudów; częste napady pedogry o mało go nie zabiły. »Chociaż w poprzednich podróżach, w których odkryłem ląd stały, dodaje, nie spałem przez dni trzydzieści i trzy, i przez ten cały czas wzroku byłem pozbawiony, nie tyle jednak ucierpiałem.« Zmuszony cierpieniem ograniczyć się sam w sobie, zgromadza wszystkie swoje wspomnienia, i szuka wytłómaczenia zjawisk które go zadziwiły. W kanale przedzielają-



cym wyspę Trójcy-Śtój od lądu stałego, »znalezłem, mówi, że woda płynęła ze wschodu na zachód, zrównań gwałtownością jak Gwadałkwiwir podczas wezbrania. Mniemałem że nie będę mógł ani wstecz się powrócić z przyczyny prądów, ani postąpić naprzód dla wielkich mielizn. Bardzo późno w noc znajdując się na pokładzie, posłyszałem nadchodzący z południa łoskot straszliwy: zacząłem się przyglądać i ujrzałem morze podnoszące się z zachodu na wschód, tworzące niejako pagórek tak wysoki jak statek, a który zwolna ku niemu się sunął. Po nad tém morza wzniesieniem znajdował się prąd, lecący z rykiem i niezmiernym łoskotem bałwanów morskich roztrącających się o skały. Dzisiaj jeszcze czuję trwogę jakiej doznałem gdy się zbliżył do mojego statku: przeszedł jednakże i dostał się do ujścia kanału, gdzie się długo zatrzymał.« Tak tłumaczy ową zaporę wodną, ową straszliwą *Poroha* jak ją nazywają Indyanie: »Wniosłem że prądy i owe pagórki wodne, wychodzące i wchodzące do kanałów z łoskotem tak straszliwym, pochodziły z uderzenia się wody słodkiej o wodę słoną, i że jedna przeszkadzała wydobyć się drugiej.« Dzisiaj, kiedy zjawisko to dobrze nam jest znaném, lepszój nadadź mu nie możemy przyczyny.

Tak mówi dalej: »Twierdzę że świat nie jest tak wielkim jak gmin utrzymuje: stopień równikowy ma tylko mil 14. Postrzegłem doskonale, na zachód wysp Azorskich wielką zmianę w niebie i gwiazdach, w temperaturze powietrza i wodach morza. O sto mil po za temi wyspami postrzegłem że igła magnetyczna pochyliła się ku północo-zachodowi o całe dwanaście stopni: morze było gęste i całe roślinami okryte,

a chociaż wiatry dmą gwałtownie, nigdy jednak fali wysoko nie wznoszą. Wewnątrz tego promienia temperatura niezmiennie jest łagodna i nie zmienia się nigdy. — Zawsze czytałem że świat jest kulisty, co dowodzą przez zaćmienia księżyca. Postrzegłem w moich podróżach tak wielką nieregularność, iż inne daleko uczyniłem sobie wyobrażenie o świecie, i uznałem że nie jest okrągłym w sposób jak go opisywano, lecz że ma kształt gruszki bardzo okrągłej, wyjąwszy w miejscu gdzie przytwierdzony bywa ogonek czyli sypułka, a które najbliższém jest nieba; miejsce to znajduje się przy równiku i na tymże oceanie który teraz przepływam, na krańcach wschodu, tam gdzie się znajdują wszystkie lądy stałe i wyspy.«

»Dostawszy się na zachód wysp Azorskich, statki wznoszą się zwolna ku niebu, i łagodniejsza atmosfera uczuć się daje: igła magnesowa, w skutek téj łagodności powietrza zmienia swoje położenie, i im bardziej statek postępuje, im bardziej się wznosi, tém bardziej igła magnesowa skłania się ku północo-zachodowi. Zdanie moje oczywiście jest dowiedzioném; gdyż na wybrzeżach Gwincy widziałem ludy czarne i ziemię spiekłą żarem słońca, gdy tymczasem, pod tą samą szerokością, pominąwszy promień o którym mówię, na wyspie Stój-Trójcy, temperatura jest łagodna, drzewa nadzwyczaj zielone, mieszkańcy kształtniej postawy. To z tąd pochodzi, że kraj ten jest najwinnioślejszym z całego świata, i że ziemia nie jest kulistą. Z resztą Pismo Święte poświadcza, że z raju ziemskiego wychodzą trzy źródła, dające początek czterem głównym rzekom. Przypuszczam że raj umieszczony jest na samym wierzchołku gruszki, przy sa-

mój sypulce, i że massa słodkiej wody którą napotkałem z tamtąd pochodzić może...» Nie czynimy żadnej uwagi o tym ustępie.

Wraca znowu do Hispanioli, lecz znużony trudem, umierający prawie; a zamiast znaleźć tam spoczynek, tak dla siebie potrzebny, musi najdzielniej walczyć z nowemi przeciwnościami. Cała wyspa była wzburzoną; zbrodnia i rokosz z podniesioną postępowały głową: wszyscy zbójcy zbiegli z galer, któremi Hiszpania zmuszoną była uzupełnić tę wyprawę, nie chcieli uznać żadnej prawnej władzy. Skupili się w gromady: każda nadała sobie wodza własnego wyboru; napadali na Indyan i szérzyli najokropniejsze zniszczenie. Lecz gdy się wszystko łączyło aby go potępić, żywa wiara w Opatrzność była wsparciem jego: »Gdy już wszystko miałem opuścić byle ocalić życie, Pan cudownie raczył mnie pocieszyć i rzekł do mnie: »Nabierz odwagi, nie poddawaj się smutkowi i bojaźni; ja o wszystkiém pomyślę...« Ujrzał się zmuszony wejść w układy z rokoszanami, uznać władzę którą powstanie utworzyło: zdał na przyszłość tryumf sprawiedliwości, i zaufał mądrości króla hiszpańskiego w ukaraniu winnych. Lecz potwarz oblegała tron Ferdynanda i skargi Kolumba pierwój przytłumionemi były nim zdołały dostać się do niego. Tysiąc zaskarżeń wznosiło się przeciw jego zarządowi; wszyscy intryganci, których chciwość nasyconą nie została, oskarżali go o okrucieństwo i zniszczenia; wielka liczba owych nędzników przyszła aż pod same mury pałacowe, ściągac swemi przekleństwami syna admirała, którego królowa umieściła w liczbie swoich paziów. Krzyczeli:

»Oto dzieci owego zdrajcy, co odkrył ziemię zawodów i próżności, aby się stała grobem całej Kastylji!

Zła chęć wszystko zatruć potrafi. Biskup Fonseka rozjątrzył podejrzliwego Ferdynanda zdradzieckimi poszepty, i sam Kolumb obraził tkliwą duszę Izabelli, dając Indyanom uczuć z całą okropnością jarzmo niewoli. — Jakiémże prawem śmie admirał tak rozrządzać moiini poddanyimi? — rzekła z boleścią i podpisała zgubę człowieka który niegdyś największy w niej zapal obudził. Bobadilla został wysłanym dla rozpoznania stanu osady, ukarania przestępných i odebrania godności samemuż admirałowi, gdyby go winnym osądził. — Bobadilli zbyt wiele na tém zależało aby Kolumba uznać za wielkiego zbrodniarza; musiał nim stać się w jego oczach. Uwiadomiony przez kilku zbójców którzy go otaczali o przybyciu Kolumba, rzucił z godności jego i braci, i nie widziawszy ich, nie raczywszy wysłuchać, kazał obciążyć kajdanami i wrzucić do więzienia. »Nowy kommandant, pisał Krzysztof Kolumb, rozgospodarował się w moim domu, i ze wszystkiém co w nim było przywłaszczył go sobie. Żaden korsarz tak srogo nie mógł się obejść.« Wszyscy złoczyńcy któremi wyspa Saint-Domingo była przepełniona, zbiegli się pod okna jego więzienia; słyshał niecne ich groźby, a niegodne obchodzenie się z nim, przekonało go iż wystawiony jest na śmierć obelżywą. I kiedy Alondzo Villezo, kapitan okrętu, który miał zawieźć go do Europy, wszedł do jego więzienia, sądził że go mają wieść na rusztowanie. Villezo! rzekł do niego smutnie, gdzie mnie zaprowadzisz? »Na okręt którym mamy odpłynąć, admirale; odpowiedział godny ów officer.« Odpłynąć! żywo powtó-

rzył admirał: Villezo! czy ty prawdę mówisz? —Przy-  
sięgam ci, admirałe że nie prawdziwszego.—Na te sło-  
wa odetchnął admirał. Villezo obchodził się z nim  
zawsze z uszanowaniem winném wielkiemu nieszczęściu;  
chciał mu zdjąć kajdany: »Nie, odpowiedział wielki  
mąż. Najjaśniejsi państwo napisali mi abym się pod-  
dał wszystkiemu co mi Bobadilla w imieniu ich roz-  
każe; w ich to imieniu obciążył mnie temi okowy, i  
nosić je będę póty, póki nie rozkażą aby mi je zdjęto,  
a potem uważać je będę jako pamiłnik nagrody danój  
mi za moje usługi.«— I tak uczynił, powiada syn je-  
go Fernando; widziałem je zawsze wiszące w jego  
gabinecie, i rozkazał aby je po śmierci razem z nim  
w trumnie złożono.

Dziwném skojarzeniem nieszczęść, gdy wszystkie  
nienawistne namiętności połączyły się aby go pozba-  
wić bogactw i zaszczytów z takim trudem nabytych,  
kupiec florencki kradł mu największy jego tytuł do  
sławy w oczach potomności; Ameryk Wespucyusz,  
sternik Alonza de Ojeda, przywiązał imię swoje do  
odkrycia Indyi zachodnich.

Gmin rządzi się raczej uczuciem niżeli rozważą:  
widok wzniosłego nieszczęścia głęboko go wzrusza.—  
Gdy się rozbiegł odgłos od miasta do miasta, że Kirzy-  
sztof Kolumb wrócił do Hiszpanij, obciążony kajdana-  
mi przez tych dla których świat nowy odkrył, tłum  
zaczął szemrać przeciw takiej niewdzięczności; ukryli  
się nieprzyjaciele wielkiego męża, a Ferdynand i Iza-  
bella, zniewoleni zdaniem ogółu, wyparli się czynu  
Bobadilli. Zaszczytnie przyjęli znakomitego więźnia, i  
natychmiast wysłali zaufanego człowieka aby rozsądził  
zaburzenia osady. Cóż więcćj mogła uczynić wdzię-

czność monarchy? Kolumb przyobiecał skarby, a każde jego przedsięwzięcie było nowym ciężarem dla korony. Przez dwa lata kołysano go najwspanialszemi obietnicami; lecz nie powrócono mu odejtych zaszczytów. Tysiące innych awanturników rzuciło się w jego ślady i przyniosło skarbowi niezmierne korzyści: jakąż wagą może być sprawiedliwość na szali złota?

Są ludzie co bez ustannie występują za granice rzeczywistego życia: Kolumb widząc iż mu się wysłiznęło wielkorządztwo Indyi, zaczął marzyć o oswobodzeniu Świętego-Grobowca. Duch krucjaty, rzucał jeszcze kilka iskier w Hiszpanii. Wykarmiony czytaniem proroków, rozognił swoją wyobraźnię nad ich rozważaniem; zdawało mu się iż Duch Święty powołuje go na wzniesienie góry Syońskiej, i ułożył tom świętych poczyi, w celu pobudzenia gorliwości religijnej w królach katolickich.

W pozostałych ułamkach tych poczyi, nie znajduję nic coby malowało szczególny charakter człowieka; jest to tylko naśladowanie świętych autorów, wierszem ułożone.

Wówczas rozeszła się po Hiszpanii wiadomość, iż Wasko de Gama znalazł wreszcie drogę do Indyi około przylądka Dobrej Nadziei. O niczem nie mówiono, tylko o bogactwach które to odkrycie przyniesie Lizbonie; pozazdrościł tego Ferdynand. Wypadek ten nadał umysłowi Kolumba dążenie dawniejsze. Sądził iż cała jego sława na tém zawisała, aby wyprzedził Portugalczyków do owych Indyi, przedmiotu najgorętszych życzeń hiszpańskiego dworu; podał plan nowej podróży, w której utoruje drogę przez wyspy i lądy stałe w pewnych wycieczkach przez niego rozpoznane, i uda się do Kalkuty po nad brzegami Gan-

giesu. Znowu musiał passować się z uprzedzeniami Ferdynanda, i znowu Izabella wszelkie zniosła trudności. Dnia 11 Maja 1502 wypłynął z Kadyxu z człérem karawellami. — Tym razem cały świat opłynę! rzekł po czwarty raz opuszczając hiszpańskie wybrzeża; lecz los przeznaczał tę sławę Magellanowi, i zasiawszy całe jego życie tylu goryczami, pragnął, nim popchnie starca do grobu, najśroźszy cios mu zadać. Ostatnia jego podróż jest tkaniną najokropniejszych nieszczęść: cierpienia fizyczne, cierpienia duszy, połączyły się aby go do ostatka zgromić. Lecz nieszczęście zdaje mu się nowych sił dodawać; nigdy nie jest większym jak wtenczas kiedy walczy z przeciwnościami. Opis przez niego uczyniony, wszystkich cierpień które musiał wytrzymać, jest szczytnym ustępem rozczulającój tęsknoty i szlachetnego poddania się losowi; zdaje się jakoby chciał w nim złożyć wszystkie boleści, któremi dusza jego była załana.

»Z Kadyxu udałem się do wysp Kanaryjskich, a potem do St-Domingo. Gdy przybyłem naprzeciw Hispanioli, zażądałem, jako największą łaskę, aby mi dostarczono statek za własne moje pieniądze, gdyż jeden z moich nie był w stanie dalej płynąć. Zabroniono mi na ląd wysiąść. Burza okropna była téj nocy. Któżby, prócz Joba, nie umarł zrozpaczy, widząc, że kiedy szło o zbawienie moje, mojego syna, brata i przyjaciół, broniono mi wstępu na ziemię i do przystani, kosztem krwi mojej odkrytych? Zacząłem płynąć ku stałemu ladowi; burza trwała przez dni sześćdziesiąt; potoki wody, morskie trąby, błyskawice, zdawały się przepowiadać koniec świata. Cała moja osada pogrążona była w największym zmartwieniu;

po kilkakrotnie wszyscy wzajemnie spowiadali się sobie. Co do mnie, zachorowałem, i byłem już blizki grobu.— Takie jest moje przeznaczenie, iż dwadzieścia lat usług prac i trudów tak niebezpiecznych, żadnej mi nie przyniosły korzyści; nie posiadam w całej Kastylii ani jednego zakątka; jeżeli chcę jeść lub spocząć, muszę udać się do karczmy, a nie raz i tego uczynić nie mogę, bo nie mam czém zapłacić.«

*Na wybrzeżu Waragas:* »Rana moja otworzyła się, i przez dziesięć dni stracono wszelką nadzieję aby mi zachować życie. Nigdy nie widziano morza wznoszącego się tak wysoko, ani tak okropnego, ani taką pianą okrytego. Wiatr zatrzymywał mnie na tém morzu, które zdawało się być krwią, i wrzało jak kocioł na wielkim postawiony ogniu. Niebo nigdy pewnie tak straszliwego nie przedstawiało widoku; przez całą noc i dzień płonęło jakby piec piekarski; wyrzucało ze siebie tak mocne promienie, pioruny z tak przerażającą trzaską wściekłością, iż wszyscy byliśmy pewni że nam zatopi okręty.«— Niepodobna wierzyć odmalować burzy zwrotnikowej. »Mieszkańcy tego wybrzeża są wielkimi czarownikami, a owe ścigające nas orkany, natchnęły kilku z naszych towarzyszy dziką myślą, że jesteśmy oczarowani, i dotąd jeszcze w to wierzą.«

Na owém wybrzeżu, który brał za złoty Chersones, założył kilka osad, dla odkopywania bogatych min tamże się znajdujących; lecz rozżarci Indianie poniszczyli je, spalili i zmieszali z ich popiołami popioły mnóstwa zamordowanych Hiszpanów. Nieprzeliczone hordy wyły przeciwko niemu okrzyk śmierci;



trzeba było uciekać, a morze rozbijało o wybrzeże  
pieniste góry, a wiatr grzmiał nawałnicą. »Zniknęła  
wszelka nadzieja wybawienia. Z wielkiem wysile-  
niem dostałem się na punkt jak najwyższy, żałośnym  
przywołując głosem wszystkich czterech kardynalnych  
wiatrów na pomoc: lecz 'próżno. Widziałem w około  
siebie płaczących wszystkich wojskowych dowódców.  
Zmorzony trudem, zasnąłem jęcząc, i posłyszałem li-  
tośny głos który do mnie przemawiał: »O szaleńcze!  
zbyt powolny uwierzyć i służyć twojemu Bogu, Bogu  
wszystkich ludzi! I cóż więcéj uczynił dla Mojżesza  
i Dawida, sług swoich? Od urodzenia twego najwię-  
ksze miał o tobie staranie; gdy ci dozwolił dojść do  
wieku przeznaczonego w odwiecznych jego zamiarach  
i całą ziemię zapełnił rozgłosem imienia twojego. Od-  
dał ci w moc Indye, najbogatszą część świata: roz-  
darowałaś je komu ci się podobało, gdyż ci do tego  
władzy udzielił. Otrzymałeś z rąk jego klucze od za-  
pór Oceanu, aż dotąd zamkniętego tak mocnemi łań-  
cuchy; niezmierzone krainy podległe są woli twojéj i  
nieśmiertelną sławę pozyskałeś między Chrześciany.  
Cóż więcéj uczynił dla Dawida, którego wyniósł z pro-  
stego pasterza na tron Judei? Powróć do Boga two-  
jego, uznaj błąd twój, miłosierdzie jego jest nieskoń-  
czoném; starość nie przeszkadza ci wielkie działać rze-  
czy; Pan wręku swojém trzyma najświetniejsze puści-  
zny. Czyż Abraham nie miał przeszło lat sto gdy  
spłodził Izaaka? Dopominasz się niepewnéj pomocy?  
odpowiedz. Któż tak bardzo i tak często cię zasmu-  
cał? Czy Bóg, czy świat? Bóg nie przestaje utrzymy-  
wać raz nadanych przez siebie przywilejów, i nie gwał-  
ci nigdy danych obietnic: skoro-tylko cześć wyświad-

czoną zostanie, nie powiada że powinna była inaczej, podług woli jego być wyświadczoną, i że zupełnie rozumiał ją inaczej; nie skazuje na męczeństwo dla wykrycia siły; działa niezachwianie równie jak mówi; dotrzymuje wszystkiego co obiecał, a nawet i więcej daleko: to zwyczajem jego. O tóż, co zbawiciel twój uczynił dla ciebie. Odbierz teraz nagrodę trudów i niebezpieczeństw, których doświadczyłeś służąc innym.» Byłem prawie na wpół umarły gdym to posłyszał; nie znajdowałem żadnej odpowiedzi na wyrazy tak prawdziwe, zdołałem tylko opłakiwać błędy moje. Ten co przemawiał do mnie, skończył temi słowy: »Nie lękaj się niczego, miej nadzieję: wszystkie twoje cierpienia zapisane są na marmurze, i to nie bez przyczyny.»

Nie wiem czy zajęcie, które wzbudza namiętność tego sławnego nieszczęśliwego, tak mocno na umysł mój działa, lecz ten ustęp, napisany stylem świętego Jana Chryzostoma, zdaje mi się być wyższym nad wszystko co pisma ojców świętych zawierają najcudowniejszego. Oddycha w nim całe życie Krysztofa Kolumba i w nim także zawarta jest cała tajemnica jego sławy. Czyż wymowniejszy głos rozległ się kiedy? Ognista ta dusza, mogła tylko w poetycznych westchnieniach wynurzać boleść swoją.

Opuszcza wreszcie tę nieszczęsną krainę i wraca do Europy. »Wyruszyłem w imie Przenajświętszej Trójcy, w nocy, pierwszego dnia Wielkanocnego, z dwoma tylko statkami, bez żagli prawie, zbutwiałemi, stoczonymi od robaków i mającemi więcej dziur niżeli w plastrze miodu, bez najmniejszych zapasów, na przeby-

cie 2000 mil morzem, lub znalezienie śmierci po drodze, zsynem, bratem i tylu pocziwemi ludźmi.

Potém rzucając prorocze spojrzenie na kraje przez siebie odkryte, dodaje: »Kacyk Waragui posiadał kupy złota; nie sądziłem za rzecz przyzwoitą przywłaścić je sobie sposobem kradzieży. Wyżej cenę handel i kopalnie téj ziemi, niż wszystko co dotąd w Indjach zrobiono: lecz macosze nie należy powierzać podobne dziecię. Nigdy bez łez pomyśleć nie mogę o Hispanioli, o Para.... Chociaż nie umierają, są już bliskie skonu, choroba jest nieuleczoną...» Rozpamiętywa potém swoje usługi i ich nagrodę. »Ziemie podległe Najjaśniejszemu Państwu są daleko obszerniejsze i bogatsze, niżeli połączone kraje wszystkich chrześciańskich mocarstw; a gdy za wolą Bożą ujarzmiłem je pod wasze panowanie, gdym oczekiwał statków aby stawić się przed Waszym obliczem, i przynieść Wam wieść o obszernych zdobyczach, zostałem przytrzymany i wrzucony do więzienia z dwoma mojemu braćmi, okuty w kajdany, obdarty, znieważony, niebędąc bynajmniej przekonany, ani nawet przed sąd przywołany.»

Wkrótce statki płynąć już nie mogły; musiał zawinać do Jamajki, i ztamtąd to pisał list rozczulający. Kończące go wyrazy rozdzierają serce. »Miałem lat 28 gdym wszedł w służbę Najjaśniejszego Państwa, a dziś nie mam ani jednego włoska na głowie, któryby nie był biały. Jestem schorzały; wydałem wszystko co mi zostało; zabrano mnie i braciom moim ostatnią nawet suknię. Tak jestem nieszczęśliwy że nawet nie mam ani jednego pieniążka złożyć na ofiarę. Osamotniony w mojem cierpieniu, kaleka, oczekujący co chwila

śmierci, otoczony milionem dzikich, okrutnych i nieprzyjaznych, któż znajdzie się taki, który umiejac czuć litość, kochając prawdę i sprawiedliwość, nie zapłacze nademną!»

Jeden z jego towarzyszków, Diego Mendez, bohaterską natchniony przyjaźnią, podjął się zawieźć list ten do Hiszpanii. Mendez, który przez tę całą podróż nieraz ocalił Hiszpanów czynami niesłychanej odwagi, usiłował, mimo wiatrów i prądów przeciwnych, na wątlęj pirodze dzikich, przebyć cieśninę czterdziestomilową; i przybył do Hispanioli, straciwszy kilku towarzyszących mu Indyan, którzy w oczach jego pومیerali z głodu, pragnienia i trudów. Gdyby nie to wzniosłe poświęcenie, Europa nie wiedziałaby może ostatecznego losu Kolumba.

Lecz nie wyczerpał jeszcze kielicha niewdzięczności ludzkiej. Owa garsztka Hiszpanów, zagubiona na krańcach świata, oddana na łaskę dzikich ludów, które głodem mogły ją wygubić, winna była swoje zbawienie boskiemu prawie wpływowi, który dowódca jęj na krajowców wywierał. Jedność tylko ocalić ją mogła, aż tu nagle szaleństwo buntu szerzy się po szeregach: kilku zapamiętałców chce zabić starca, którego niespokojność i cierpienie do łoża przykuły, i zaledwie poświęcenie kilku sług wiernych, zdoła go uchronić przed zabójcami. Horda rokoszan rozpierzchła się po całej wyspie. Indyanie oburzeni okropnościami które na nich bezustannie popełniano, odmawiają żywności; jeszcze kilka dni, a Hiszpanie mieli wyginąć głodem. W okropnej téj ostateczności, Kolumb zwoływa Kacyków z całej wyspy, i prosi ich o żywność: Indyanie szerzą się z wymówkami: — Jakże zapłacono im wspa-

niałomyślną ich gościnność? — i wielu pokazuje' pokaleczone swoje członki, ręce poobcinane przez srogich Kolumba towarzyszy. — Bóg któremu służę, odzywa się Kolumb, sam się zajmie pomszczeniem mnie; od dzisiejszego wieczora księżyc nie raczy używać wam swojej światłości. — Wiedział, iż tego dnia będzie zaćmienie księżyca.

Na widok czarnej chmury szerzącej się zwolna na tarczy gwiazdy nocnej, przelekli Indyanie tłumem zbiegają się do okrętów, błagając admirała aby się wsta-  
wił do swego Boga. Udał że się skłania do ich proźb, zamknął się na chwilę w swojej izbedce, a gdy ujrzał iż księżyc miał wyjść z po za ciemnej plamy, którą rzucała na niego ziemia, ukazał się i rzekł, iż Bóstwo ułagodzić się już raczyło. To podejście wróciło obfitość Hiszpanom, którzy mu wierni pozostali. Lecz rokoszanie do ostateczności przywiedzeni, wpadli zbrojni, postanowiwszy zabić Kolumba i brata jego Bartłomieja, i opanować tym sposobem żywność pozostałą na okrętach. Musiało przyjść do bitwy: Indyanie z przerażeniem patrzali na krwawe i okropne spotkanie owych ludzi białych, o których mniemali że z nieba pochodzą. Fortuna jeszcze ten raz wierna wielkiemu mężowi, użyła mu zwycięstwa: okuł w kajdany nieposkromionych rokoszan, zostawując ich karę sprawiedliwości monarchy.

Mamże przez uszanowanie dla rodzaju ludzkiego, zamilczć niegodny postępek gubernatora Hispanioli, który uwiadomiony przez Mendeza o smutném położeniu współziomków, zostawił ich przez dziewięć miesięcy w ostatecznej potrzebie, i wtedy dopiero namyślił się użyć im pomocy, gdy się przekonał że okru-

cieństwo jego nie było dostateczne na zabicie wielkiego męża.

Hiszpania raz go jeszcze ujrzała, biédnego i obarzonego cierpieniem: srogie napady pedogry i ślepoła były jedynym owocem gorliwości jego. Stawił się na dworze dopominając się o swoje zaszczyty; lecz śmierć Izabelli zostawiła go bez wsparcia. Ferdynand widząc że nie już nie może się spodziewać po starcu wyschłym na jego usługach, odmówił mu wymiaru sprawiedliwości; podli co go zdradzili tryumfowali teraz; a nieszczęśliwy, pasując się z nędzą i śmiercią, cały rok przepędził na próżném dopominaniu się nagrody za szlachetne swe prace. Jedynem jego szczęściem były listy syna jego Diega znajdujacego się w ówczas na dworze, a który usiłował przekonać o ważności praw swego ojca. »Kochany synu, pisze, chciałbym co godzina listy twoje odbierać, wiesz że to na teraz jedyném jest mojem szczęściem.« Za każdym razem gdy do niego pisze przypomina mu swoją niedolę. »Chroń się wydatków, konieczność tego wymaga.« Niezadługo w Bogu tylko pozostała mu nadzieja.....» Najjaśniejszy Pan, pisze ze śmiertelnego łoża do Diego de la Doza, nie uznał za rzecz potrzebną dotrzymać obietnic które wraz z królową uczynili mi pod rękojmią swego słowa i pieczęci: uczyniłem wszystko com był powinien; resztę pozostawiam Bogu, który zawsze na mnie był łaskaw...»

Umarł w Walladolid 20 Maja 1506 r. mając blisko 69 lat. Charakterystyczną cechą tego wielkiego człowieka, jest wiara, — wiara mocna, ognista, potężna.

Wierzył w objawienie Boskie, w panowanie powszechne katolicyzmu przez resztę wieków; śpiesząc na odkrycie Nowego-świata, marzył o oswodzeniu Jerozolimy: wierzył w święte prawa władzy królewskiej, a królowie pogardą mu tylko odpłacili; wierzył w sławę, w przyszłość, a potomność nadała światu-nowemu, miano nieznanego awanturnika. Owe przedmioty wiary całego życia uświęcił w swym testamencie. — Bóg, władza królewska, sława. — Oto jest w krótkich słowach cały obraz Krzysztofa Kolumba.

---

## FRANCYA.

OBRAZ STATYSTYCZNY, OBYCZAJOWY I MALOWNICZY,

(Dalszy ciąg.)

---

Liczą we Francyi rękodzielni 38,036, fabryk 4,412, kuźnie żelaznych, 42,442. Wiatraków i młynów jest 82,565. W r. 1834 było 947 machin parowych, wyrównywających siłę 14,846 koni. Fabryki jedwabne zajmują 169,280 robotników, a wydają rocznie za 211,550,000 produktów, z tych  $\frac{2}{3}$  części wychodzi za granicę. Fabryki wełniane corocznie wydają za 420,000,000 z tych 28,000,000 wychodzi za granicę. Fabryka bawełniana wyrabia za 600,000,000, z tych za 51 milionów wychodzi za granicę. Fabryki obuwia, siodeł i różnych wyrobów skórzaných, dostarczają za 300,000,000 franków. Za granicę wychodzi za 2,000,000. Fabryki porcelany i fajansu wyrabiają za 6 milionów franków, z tego 3 do 4 milionów wychodzi za granicę. Fabryki szkła wyrabiają za 20,000,000 fr. Fabryki cukru z buraków są właściwą zdobyczą przemysłu francuzkiego, zajmują 60,000,000 kapitału i dostarczają pracy 150,000 robotników.

Handel z Europą czynił w r. 1833, 818,779,390 fr. wywozu, a 752,604,119 przywozu; przedstawia



zatém na korzyść Francyi 66,174,897 fr. Handel z innemi częściami świata, czynił w tymże roku 596,961,076 wywozu, a 421,808,730 przywozu, zatém na korzyść Francyi 175,152,246.

P A R Y Ż.

*Paryż starożytny.*

Historya Paryża może być historyą całej Francyi. Paryż był ogniskiem administracyi, i kolejno stolicą królestwa, Rzeczypospolitej i cesarstwa. Paryż wylągl się na téj starcéj wyspie miasta (Cité), która ma kształt podobny do kołyski. Brzeg téj wyspy stanowił pierwszy jego obwód, a Sekwana pierwszą fosse. Przez kilka wieków Paryż ograniczał się na téj wyspie z dwoma mostami, jeden na północ, drugi na południe i dwoma warowniami przed - mostowemi, to jest mały Chatelet na prawym, a wielki Chatelet na lewym brzegu. Następnie Paryż powiększył się. Natenczas z jednej i drugiej strony obudwóch Chatelet, pierwszy rząd murów i wież zaczął opasywać równinę po obu brzegach Sekwany. W przeszłym wieku były jeszcze ślady tego starożytnego obmurowania; dzisiaj ledwie słabe pozostaje wspomnienie; i tu i owdzie wątpliwe podanie jak np. o bramie Baudet (*porta Bagauda*). Powoli, natłok domów ciągle z środka miasta zewnątrz wypychany, szczyrbi, niszczy i wreszcie cały wał zagładza. Filip August nowy zakres nadaje miastu, ścisną Paryż łańcuchem grubych i trwałych wież. Przez parę wieków

domy tulą się jedne do drugich, gromadnie się kupią, wzdymają powierzchnię poziomą, jak woda w rezerwarze, stają się coraz głębsze, wznoszą piętra na piętrach, wybiegają w górę, każdy stara się wysunąć głowę cokolwiek wyżej nad swego sąsiada, aby pochwycić nieco świeżego powietrza. Ulica coraz bardziej ścieśnia się i wyżłabia, każdy plac zapełnia się i wreszcie znika. Domy nakoniec przedziurawiają się za mur Filipa Augusta, i rozbiegają się wesoło po płaszczynie, bez żadnego porządku.

Tam dopiero podzieliwszy się w kwadraty i pokrajawszy równinę na pola i ogrody, wolniej zaczynają oddychać. Od roku 1367 miasto tak się rozszerzyło po przedmieściach, że koniecznie, a szczególnie na prawym brzegu potrzeba było nowego zamknięcia. Karol V go dokonał. Ale takie miasto jak Paryż, ciągle się rozrasta i dla tego staje się stolicą. Jest to naczynie w które zlewają się wszystkie stosunki geograficzne, polityczne, moralne i umysłowe każdego kraju, wszystkie skłonności ludowi wrodzone. Jest to ściek powszechnej cywilizacji, gdzie handel, przemysł, kultura, ludność, wszystkie soki tak rozgałęzionego drzewa, wszystko co jest siłą, życiem i duszą narodu, wszystko zbiera się i cedzi bezprzestannie kropla po kropli, wiek po wieku. Wał Karola V uległ przeto losowi wału Filipa Augusta. Od końca XV wieku już przeskoczono, ominiono, a przedmieście coraz dalej i dalej wybiega. Tak więc, od XV wieku, Paryż zdarł trzy okręgi muru, których zaród już od czasów Juliana Apostaty był w małym i wielkim i Chatelet. Następnie, potężny gród rozbił cztery podobne wały,

jak dziecko podrastające, na którém pęka ciasne z przeszłego roku odzienie.

Tymczasem, mimo wszystkich klęsk, jakie złały się w XV wieku na to miasto, Paryż nie przestawał wzrastać i mimo ponawianych zakazów budowania, część południowa znacznie się rozszerzyła. W początku Paryż dzielił się na części, które od swojej liczby wzięły nazwisko *quartiers*. Części te były podwojone za Karola VI, a ich liczba następnie coraz się zwiększała. Za Henryka III Paryż składał się z siedmnastu takich części. Henryk IV który tyle zdziałał dla pomyślności kraju, wiele się przyłożył do upiększenia Paryża. Jemu winno to miasto plac i ulicę Delfina, plac Królewski, most nowy i t. p. Ludwik XIII albo raczej Richelieu, który panował pod jego imieniem, wykonywał następne plany Henryka IV, co do powiększenia i ozdoby téj stolicy. Nowy i bardziej rozszerzony obwód, zastąpił obwód Filipa Augusta, którego mury i fossy do coraz większego chyliły się upadku. Pałac Tuileries wraz z ogrodem, pagórek młynów (*la butte des moulins*) i okrąg Nowego Miasta był zamieszczony w Paryżu Ludwika XIII. Obwód ten łatwo można poznać, miał on głębokie fossy, bastiony z wiatrakami i parapety gęstemi najeżone palissadami. Mury te, wzniesione dla obrony Paryża, zajmowały miejsce terazniejszych bulwarów, czyli od placu Ludwika XV aż do bramy Ś. Dyonizego. W r. 1701 Ludwik XIV podzielił stolicę na 20 części. W 1726 i 1728, Ludwik XV nakazał wzniesienie nowego obwodu i granice jego sam oznaczył, ale dopiero w 1752 Ludwik XVI włożył na dzierżawców dochodów publicznych obowiązek wzniesienia nowych okopów, któremiby i

przedmieścia były objęte i w których miały się znajdować w pewnej odległości wnijsia opatrzone rogatkami i przeznaczone wyłącznie do wprowadzania towarów i przedmiotów potrzebnych dla handlu i użytku miasta. Ten sam wał w części południowej, z małemi odmianami za czasów cesarstwa i restauracyi istnieje aż do dnia dzisiejszego. W roku 1789 Paryż był podzielony na 60 okręgów; w 1791 na 48 sekcyi, a w 1796 na 12 okręgów municypalnych. Ten podział dotąd się utrzymuje i każdy okręg obejmuje cztery dzielnice. Paryż więc ma 48 dzielnic.

### *Paryż w XV wieku.*

W XV wieku, Paryż był podzielony na trzy miasta zupełnie od siebie odrębne i mające każde swoją postać, szczególne cechy, swoje zwyczaje, obyczaje, przywileje i historią. Te trzy części nosiły nazwiska: *Grodu* (Cité) *Uniwersytetu* i *Miasta*. Gród, który zajmował wyspę, był najdawniejszy, najmniejszy, był ojcem dwóch drugich, ściśnięty od nich, jak mały staruszek między dwoma dorosłemi młodzieńcami. *Uniwersytet* zalegał lewy brzeg Sekwany od *Tournelle* aż do wieży *Nesle*: dwa owe punkta, które w dzisiejszym Paryżu odpowiadają jeden *Halle au Vins* a drugi *Men-nicy*. Jego obwód zajmował dość szeroko to pole w którym Julian budował swoje łaźnie. Góra Ś. Genowefy także była nim objęta. Najwyższym punktem tych murów była brama papieżka, na której miejscu stoi dzisiaj Panteon. *Miasto*, które było największe z 3ch dzielnic Paryża, zajmowało prawą stronę Sekwany. Jego wybrzeże przerwane w niektórych miej-

scach, rozciągało się wzdłuż Sekwany od wieży Billy aż do wieży du Bois, to jest od miejsca gdzie dziś jest Spichrz obfitości (grenier d'abondance) aż do miejsca gdzie dziś leży pałac Tuleries. Te 4 punkta, w których Sekwana przecinała wał stolicy, *Turnelle* i wieża *de Nesle* na lewo, wieże *de Billy* i *du Bois* na prawo, nazywały się *Czterna wieżami Paryża*.

Każda z tych 3ch wielkich części Paryża, była miastem, ale miastem zbyt szczegółowém żeby miało być samoistném, miastem które się nie mogło obejść bez pomocy drugich. A tak każde z nich odmienną przedstawiało postać. *Gród* obfitował w kościoły, miasto w pałace, a Uniwersytet w kollegia. Co się zaś tyczy wymiaru sprawiedliwości, wyspa należała do biskupa, prawy brzeg do zwierzchnika kupców, a lewy do rektora. Burmistrz Paryża, urzędnik królewski a nie zaś miejski, miał zwierzchnią władzę. Co do gmachów, *Gród* miał *Notre Dame*. *Miasto*, *Luwr* i  *ratusz*, a *Uniwersytet* *Sorbonnę*. *Gród* miał szpital, *Miasto* targowiska a *Uniwersytet* plac dla uczniów. Przewinienia uczniów popełnione na lewym brzegu, sądzono na wyspie w pałacu sprawiedliwości, a karano na prawym brzegu w *Montfaucon*, chyba że rektor wdał się w tę sprawę i sam karał winowajców.

### *Gród (La Cité).*

Wyspa grodu, mówi *Sauval*, jest utworzona nakształt wielkiego okręgu osiadłego na mule, prawie w samym środku Sekwany, Okręt ten w XV wieku był przymocowany do dwóch brzegów za pomocą 5ciu mostów, Kształt ten okrętu uderzył także pisarzów heroldycznych

i z tąd to a nie od oblężenia Normandów podług Favyna i Pasquiera, okręt znajduje się w herbie Paryża. Gród więc miał rusę na wschód, a sztabę na zachód obróconą. Obracając się ku sztabie, dawała się widzieć niezliczona gromada starych dachów, nad którymi obszernie się rozstaczała ołowiana kopuła Świętej Kaplicy, podobna do grzbietu słonia obciążonego wieżą, tylko z tą różnicą, że tą wieżą była strzała najśmielsza, najozdobniejsza, najwysmuklejsza ze wszystkich. Przed kościołem N. Panny trzy ulice łączyły się. W zachodniej stronie tej okolicy, pochyłała się skrzywiona wystawa Szpitala, a dach jego zdawał się bydź pokryty narostami i brodawkami. Następnie po prawej i lewej ręce, na wschód i zachód w tym ciasnym obrębie grodu, 21 kościołów wznosiło swoje dzwonnice różnych czasów, kształtów i wielkości, zaczawszy od nizkiego i spróchniałego dzwonka kościoła S. Dyonizego aż do cienkich strzałek Ś. Piotra i Ś. Landyasza. Na północ, za kościołem N. Panny, rozlegał się klasztor z swemi na pół gotyckimi galeryami; na zachód był pałac biskupów. Potém, gdy oko dość już błakało się od szafasów do pałaców, ujrzało na prawo Ś. Kaplicy, na zachód pałac sprawiedliwości siedzący nad brzegiem wody, wraz z całą swoją rodziną wież. Krzewiste ogrody królewskie zasłaniające wschodnią część Grodu zakrywały *Wysepkę podróżnego*. Co się tyczy wody, tej nawet z wierzchołka kościoła N. Panny nie można było dojrzeć po obu stronach Grodu. Sekwana znikła pod mostami, mosty zaś pod domami.

*Uniwersytet.* Skoro wzrok przebył już te mosty, z których 3 zieleniały się od starości, i zwracał się na lewo ku Uniwersytetowi, najpiérwszy gmach

jaki go uderzał, był pełn wież nagromadzonych, mały Chatelet, którego otwarta brama zdawała się połykać koniec małego mostu. Następnie jeżeli wzrok przechodził rzekę od wschodu, od Turnelli aż do wieży Nesle, nagle napotykał długie pasmo domów z gotyckimi facyatami, z oknami kolorowemi wystające jedne nad drugie.

*Uniwersytet* wystawiał oku gęsty i z jednorodnych części złożony stos dachów kończastych lub zaokrąglonych. Dziwaczne zakręty ulicy, nie przecinały téj masy domów w zbyt niesforemne części. Czterdzieści dwa kollegia odznaczały się jednostajnym sposobem. Ten jednakże brzeg Sekwany był daleko mniej handlowy, ale za to uczniowie robili więcej hałasu i tłumy, aniżeli kupcy i rzemieślnicy, a wybrzeże rościagało się tylko od mostu Ś. Michała do wieży Nesle. Reszta brzegu Sekwany była albo pustym piaskiem jak za Bernardynami, albo też nagromadzonych domów kapiących swe stopy w wodzie, jakby między dwoma morzami.

<sup>s</sup> Kilka wspaniałych pałaców zdawało się szydzić z reszty nędznych domów rozrzuconych po lewym brzegu; między innemi znakomite trzymały miejsce pałac *Nevers*, pałac *Rzymu*, *Reims* których ślady oddawna już zniknęły i pałac *Cluny*, który istnieje dotąd na pociechę archeologów, a z którego zdjęto niedawno wieżę, jakby dla wykazania niedołężności tegoczesnych pomysłów. Blisko *Cluny* stał piękny pałac rzymski z sklepieniami arkadami, były to *łaźnie Juliana*. Znaczna liczba opactw, daleko większa co do struktury ale niemniej piękna i wspaniała jak pałace, wznosiła się na tym brzegu Sekwany. Był to albo klasztor Bernardy-

nów z trzema dzwonniami, albo Ś. Genowefy z istniejącą dotąd kwadratową wieżą, albo Sorbona przez pół kollegium i klasztor.

Posiedlina Uniwersytetu była górzysta. Góra Ś. Genowefy panowała nad miastem; zadziwiający był widok, patrzeć z wieży kościoła N. Panny na to mnóstwo ciasnych i spadzistych ulic. Te grona domów, które rozrzucone w rozmaitych kierunkach ze szczytu tej wyniosłości, zstępowały nagle aż do samego brzegu rzeki; jedne zdawały się upadać, drugie piąć się pod górę, a wszystkie opierać się o siebie, dziwne na nieprzyzwyczajoném oku sprawiały wrażenie. Przyплыw bezprzerwanny tysiąca czarnych punktów, które się krzyżowały na bruku, poruszał całą tę masę: był to lud widziany z daleka. Wreście w tych przerwach dachów, strzał, kopuł, które łamały się, krzywiły i tak dziwnym sposobem, dawał się spostrzedz tu i owdzie wielki odłam muru, lub też gruba wieża albo brama z palissadami. Był to sławny wał Filipa Augusta.

W dali zieleniły się łąki, biegły drogi, wzdłuż których wlekło się jeszcze kilka domków, tém radszych, im się bardziej oddalały. Niektóre z tych przedmieść były dość znaczne.

Ale największą uwagę zwracało opactwo Ś. Germana. Ten klasztor który uderzał swoją powierchnością zamku feodalnego i kościoła zarazem, ten pałac opatów, w których biskupi paryzcy za szczęśliwych się mieli gdy mogli jedną noc przepędzić, ten refektarz, któremu architekt nadał postać, powagę i wspaniałość katedry, ta wykwintna kaplica Boga-Rodzicy, ta okazała sypialnia, te rozległe ogrody, ta brama, ten



most zwodzony, ta osłona z muru która opasywała okoliczne murawy, te wspaniałe dziedzińce na których połyskujące zbroje francuzkich rycerzy odbijały się od złotem haftowanych kap kościelnych, wszystko to skupione obok trzech obłączystych strzał mocno utkwionych w gotyckiej podstawie, czarowną przedstawiało całość i w zadumienie wprowadzało po raz pierwszy w te strony przybyłego wędrowca.

*Miasto* położone na prawym brzegu Sekwany, było daleko obszerniejsze od Uniwersytetu i więcej zabudowane. *Okręg sądowy* (quartier du palais). W tej części miasta na wschód, która do dziś dnia nosi nazwisko jakie otrzymała od bagna (*Marais*) gdzie Kamulogenes wprowadził Cezara, była nagromadzona znaczna ilość wspaniałych gmachów dotyczących samej prawie wody. Dachy czterech przy sobie położonych pałaców, *Jony, Sens, Barbeau* i mieszkanie królowej, przegłądały w Sekwanie swoje dachy z łupku, z których wytryskiwały wysmukłe wieżyczki. Za temi pałacami, w rozmaitych kierunkach, to okopany, to opalissadowany i najeżony jak cytadela, to osłonięty olbrzymiemi drzewami jak klasztor kartuzów, wybiegał niezmierzony okiem różnokształtny obwód tego cudownego pałacu Ś. Pawła, gdzie król Francji mógł pomieścić 22 książąt krwi królewskiej i domn Burgundzkiego z ich orszakiem i służbą, nie licząc w to magnatów i cesarza, kiedy ten przyjeżdżał do Paryża.

Łatwo było poznać chociaż z wielką starannością złączone z głównym gmachem za pomocą galeryi i krużganków, z oknami kolorowemi trzy pałace Karola V. Znaczniejsze gmachy w tej części Paryża, były *pałac Angouleme, Tournelles, Bastylia*.

Środek miasta wypełniony był stosami domków należących do pospólstwa. Tam to na prawym brzegu przecinały się trzy mosty grodu. To nagromadzenie mieszkań miejskich ściśniętych jak komórek w plastrze miodu, nie było bez wdzięku.

Ulice Ś. Marcina i Ś. Dyonizego, z licznymi rozgałęzieniami, następowały jedne po drugich jak dwa wielkie drzewa które łączą swoje konary, małe zaś uliczki w krętych wiły się smugach. Niezbywało na okazałych gmachach. Za wspaniałym mostem *wexlarzy* huczała Sekwana pod łyżwami mostu *młynarzów*, dalej *Châtelet* wznosił swoje wieże, już nie rzymskie jak za czasów Juliana Apostaty lecz feudalne z wieku XIII budowane z tak twardego kamienia, że najdzielniejsze razy toporu lekkie za ledwie po sobie zostawiały ślady; dalej wybiegała w niebo kwadratowa dzwonnica Ś. Jakóba.

Trzecim rodzajem gmachów był długi pas opactw przecinający miasto w rozmaitych kierunkach i opasujący Paryż szeregiem kaplic i kościołów.

Miasto zatem przedstawiało nagromadzony krajobraz domów, osłonięny z dwóch rogów dwoma pałacami, starym Luvrem Turnelle i opasany na północ długim pasmem opactw i klasztorów. Nad tym tysiącem gmachów, wznosiły się różnokształtne dzwonnice czterdziestu czterech kościołów, Tysiące krętych ulic przecinało tę nieregularną masę w różnych kierunkach; wreszcie, miasto otoczone było z jednej strony pasmem grubych murów z kwadratowymi wieżami a z drugiej Sekwaną przeciętą licznymi mosty i unoszącą mnóstwo lekkich staków.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WYCIĘCZKA DO EGIPTU I ARABII

*przez Alexandra Dumas.*

(Dalszy ciąg)

---

### ODWIEDZINY U PUŁKOWNIKA SOLVES I KLOT-BEYA.

Pan Taylor, dowiedziawszy się o powrocie vicekróla, wyjechał do Alexandryi a nas zostawił w Kairze, abyśmy poczynili przygotowania do naszej podróży na górę Synai.

Dzięki zadziwiającemu topograficznemu instynktowi Paryżanów, tak już oznajmiliśmy się z Kairem, jak gdyby był rodzinném naszym miastem; ubiór muzałmański, który, pomimo całej skromności wyznać muszę, nosiliśmy z oryentalną godnością, wszystkie drzwi nam otwierał, nawet drzwi meczetów: była to zwykła nasza przechadzka. Meczety są oazami miasta: w nich można znaleźć świeżość, wodę, cień, drzewa i ptaki. A pośród tego wszystkiego kilku poetów arabskich, przychodzących w przerwach modlitwy rozpamiętywać napisy z Koranu, i których śpiewy kołyszają do snu pobożnych próżniaków, co przepędzają całe życie rozciągnięci pod rozkwitłemi pomarańczami. Lubili-

śmy głos jednotonny i miarowy muezyna, który w młodości śpiewa na samym szczycie mecenahu, i pobożném wołaniem cały lud gromadzi na modlitwę; potem postępując z wiekiem, schodzi z piętra na piętro i głos zniża, aż наконец, zgrzybiały starzec, może za ledwie wstąpić na galeryę najniższą, z kąd głos jego słyszą tylko przechodzący ulicą.

Często znajdowaliśmy się w meczecie w godzinach przeznaczonych oczyszczeniu, i odbywali religijny ten obowiązek jako prawowierni muzułmanie. Po skończonej ceremonii, następna chwila niezmiernie nas bawiła: gdy wychodzący z meczetu każdy swą własność rozpoznawał; muzułmania bowiem wchodząc do meczetu, zostawia obuwie na progu, tak, iż zawsze przy drzwiach tworzy się góra papuciów wszelkiego kształtu i koloru. Wyobraźmy sobie nasze wyjście z balu, gdzie każdy bierze nie swój, lecz najlepszy jaki znajdzie kapelusz; toż samo działo się i z papuciami; był to rabunek, podczas którego nikt nie zadawał sobie nawet pracy rozgatunkować kolory, i pewnie wyszedł inaczej obuty jak przyszedł. Ci co posuwali za daleko pobożną żarliwość, odchodzili zwykle bez obuwia, bo poprzednio przed nimi wychodzący, mając prawo uskarżać się na pozostawiane im resztki, mnogością nagradzali sobie wartość i uciekali ze czwórma pantoflami: z tych po dwa mieli na nogach a po dwa w ręku.

Można łatwo pojąć, jak podobna zabawa może być częstą i urozmaiconą w takim mieście jak Kair, gdzie na jednej ulicy narachowaliśmy sześćdziesiąt meczetów. Odrysowaliśmy kolejno najznakomitsze z owych świątyń; olbrzymi meczet sułtana Hasana; meczet Ma-

hometa-Bey, którego kopułę dźwigają kolumny zabrane ze starożytnego Memfis; Meczet-Rustama; zbogacony drogiemi mozaiki, cudownemi zabytki jedenatego i dwunastego wieku; Halauna, którego czworograniaste słupy powleka od dołu aż do wierzchu błyszczący fajans w najrozmaitszych barwach; sułtana Houri, z bogatą posową, przyozdobioną w arabeski kunsztownie pospłatanę, i z zachwycającą malowane wytwornością; nakoniec meczet *Tayluna*, wystawiony przez zdobywcę który mu nadał imię swoje; jest on najszanowniejszym z pomiędzy wszystkich, w oczach Arabów, którzy najchętniej się w nim modlą, i najciekawszym dla cudzoziemców jako zabytek jedenastego wieku, dziwny ogromem i medenahami, otoczony zewnątrz schodami, tworzącemi malowniczy widok.

Rysując ostatni ten meczet, o mało żem się nie stał przedmiotem zgorszenia dla pobożnych co go odwiedzają. Ponieważ chrześcianie wchodzić nie mogą do meczetów bez wystawienia się na karę, której wybór zostawiony jest zwykle tym co ich nadybają, z drugiej zaś strony mało muzułmanów poświęca się malarstwu; przeto ile razy chcieliśmy rysować, musieliśmy wybić taką chwilę, w której, jeżeli meczet nie był zupełnie pustym, to przynajmniej znajdowało się w nim tylko kilku marzycieli, wyłącznie zajętych snami jakie im opium sprowadzało, i drzymiącemi swobodnie pod rozkwitłą pomarańczą, albo poętami zatopionemi w tłumaczeniu Koranu, lub podziwieniu nad samcami sobą, a którzy bynajmniej na nas nie zważali. Wyciągałem wówczas z zapasa, oprócz welinu, arkusz papieru zapisany literami arabskimi, i brałem się do pracy. Jezliu posłyszał za sobą przewlekłe i miaro-

we kroki, przykrywałem co prędzej zaczęty rysunek pisanym arkuszem; Muzułmanin w przechodzie rzucał na mnie ukośne wejrzenie, a widząc pismo, brał nas za kopistów lub poetów, i oddalał się życząc nam wytrwałości lub natchnienia, stosownie do tego jak przypuszczał że nasza ręka lub głowa pracuje.

Pewnego dnia takem się zagłębił w rozważaniu mojego przedmiotu, iż nie posłyszałem zbliżającego się największego nabożnisia z całego meczetu; wtém postrzegam cień pomiędzy światłem a sobą; instynktowo prawie posunąłem zapisaną kartę; lecz już było za późno: świętoszek zobaczył rysunek i poznał we mnie Franka. To odkrycie taką przejęło go zgrozą, iż zaczął uciekać ku drzwiom, nieludzkie prawie wydając krzyki. Nie tracąc czasu, wsunąłem za pas welin i arabskie pismo, i pomyślawszy, że kiedy nabożniś mógł biedz w miejscu świętém i ja także biedz mogę, zacząłem z całej siły uciekać; dostawszy się do przy-sionku, sam teraz nie zważałem jakie biorę pantofle, wdziałem pierwsze co mi się pod rękę nawinęły i zapuściłem się w pobliską ulicę, gdzie już nie posłyszał o moim prześladowcy.

Lecz zaledwem się wyrwał z męczeństwa Ś. Szczepana, o mało nie wpadłem w męczeństwo Ś. Wawrzeńca: ogień zajął się w dzielnicy Franków; a że widziałem wszystkich biegnących w tę stronę, a sam także miałem powód przyspieszenia kroku, gdyż droga ta zbliżała mnie do pałacu konsula, zacząłem biedz jak inni. Wkrótce przybyliśmy w obec pożaru, który szybkie czynił postępy, gdyż go gaszono jedynie krzykiem, gestami i modły. Nieza długo przybył kady ze strażą uzbrojoną w długie bambusy; pożar pochłonał

cały rynek. Kompania żołnierzy, której przybyło w pomoc ze stu ochotników, rzuciła się na sąsiednie domy, zaczynające się palić; a że wszystkie były drewniane, i ratujący rąk ani nóg nie szczędzili, okazali tyle, iż za godzinę ani śladu z nich nie pozostało. Odcięto więc wówczas toporami cztery główne podstawy palącego się domostwa, i natychmiast się zawaliło; zalano tlejące szczątki i wszyscy wrócili do siebie, porzuciwszy dymiące zgliszcze, w okół którego czuwały strażę.

Drugim naszym roztargnieniem, lecz nie tak niebezpiecznym, były kawiarnie. Ponieważ to są świeckie tylko zgromadzenia, każdy może do nich uczęszczać, bez obawy ażeby był poznany; palący opium, gracze w szachy lub w mangallach, są zwykłemi tych miejsc gośćmi, i w nich najdłużej i najuporczywiej przebywają. Co do nas, ponieważ nie byliśmy lubownikami żadnej z gier, kazaliśmy sobie zwykle dawać kawę i fajki. Z razu nie mogliśmy przywyknąć do kawy, którą zupełnie inaczej przysposabiają na wschodzie jak we Francyi: z lekka przepaloną tłułą w miedzianych; na roztłuczone ziarenka nalévają wrzącą wodę, potem piją ją tak gorącą jak tylko znieść może podniebienie. Z razu zachciało mi się ją ocukrować; chłopiec przyniósł mi wówczas na dłoni trochę faryny; a gdym zażądał od niego łyżeczki do zamięszania cukru, podniósł z ziemi małeńkie drewnienko, i podał mi je uprzejmie. A że mam za правило aby nikogo nie upokarzać, podałem filiżankę mimo wstrętu jaki mi sprawiała cukierniczka, i oskrobawszy patyczek scyzorykiem, zamięszałem nim kawę; lecz przez to zupełnie popsulem mój napój. Zażądałem wówczas drugiej por-

cyi, wypilem ją w całej oryentalnej czystości; i znalazłem smak cudowny i nieporównany. Mała ilość napoju dozwala spożyć dwadzieścia do trzydziestu filiżanek przez dzień; płyn ten działa wówczas na nerwy ukajającym sposobem, a lulka jest tylko roztargnienie. Przy każdych odwiedzinach przynoszą kawę i fajki; cybuch zastępuje rozmowę.

Przypadek który mnie wypędził z meczetu Tayluna, oddalił nas chwilowo od wszystkich miejsc świętych, i postanowiliśmy uczynić powtórna wycieczkę za miasto. Przejeżdżając przez stary Kair, złożyliśmy u szanowanie pułkownikowi Selves, zaprosił mnie wraz z panem Tajlor, abyśmy go odwiedzili pod jego namiotem. Pułkownik Selves, stawszy się Soleyman-Bejem, wyrzekł się wiary chrześcijańskiej i porzuciwszy francuzkie obejście, przyjął zwyczaje wschodnie. Mimo zmiany w wierze i obyczajach, serce jego pozostało europejskiem i nie zatarły się w niem jeszcze rodzinne wspomnienia: kazał odmalować na ścianach swego pomieszkania najchlubniejsze bitwy rzeczypospolitej i cesarstwa, i spojrzeniem pamięci dotąd żyje pomiędzy współziomkami. Pokazał nam to wszystko ze smutnym uśmiechem, wykrywającym jakie więzy i jak wielką walkę znieść musiała jego dusza, nim się odważył na to, co we Francyi nazywają odszczepieństwem. Prosił nas abyśmy na cały dzień do niego przybyli; przyrzekliśmy i pewnego poranku przybył domagać się spełnienia naszych zobowiązań. Przepyszna jego łódź czekała nas w Rudah, i miała zawieźć nas do piramid Sakhary i zwalisk Memfis, za powrotem mieliśmy obiadować u niego po europejsku. Popłynęliśmy



zabierając ze sobą pana Msara, który do wszystkich naszych wycieczek należał.

Wiatr był dobry, krajobraz zachwycający. Nil, zwany przez starożytnych ojcem rzek, płynął pod naszymi stopy; nurt jego kąpiący nasze czołno, dotykał się zwalisk Tebów i Filoi; ludzie krążący po nad brzegiem ubrani byli jak za czasów Izmaela, a kobiety jak za czasów Agary. Niepodobna więc było doznać ani chwili znudzenia, gdyby nawet rozmowa Sullejman-Beja i pana Msara, nie przyodziwiała nową począł wszystkie okoliczne widoki. Pułkownik Selves, z dawnych nawyków zachował upodobanie do łowów; zadałem mu mnóstwo pytań jakie zwierzęta napotkał w swoich wycieczkach, a szczególnie co do krokodyłów, które ścigał aż po za pierwszą kataraktę.

Krokodyl nie schodzi nigdy do dolnego Nilu, i trzeba się udać aż do Denderah aby go napotkać. — W dni najgorętsze i gdy Nil najbardziej opadnie, z największym upodobaniem wychodzi z wody grzać się na słońcu. Nim jednak uczyni sobie tę przyjemność, przedsięwzięcie środki ostrożności, dowodzące, że jak najdoskonalej wie na jakie niebezpieczeństwo naraża się porzucając właściwy sobie żywioł i odważając się wyjść na ziemię. Najczęściej ukazuje się na piaskach, które Nil zostawia po sobie, nieruchomy jak pień drzewa i prawie zawsze otoczony wielkimi ptaki, zdającymi się z nim szczególne i przyjacielskie mieć stosunki. Do najpoufalszych jego przyjaciół liczyć można pelikana jest tém dla krokodyla, czém czapla bagnisk pontyńskich dla krów i bawołów: dziwacznym towarzyszem, którego sympatyi niepodobna wytłómaczyć.

Gdy krokodyl nie znajdzie żadnej osamotnionej wysypki, na której mógłby grzać się przy słońcu, odważa się wyjść na brzegi; lecz nigdy nie oddala się od rzeki na pięć lub sześć kroków, i za najmniejszym szalestem znowu się w nią pogrąża. W takim to razie, pelikan mający nadzwyczaj czujne ucho, wielką mu jest pomocą: wzlatuje bijąc skrzydłami, wielkie wydając krzyki i tym sposobem ostrzega krokodyla, który jednym poskokiem zagraża się w rzece. Z resztą, ponieważ krokodyl okryty jest niezmiernie twardą łuską, i tylko pod łopatką może być ranionym, rzadko bardzo można dosięgnąć go strzelbą.

Jednakże, w czasie wyprawy egipskiej, znajdował się w Denderach pewien Kachef, który nadzwyczaj lubił to polowanie i wyłącznie niém się bawił; wiedział tak o którym czasie wychodzą krokodyle, jak nasi strzelcy znają wycieczki sarn i zająców, i niekiedy ukryty pod morskim porostem lub palmowemi liśćmi, po całych dniach czyhał na tę szczególniejszą zdobycz. — Zabił tym sposobem sześć lub ośm krokodyliów znacznej wielkości i umieścił je na dachu swego domku, gdzie z daleka wydawały się jak baterya armat; to złudzenie było jedyną korzyścią jaką odnosił z tego polowania, podczas którego żaden nie zdarzył mu się przypadek, gdyż zawsze krokodyl przed człowiekiem uciekał.

Po dwóch godzinach rokosznej żeglugi, wyładowaliśmy naprzeciwko piramid Sakhary. Są starożytniejsze, a zatem i bardziej zniszczone jak piramidy Gizeh: obwód ich jest nierówny; niektóre z nich wielkie mają stopnie; inne zaś, do samego szczytu mają tylko dziesięć kolosalnych schodów, które zdają

się bydź zbudowane przez olbrzymów; u stóp ich ziemia pokryta jest kośćmi; rozgrzebać tylko trzeba ziemię rękami lub nogami aby wykryć szczątki mumii, opasek, drobnych bożyszczy lub skamieniałych owadów. Pod tym gruntem znajdują się obszerne katakumby, w których spią mieszkańcy starożytnego Memfis, gdyż całe to Nilowe wybrzeże jest miastem zmarłych.

Oprócz katakumb mężów i niewiast, są jeszcze katakumby zwierząt; znajdujemy w nich koty, ibisy, jaszczurki: każde z nich było niegdyś bożyszczem, i jest starannie owinięte poświęconemi opaski, włożone w glinianą urnę, zasklepioną wapnem i umieszczoną w wydrążeniu ściany, tworzącój ogólny grobowiec. Wziąłem pod prawą rękę ibisa a pod lewą kota, sądząc z ich pokrycia, były to niegdyś bardzo znakomite osoby: i poszedłem z owemi bożyszczami odpocząć w jaskini okrytej hieroglifami, które tu i owdzie cudnie się dochowały, a w innych znowu straszliwie były poniższone przez podróżnych, większych barbarzyńców niżeli cywilizacya.

Od piramid Sakhary, udaliśmy się ku palmowemu gajowi, zalegającemu miejsce gdzie niegdyś był dawny Memfis, a odległemu od piramid o pół mili może. Starożytne zwaliska Egiptu nie mogły obrać dla swych kości wspanialszego całunu; tu i owdzie szczęty murów i kolumn przebijają ziemię marmurowym kątem; dalej, jak odwieczny geniusz tych pysznych zwalisk, kolos wielkiego Ramsesa, znanego na Zachodzie pod imieniem Sezostrysa, leży powalony ze swojej podstawy, i rozkruszonemi ułomkami okrywa trzydzieści sześć stóp gruntu.

O kilka kroków od kolosu ukazuje się pomnik biblijny, współczesny prawie zdobywcy obok którego posagu stoi: jest to pieczara którą Arabowie nazywają więzieniem Józefa; podług nich, do tego to więzienia zaprowadzono Józefa, i po schodach które nam pokazują, miał wstępować idąc do pałacu tłómaczyć sen Faraona. Z resztą, tak zawsze dzieje się na Wschodzie, podania pogańskie i biblijne stykają się ze sobą; obie historye postępują obok siebie, i nieraz będziemy mieli sposobność łączyć ich wspomnienia.

Powróciliśmy Nilem, jedyną drogą Egipt przerzynającą; wysiedliśmy naprzeciw obozu Schubra i udaliśmy się do pułkownika Selves.

Nazajutrz zaczęliśmy się zajmować przygotowaniami do podróży na górę Synai, i w tém zdarzeniu znowu musieliśmy się udać do współziomka, pana Linant, młodego Francuza, który towarzyszył niegdyś hrabi Forbin do Syryi, i rozkochawszy się w klimacie, pomnikach i całej poetyczności Wschodu, pozostał w Kairze dopełnić zobowiązań względem sławnego towarzysza podróży; on to oliarował nam swoje usługi u Arabów przewodników. Nadeszła chwila stosunków z temi dziećmi pustyni; poszliśmy więc przypomnieć panu Linant dane słowo: gotów był dotrzymać to co przyrzekł. Niedługo potrzeba było na to czekać; na trzeci dzień przybyła deputacya od pokolenia Ualeb-Saida, najznakomitszego ze wszystkich pokoleń półwyspu góry Synai, i ugodziliśmy się z jej naczelnikiem o pojechanie do pana Taylor do Alexandryi i przywiezienie go do Kairu, zastrzegając sobie, że za powrotem wejdziemy w ważniejsze układy względem podróży do Synai i powrotu do Suez. Zgodziliśmy się

po pięćdziesiąt piastrow od wielbłąda, to jest około ośmnaście franków.

Ujrzałem Arabów wjeżdżających ze swemi wiérzchowcami na dziedziniec, i po raz dziesiąty widok ten wiele dał mi do myślenia. Ilekroć razy słyszałem o podróżach po Wschodzie, zawsze wymienia wielbłądy jako zwyczajne bieguny, i ilem razy pomyślał o tém zwierzęciu, zawsze mi się przedstawiało takiem jak je opisał Buffon, z podwójnym garbem wznoszącym się na kości grzbietowej; oswoiłem się więc z wolna z jego obrazem, i tysiąc razy myślą widziałem sam siebie siedzącego śród téj samorodnej doliny, którą natura umieściła zamiast siodła na grzbiecie tego zajmującego zwierzęcia. Postrzegłem na samprzód iż zwano bezwzględnie wielbłąda dromaderem, a dromadera wielbłądem; tylko że wielbłąd dwugarby nie znajduje się w Egipcie. Wielbłąd jest tém względnie drabarza, co koń pociagowy do wiérzchowca. Odkrycie to pomieszało cały mój systemat równowagi: w miejsce doliny miałem górę; i to jeszcze zamiast żeby ta góra służyła za oparcie krzyża lub piersi, przyszło Arabom na myśl zwieńczyć ją siodłem, które ją przewyższa o dziesięć najmniej cali, a tym sposobem podróżny siedzi o dwanaście przynajmniej stóp nad ziemią. Dodajmy do tego kłus zdolny roztrząść najsilniejszego chłopca, a będziemy mieli wyobrażenie o przyjemnościach jazdy wschodniej.

Nie było to bardzo pocieszającym dla człowieka, który w każdej przejażdżce zwykle dwa lub trzy razy spadał z osła.

Na szczęście wziąłem sobie za prawidło nie zajmować się wypadkami aż dopiero w chwili gdy grozić

zaczynają, a że jeszcze miałem przed sobą dziesięć dni, odrzuciłem od siebie tę myśl natrętną i zacząłem znowu prowadzić lekkomyślne i pełne wdzięku życie, które wiedliśmy od trzech tygodni.

Tym razem znowu Francuz do drzwi naszych zapukał i na cały dzień nas zaprosił. Klot-Bey, sławny ów lekarz, z którym zobaczyliśmy się później w Paryżu 1833, a który zostając w służbie baszy egipskiego, tyle mu znakomitych wyświadczył przysług, i założył szpital w Abuzabel, miał pokazać zakład swój panu Taylor i odwiedzić nas potem abyśmy u niego przepędzili wieczór po turecku. Łatwo zgadnąć żeśmy to zaproszenie z największą radością przyjęli.

Basza wyłącznie opiekuje się szpitalem w Abuza-bel: szpital ten ma się stać szkołą młodych jego doktorów; ujrzeliśmy w nim wszystkie owe potworne choroby Wschodu, nieznane lub zapomniane u nas, a które w jednej tylko znajdujemy biblii: elefantyazys, trąd, ogromne pryszcze, całą księgę Joba. Młodzi chirurgowie arabscy, z przenikliwem i pojętnem spojrzeniem, pokazywali nam swoich chorych, z uprzejmością dowodzącą jak pragną się przypodobać swojemu naczelnikowi. Klot-Bey pojął, iż ten widok wielce zajmujący dla lekarza, dla nas nie mógł być tylko przedmiotem szybkiej ciekawości, przeszliśmy też śpiesznie ze sal do ogrodów; były to prawdziwe oazy bzów perskich i pomarańcz, gdzie chorzy odzyskiwali zupełnie zdrowie, przez sam cień i świeżość.

Około drugiej Klot-Bey postrzegł iż zanosilo się na burzę; radził więc abyśmy dosiedli biegunów, i powrócili jak najprędzej do Kairu. Domyslał się, że gdyby nas orkan nadybał w Abuzabel, niebardzoby-

śmy byli radzi cały dzień tam przepędzić; sam także chciał się znajdować w mieście na wieczorze. Odbyliśmy drogę galopem i stanęli prędzej jak za godzinę, chociaż były dwie ogromne mile od szpitala do Kairu; cieszyłem się niezmiernie iż ani razu nie spadłem z osła, i to mię natchnęło większą ufnością względem wielbłądów.

Przed obiadem Klot-Bey zaprowadził nas do łaźni. Obiad był prawdziwie turecką ucztą, z tą tylko różnicą, iż nam pozwolił użyć noży i widelców: składał się z niezbędnego pilawu, gotowanej baraniny, ryżu, ryb i ciast.

Po skończonym obiedzie przeszliśmy do salonu, i Klot-Bey posadził nas na ogromnym dywanie; podano nam kilka filiżanek doskonałej kawy, potem uzbrojono każdego cybuchem; u nóg naszych położył się murzyn mający je nakładać, zapalać i wytrząsać. Wiedzając żeśmy się usadowili jak najdogodniej, Klot-Bey klasnął w ręce, i weszło czterech muzykantów.

Przyznam się iż pierwszym mojem wrażeniem był przestrah: przypominałem sobie muzykalny wieczór wice-konsula, i niebardzo mi się chciało słuchać powtórnie téj piekielnej wrzawy. Rzuciłem badawczém okiem na instrumenta, i kształt ich niebardzo mnie uspokoił: pierwszy był to ów sławny bęben wygięty, z którym zapoznałem się na statku, drugi skrzypce, których żelazna rękojeść spoczywała między nogami muzykanta, a inne, powiem gatunek gitary lub bandurki z niesłychanie długą rękojeścią. Kotry te mieli prócz tego głos cudowny, który nam dali poznać.

Zaczął się koncert, i nie ustępywał w niczem temu któryśmy pierwój słyszeli, gdy nagle rozłargnęło nas wejście arlekina całkiem w biał: miał ubiór krót-

szy jak noszą na Wschodzie, na głowie kapelusz z giętkiej pilśni, nakształt naszych pierotów. Poprzedzał cztery kobiety, w których natychmiast poznaliśmy Almy; byłyto Taglioni kairskie. Już teraz nie obchodziła nas muzyka, i całą uwagę zwróciliśmy na owe hurysy które nam z nieba spadły.

Ubiór ich był elegancki i tchnący lubieźnością: wierzch głowy okrywa *tarbuch* bogato haftowany i obsiany drogiemi kamieniami, z pod którego wypływają włosy splecione w mnóstwo warkoczy długich i cienkich, ozdobnych w weneckie sekiny przekłóte na brzegu, i tak blisko siebie umieszczone, iż spadają jedne na drugie jak łuski rybie. Kilka owych plecionek spada z przodu, reszta w tył spływa i osłania ramiona złotym płaszczem, błyszczącym i dźwięcznym. Kibić ściska, szata wdzięcznie wykrojona na przodzie i całkiem odkrywająca piersi; od stanu aż do nóg szata w miękkie i faliste toczy się fałdy; rękawy w tymże samym krajane kształcie: wąskie i obcisłe u góry, rozszerzają się ku łokciowi, roztwierają powyżej ręki i wiszą aż do ziemi; pantalonki tureckie, ukazują bosą nóżkę; za złote ich spinki kryje się koszula zielona lub błękitna, cienka i przezroczysta jak gaza. Szal kaszmirowy, z niechcenia na pas przewiązany, którego końce nierówno z przodu spadają, uzupełnia ten ubiór, który chociaż tak skromny, niezmiernie jednak jest kosztownym; sam *tarbuch* kosztuje niekiedy dziesięć, dwadzieścia, a czasem i trzydzieści tysięcy franków.

Miały prócz tego, jak większa część kobiet tureckich, paznogie u rąk i u nóg uczerwienione hennem, brzeg powiek umalowany czarno, co nadaje ich oczom blask nadzwyczajny, a kibić tak szczupłą, tak giętką,



tak kształtną, iż wszystkie moje zachodnie wspomnienia nie mi przedstawić nie zdołały, coby mogło iść z nią w porównanie.

To niespodziane wejście, ten widok malowniczy, to poetyckie miano almów, sprawiły natychmiast najpochlebniejszy skutek: najgłębsza nastąpiła cisza, i gdy Klot-Bey, przyzwyczajony do podobnego widoku, nie przestawał spokojnie palić fajkę, cybuchy z ust nam wypadły, i klasnęliśmy w ręce, jak przyjmujemy w Paryżu występującego na scenę sławnego aktora.

Almy nawzajem, aby natychmiast odpowiedzieć naszej grzeczności, stanęły wszystkie cztery obok siebie rzędem, potem zaczęły posuwać się miarowo, giętko się kołysząc i nucąc śpiew łagodny i rzuwny, któremu muzyka z cicha towarzyszyła. Gdy się zbliżyły do nas zrobiły piruetkę, i wróciły na swoje miejsca tyłem się ku nam obróciwszy: potem zaczęły się krzyżować między sobą, tworząc dowcipne figury, chociaż niezbyt szybkie ani też urozmaicone. Przez cały ten czas zachowały w poruszeniach pozycje proste i szlachetne jak posągów starożytnych. Zwolna jednak ożywił się taniec, poruszenia stały się szybsze i bardziej miłosne, wzniosły się głowy, błazen wniósł się do tańca, tworząc pośród tego baletu komiczne i swawolne figury: nakoniec pajacz i tancerki coraz to bardziej podnieceni śpiewem i muzyką, wpadli w paroxyzm najgwałtowniejszej namiętności. Głos zagłuszył wówczas muzykę, wirtuozi zaczęli śpiewać rozdrażniającą piosnkę.

Jest to chwila w której się im płaci, jedni kładą im wówczas w usta sekina, który chwytają zębami, inni przyklejają na ich twarzach i piersiach złanych

potem, maskę i pancerz z małych pieniążków złotych, które one później otrząsają w srebrną miednicę. W takim to razie, zyskują muzułmanie sławę skąpców lub hojnych.

#### MIASTO KALIFÓW.

Pewnego dnia, siedząc u stołu posłyszeliśmy wielki hałas ludzi i wielbłądów; wyjrzelismy oknem sali wychodzącem na wewnętrzny dziedziniec, i postrzegliśmy pana Taylor. Wyjechawszy wczoraj rano z Alexandryi, z szybkością arabskiego jeźdca, ubiegł czterdzieści pięć mil pustyni, dzieląc to miasto od Kairu.

Ukończył swoją negocyacyę, więcćj jednak doznał trudności niżeli się spodziewał. Jakkolwiek się śpieszył, jakkolwiek zachowywał milczenie, uprzedzono zamiar, Anglia uprzedziła Francję, i oba obeliski po które przybył pan Taylor, już przyobiecane były Wielkiej Brytanii. Co do Mehmet-Alego, największą miał chęć zadowolnić oba narody i pogodzić je ze sobą.— W tém to zdarzeniu poprzednia podróż pana Taylor, i wiadomość którą posiadał co do miejsc i pomników nadzwyczaj stała mu się użyteczną: znał Egipt od roku 1828 i zwrócił na to uwagę iż od tego czasu negocyacye już były zawiązane, a zatem pierwszeństwo przynależało, się jego narodowi. Potem, aby lepiej wszystko pogodzić, ofiarował Anglii, zamiast dwóch obelisków Luxorskich, obelisk Karnachski, daleko większy; wzniecono jeszcze kilka trudności, lecz dwa sfynxy dorzucone w dodatku rzecz załatwiły i oba obeliski Luxorskie, oraz obelisk Alexandryjski stanowczo Francyi przyznane zostały.

Pan Taylor przybył wielce uradowany, iż skończył negocyację; najmocniej pragnął w dalszą puścić się podróż: zgodzono się aby wyjechać jutro wieczorem.

Jak najráníj, w ten ów wielki dzień, udaliśmy się wraz z Arabami do vice-konsula francuzkiego, pana Dantan, aby w przytomności świadka zawrzeć ugodę: najprzód oznaczono liczbę zwierząt i ludzi; potem przystąpiono do głównej kwestyi: chodziło ile zapłaci się jednym i drugim za podróż, która tam i z powrotem miała trwać przeszło miesiąc.

Sprzeczeki są tryumfem Arabów: przebiegli, uparci, niepodchwytni, wyslizgują się, udając że je nie rozumieją, lub zbliżając je argumentami, przeciw którym niewiedomość miejsc i obyczajów nie nie może zarzucić. Lękając się zażądać zbyt mało, podwyższają zawsze należność, aby się zdawało gdy ustąpią cokolwiek, iż ofiarę uczynili, chociaż w dwójnasób otrzymują zapłatę. Najgłówniejszą przyczyną którą dawali przy upieraniu się o cenę, było: że półwysep Synajski trzy oddzielne przebiegają pokolenia, i że zawarli pomiędzy sobą sojusz, aby pokolenie towarzyszące podróżnym, nigdy od innych niepokojonóm nie było; z tąd podług nich wynika, że ponieważ tę neutralność za pieniądze tylko pozyskać było można, żądana przez nich kwota, jakkolwiek nam się zdawała znaczną, była jednak bardzo umiarkowaną, bo gdy oddadzą z niej część należną obu pokoleniom, reszta pozostała naszym przewodnikom, wystarczy zaledwie na utrzymanie ludzi i koni. Był to jeden z owych uporczywych i ciemnych argumentów na który odpowiedzieć niepodobna: przystaliśmy téż na wszystko co

chcieli, pod warunkiem jednak, iż sami żywić się będą w podróży, i że ich kuchnia pod żadnym względem się nas nie tycze; wielbłądy miały być na naszym koszcie.

Po dobieciu targu, pan Danton który mu był obecny, uprzedził nas abyśmy niezupełnie polegali na przyjacielskich stosunkach pokolenia *Ualeb-Sajide* z innemi ludami; było to waleczne i wierne pokolenie, które w przypadku *dopomoże nam bronić się*. Zalecił nam więc pomiędzy sprzętami nie zapominać broni a między zapasami zaopatrzyć się w proch i kule.

Arabowie, którzy z największą uwagą słuchali mowy pana Danton, a nie mogąc jej zrozumieć, śledzili jaki ona wyraz na rysach naszych pozostawi, postrzegli że nie była na ich korzyść. Najpierw wpadło im na myśl, iż żałujemy zawartej ugody, i że szukamy sposobu zerwania jej: natychmiast jeden z nich, zwany Bekara, i mówiący nieco po francuzku, przystąpił do nas, i jakby nie postrzegając że nam rozmowę przerywa, zaprosił abyśmy poszli obejrzeć wielbłądy. Nie domyślając się, ugodził mnie w najdotkliwsze miejsce. Poszedłem więc za Bekarym; zaprowadził mnie na dziedziniec i zatrzymał się w obec biegunów, prosząc abyśmy rozważyli iż są wielbłądy a wielbłądy; że te które mamy dosiąść są prawdziwemi *haghins*, lekkie jak gazy, silne jak lwy, uległe jak jagnięta; że każdy ma swoją genealogię tak dobrze uporządkowaną jak najszlachetniejszy i najstarożytniejszy rumak arabski, i że moglibyśmy iść za nimi w pustyni, nie postrzegłszy najbliższego śladu ich kopyt na piasku, tak bieg ich jest szybki i lotny.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

BIBLIOTHECA

Nr. Tom

INSTITUT MATHÉMATIQUE



## FRANCYA.

OBRAZ STATYSTYCZNY, OBYCZAJOWY I MAŁOWNICZY.

(Dokończenie.)

---

### — Paryż tegoczesny. —

Pośród rozlicznych zamieszkań, okrywających departament Sekwany, pośród wiosek i miasteczek na wszystkie rozsypanych strony i rozdzielonych pomiędzy sobą, pięknymi i długimi aleami, polem, łąką, łaskiem, wznosi się w amfiteatr, po obu stronach Sekwany, nagromadzenie domostw i budowli wszelkiego rodzaju, słowem miasto ogromne, Paryż, o którym już przed stu-pięćdziesięciu laty mówił sławny Vauban:

„Nie można zaprzeczyć, iż to miasto jest tém „dla Francyi, czém głowa dla ciała ludzkiego. Jest „to prawdziwe serce królestwa, wspólna matka ca- „łój Francyi, udzielająca istnienia wszystkiemu lu- „dowi téj ogromnej krainy; miasto, bez którego to „królestwo doznałoby zupełnego upadku.“

Paryż, który otrzymał od Vaubana ową wspa- niałą pochwałę, zalega dzisiaj przeszło do dwie mi- le kwadratowe gruntu. Okrążający go mur, mie-

ści w sobie pięćdziesiąt bram, czyli rogatek, dających przystęp do obszernej jego przestrzeni.

Kształt Paryża jest owalowo nie regularny, największa średnica od wschodu na zachód, od rogatki *Passy* do rogatki *Charonné*, wynosi dwie mile francuzkie, najmniejsza począwszy od rogatek *dela Santé* do rogatek *des Martyrs*, zajmuje półtory mili.

Główne jego zakłady publiczne, w liczbie 200, są: 37 kościołów, 7 świątyń poświęconych rozmaitym wyznaniom, bank, giełda, lombard, 34 rynki i 7 targowisk, 27 teatrów, 7 kolegiów, 42 koszar, 27 szpitali, 13 więzień, 7 szlachtuzów i 4 smentarze.

Paryż dzieli się na dwanaście okręgów i 48 cyrkułów; przerywa go w całej długości Sekwana, i jej rozmaite odnogi przedzielają go na dwie nie równe części, pośród których znajdują się trzy wyspy, tworzące także oddzielne cyrkuły miasta.

Dwadzieścia mostów, z których kilka wiszących, łączą ze sobą rozmaite części miasta; ulic, uliczek przechodów jest 1600.

Paryż liczy dzisiaj 786,000 mieszkańców zamieszkałych w 29,000 domach, z których tylko 11,000 mają zajezdne bramy.

Paryż przed sześćdziesięcią laty miał ulice źle brukowane, źle oświecone, pełne błota, śmieci i plugastwa. Domy wysokie, wąskie, ciemne, stały na jego mostach i przy brzegach Sekwany.

Wszystkie fabryki, wszystkie gałęzie przemysłu, odstręczające i szkodliwe, garbarnie, mydlarnie, szlachtuzy, z których ciągle wypływały szerokie krwi strumienie, znajdowały się w środku miasta. Śmierć miała w niem także swoje składy, z których naj-



obszerniejszy i najdawniejszy był smentarz zwany Nie-  
winnych *des Innocens*, mieszczący w sobie przeszło do  
milionu trupów. W czasie odwilży zimowych wydo-  
bywały się z tego przerażającego skupienia zgnilizny  
tak niebezpieczne wyziewy, iż zatrwały wszelką ży-  
wność i śmiertelne sprawiały choroby.

Flizy kościołów pokrywały także mnogie groby,  
i często podczas nabożeństwa, trupie wyziewy, wy-  
chodzące z głębi pieczar, napełniały świątynię.

Widok szpitali był odrażającym. Jedno łóżko  
mieściło sześciu do ośmiu chorych. Biedne ciężarne  
kobiety odbywały połogi w *Hôtel Dieu*; przyjmowa-  
no ich co rocznie do 1,500. Zwykle po cztery leża-  
ło w jednym łóżku. Połowa tych nieszczęśliwych nę-  
dźnie ginęła.

Urządzenie więzień tak było straszliwe, iż zbrod-  
niarze przenosili śmierć nad ten ochydry pobyt.

Minęły te czasy: nowe prawa, nowe ustawy, stwo-  
rzyły nowe obyczaje i nowe miasto. Rozsądne urzą-  
dzenia usunęły z niego zakłady koniecznie potrzebne  
licznemu zgromadzeniu ludzi; lecz których widok i woń  
razi zmysły; wybrano dla nich stosowniejsze miej-  
sca, a wystawienie obszernych szlachtuzów, których  
wielkość stanowi razem ozdobę, i użytek dowodzą za-  
równo postęp sztuk wyzwolonych i troskliwość o do-  
bro publiczne.

Groby przeniesione zostały po za mury miasta,  
usunięto także składy śmierci i smrodliwych szcząt-  
ków, które niedbalstwo lub otrzymywana z nich  
korzyść nagromadzały w około mieszkań.

Szpitali są teraz liczniejsze i lepiej utrzymywane;  
oddzielne dla każdego wieku, dla każdej płci, dla

różnych chorób. Lepsze urządzenie wewnętrzne, większa czystość, żywność posilniejsza, stały się powodem iż teraz na siedmiu chorych umiera tylko jeden, gdy dawniej umierał jeden na czterech.

Pomiędzy temi zakładami, które są owocem teraźniejszej cywilizacji, niektóre zasługują na szczególną wzmiankę: Szpital Sgo Ludwika, przeznaczony na leczenie chorób skórnych, szpitale dzieci chorych i Macierzyństwa. Zakład ten jest może największém dobrodziejstwem jakie biednemu mogła wyrządzić cywilizacja. Jemu winien jest zachowanie dwóch największych darów jakie posiada na świecie żony i dzieci.

Biuro dobroczynności, założone w dwunastu obwodach stolicy, biuro konsultacyjne, umieszczone obok administracji szpitalnej, wydaje bezpłatnie lekarstwa chorym wyrobnikom; tym sposobem znajdują pomoc bez rozłączenia się z rodziną i zaniechania codzienniej pracy.

Los więźniów także znacznie został ulepszonym: a chociaż śmiertelność wielką jest jeszcze, jednakże smutny ich pobyt nie przyprowadza o niezwłoczną stratę lub ukrucenie życia. Nadbrzeża i mosty oswobodzone z ciężkich domostw, które je dawniej obciążały, przepuszczają świeże powietrze i światło do stykających się z nimi ulic.

Dawne dzielnice, wąskie, ścieśnione, niezdrowe całkiem już zniknęły; inne powiększono, wielkie place pośród nich utworzone, dostarczają im dostatek świeżego powietrza; wzniesione nowe budowle podług regularniejszych planów, i wszędzie komunikacja ułatwioną została.

Obszerny rozerwuar, zwany *la Villette*, ciągle pełen wody, rozprowadzają po wszystkich dzielnicach, podziemnymi przechodami, których liczne gałęzie przebiegając pod brukiem ulic, zażywiają liczne fontanny, utworzone od lat dwudziestu na placach i rynkach, i jeszcze liczniejsze znachodzące się co kilkadziesiąt kroków na gościńcach. Obfitość wód dozwala ich użyć na usługę publiczną równie jak prywatną.

Rogatki Paryża zbudowane były w roku 1782 za panowania Ludwika XVI. Jest ich 58 i wszystkie kształtniej budowy. Najznacześniejszymi z nich są Rogatka S. Maruna czyli brama, rogatka *Neuilly* czyli *Etoile*, przy której jest łuk tryumfalny zaczęty w r. 1806, dotąd nie ukończony. Rogatka *Vincennes* czyli Tronu tak się zowie, iż w tem miejscu wzniesiono wspaniały Tron dla Ludwika XIV i Maryi Teresy Austriackiej, gdy wjeżdżali do stolicy r. 1660. Jedną z najznacześniejszych ozdób Paryża są bulwary. Nazwiska te stąd pochodzą, że w dawnych czasach Paryżanie grali w krąg albo kulę na murawie, z tych dwóch wyrazów *boule* kula i *vert* zielony, zrobiono *boulevard*, bulwary. Paryż ma trzy główne rzędy bulwarów; pierwszy który stanowi obwód miasta, drugi bulwar północny, trzeci bulwar kawy, każdy składa się z głównej alei drzew i dwóch alei pobocznych. Bulwar północny ma długości przeszło 2400 sążni; wzdłuż niego w całej rozciągłości stoją magazyny, hotele teatru i ogrody. Widok tego bulwaru jest bardzo zajmujący; część zwana bulwarem Temple służy za przechadzkę dla pospółstwa, część

zaś zwana bulwarem włoskim, dla wyższego społeczeństwa.

*Mosty znaczniejsze.* Most Ludwika XVI, czyli most Zgody, prowadzący do Izby deputowanych, zbudowany był przez Ryroneta i ukończony w 1790 r. Ozdabia go dwanaście posągów, umieszczonych na wysokich postumentach: są to posągi Kondeusza, Turenusza, Bojarda Dugueselina Sugiera, Richeliego, Sullyego, Dugay Freucier, Jana Bart Dugiesna, Sufrena i Turvilla. Most *Jena* leżący na przeciw Marsowego placu zaczęty był w 1809 ukończony w 1813. Zbudowany jest z kamienia ciosowego i składa się z pięciu arkad; po upadku Napoleona otrzymał nazwisko *Mostu Juwalidów*. Most *Arcole* na pamiątkę bitwy pod Arcole zbudowany na przeciw ratusza ma tylko dwie arkady i jeden filar na środku rzeki. Ten most zawieszony na sztabach żelaznych, ma lekką i śmiałą budowę.

Obadwa brzegi Sekwany, są opatrzone w samym obwodzie Paryża dwoma nie przerwanemi liniami grobel kamiennych. Najdawniejsza grobla zasięga roku 1312. Od tego czasu w różnych epokach ciągniono dalej pierwotne budowy; uzupełniono je zarządów Napoleona.

Znaczniejsze pałace są Luwr, zasięgający odległej starożytności, przerabiany kilkakrotnie. Tuilleries zbudowany przez Katarzynę z Medyceuszów; Palais Royal, pałac deputowanych, Elysée Bourbon, — Instytut miejsce posiedzeń pięciu akademii czyli towarzystw naukowych, Pałac Sprawiedliwości gdzie się mieści sąd kassacyjny, — Mennica, Giełda, pałac Biblioteki Królewskiej, składającą się przeszło z 450,000 volu-

minów drukowanych i 450,000 ulotnych pism, 60,000 manuskryptów i 1,600,000 rycin: przy bibliotece jest gabinet mający 200,000 medalów.

Z pomników tryumfalnych wspomniemy o *Łuku Tryumfalnym*, tworzącym bramę Stego Dyonizjusza, wzniesionym na cześć Ludwika XIV: — o *Łuku tryumfalnym na placu Karuzelu* zbudowanym w 1808 na uczczenie wojska francuzkiego. O *Kolumnie na placu Vendome*, czyli Kolumnie Napoleona na której szczycie stoi jego posag; o *Kolumnie Zwycięstwa* na placu Chatelet, wzniesioną w r. 1808.

Z posród licznych Muzeów, wymienimy Galeryę Obrazów, umieszczoną w pałacu Luvru, w której za Napoleona mieściły się arcy-dzieła wzięte z Włoch i różnych stolic Europy. Która, po zabraniu onych w 1815 r. posiada jeszcze zbiór Obrazów znakomitej piękności, mianowicie szkoły francuzkiej i włoskiej.

*Kościóły.* Najstarożytniejszym jest Kościół N. Panny Maryi zadziwiający ogromem i śmiałością architektury gotyckiej, a z nowszych zaś odznacza się kościół S. Genowefy, czyli Panteon, przeznaczony na groby wielkich obywateli; napis na frontonie jest: *Wielkim ludziom wdzięczna ojczyzna. Dom Jnwalidów* wiekopomne dzieło Ludwika XIV. Gmach ten może pomieścić 7,000 żołnierzy, którzy mają tam jak największe wygody, wypoczynek po trudach wojennych. Kopuła tego gmachu panująca nad całym Paryżem, jest jednym z arcy-dzieł sztuki budowniczej.



## WYCIECZKA

### DO EGIPTU I ARABII

*przez Alexandra Dumas.*

(*Dokończenie*)

---

Pochwałę tę najzupełniej potwierdzał prosty rzut oka na te biedne zwierzęta; nadzwyczaj były chude; skóra zdawała się należeć do dwarazy większego niedgdyś stworzenia, nabitemi fałdy pokrywała stałowy prawie szkielec, którego wszystkie przeguby i spojenia widocznemi były. Fizyonomia ich była łagodna i dobra, a żelazne kółko przeciągnięte przez nozdrza zdawało mi się wyśmienicie zastępować uzdę, słowem, że prócz nadzwyczajnego ich wzrostu, nie miałem innego powodu uskarżania się. Zaczęła mnie zresztą ogarniać litość nad temi nieszczęśliwemi towarzyszami naszej podróży: tak głośno sławiona ich wstrzemięźliwość, wyryta była na całym ich ciele; lecz litość ta przywiodła mnie naturalnie do powątpiewania o ciągłym zdrowiu tych nieszczęśliwych istot. Na to Arabowie jednozgodnie wykrzyknęli, i Mohamed do nich się przyłączył. Wszystko co obudzało we mnie obawę, dla nich było zabezpieczającym powodem, wszystko co mnie się wydawało wadą, głosili jako doskonałość. Postrzegłem że ich przegadać nie zdołam, pozostawiłem więc sam dla siebie moje uwagi, zdawa-

to mi się tylko żem nigdy nie widział wielbłądów tak olbrzymiego wzrostu.

Baron Taylor i Mayer zeszli do mnie: trzeba było nakupić potrzebnych zapasów; odroczyliśmy do wieczora dobicie ugody, i kazaliśmy Arabom dać nam spis rzeczy najpotrzebniejszych. Chociaż spis ten był nie wielkim, musieliśmy jednak obiedz wszystkie Kairskie bazy, bo trzeba pamiętać że każdy kupiec jedyny tylko sprzedaje przedmiot, i że na każdy przedmiot oddzielna przeznaczona jest dzielnica a żaden kupiec nieośmielił się sobie przywłaszczyć wyłączność drugiego, ani żadna dzielnica wyłączność drugiej dzielnicy.

Pan Msara poradził nam, aby korzystając z czasu, poprosić o zalecające listy greckiego klasztoru w Kairze, będącego w bardzo bliskich stosunkach z klasztorem góry Synai. Przestroga ta dobrą nam się wydała, i usłuchawszy jej puściliśmy się w drogę. Jużemy przeszli trzy ulice, gdy weselny orszak drogę nam zastąpił: Panna młoda, szczelnie była okryta jedwabnym workiem; czterech rzeźniców niosło nad nią baldakin: za nią postępował tłum kobiet, również jak ona osłoniętych, napełniając powietrze pewnym rodzajem gdakania, właściwym niewiastom arabskim, a zależącym na odklaskiwaniu językiem o podniebienie co w każdej szczęśliwej przygodzie jest oznaką ich radości. Melodyja ta tworzyła między akty barbarzyńskiej muzyki; w jej przerwach, dwunastu śpiewaków powtarzało, przy towarzyszeniu wyżej opisanych już instrumentów, bardziej niżeli anakreontyczne piosenki, które mimicy i kuglarze, tłómaczyli w najwyraziwszych giestach tym co podobnie jak my, na nieszczęście nie znali ich języka.



Cały ten orszak i tak już dość liczny, powiększony był tak wielkim cisnącym się za nim tłumem, iż wspiawszy się na strzemionach nie mogliśmy dojrzeć końca jego. Zważywszy po sposobie jakim postępował, że najmniej godzinę czekać będziemy musieli, poruczyliśmy samemu Bogu nasze polecenie.

Zastaliśmy Arabów już gotowych i wielbłądy ojucone: pozostawało nam tylko zawrzeć ugodę; ukończenie to zależało z naszej strony na daniu zadatku, a ze strony Arabów na wydaniu nam zakładników, których mieli zostawić w Konsulacie, jako rękojmię za naszą całość. Owi zakładnicy których głowy miały za nasze odpowiadać, byli dwaj wojownicy z pokolenia wraz z ich biegunami; uczyniliśmy uwagę że nas było trzech, i że trzeba było przynajmniej trzech Arabów. Lecz dowódzca karawany uczynił nam uwagę, że dwóch z nas wyobrażało dwóch wojowników, a trzeci wyobrażony był przez oba wielbłądy; trzeba było poprzestać na tej odpowiedzi; porównanie tylko nie bardzo pochlebiało naszej miłości własnej: musieliśmy jednak połknąć tę poniżającą pigułkę.

Panowie Danton, Msary i Dessap, przytomni naszemu odjazdowi, czule nas pożegnali; zapalone potem pochodnie, przyprowadzono nam konie, na których jechać mieliśmy do pierwszej stacyi, gdyż się lękano aby nienawyknięcie do kłusu nowych naszych biegunów, nie stało się przyczyną jakowego wypadku, wśród wązkich i krętych ulic miasta.

Ta przezorność Mohameda, prawdziwą mnie ku niemu natchnęła przyjaźnią; nakoniec, o dziewiątym wieczorem, Arabowie wsiedli na wielbłądy, a my wskoczyliśmy na nasze rumaki; wyjechaliśmy potem



majestatycznie z pałacu, przy blasku pochodni przewodników postępujących przed nami, i przebyliśmy Kair z wielkim podziwem jego mieszkańców, których przepych i dziwaczność tego widoku wywiodła z domów, mimo wrodzonej im na wszystko niedbałości.

Wyjechaliśmy bramą zwycięstwa, najbliższą dzielnicy Franków; zwróciliśmy potem na lewo, około murów miasta. Po godzinie drogi ujrzelśmy się w obec innego miasta, miasta zmarłych, piękniejszego, bogatszego, większymi ozdobnego pomniki niżeli miasto żyjących, Nekropolisu Kalifów, grodu zmarłych, gdzie potomkowie Salah-Eddina i mameluka Bey-bars, spoczywają w marmurowych i porfirowych grobowcach, tuż obok najbogatszej i najwyższej arystokracji Kairskiej. Przeznaczylśmy to miejsce na pierwszą stację, i nie podobna było wybrać stosowniejszej godziny do zwiedzania grobowców.

Zostawiliśmy Arabów rozkładających namioty i zajętych urządzeniem nocnego obozowiska; i przy blasku czterech pochodni udaliśmy się ku pogrobowemu miastu, leżącemu przed nami jak czarna masa, wśród której nie mogliśmy rozróżnić żadnego kształtu ani żadnej barwy.

O dwieście blisko kroków, pochodnie nasze odbiły się o mury obszernego i bogatego pomnika.

Zastukaliśmy do drzwi, na ten łoskot niezwykle o podobnej godzinie, jastrzębie śpiące pod zachroną kamiennych arabesków, przebudziły się i uleciały wśród krzyków przeraźliwych. Długie wycia im odpowiadały, i przez niejaki czas mniemaliśmy że psy i drapieżne ptastwo były jedynymi mieszkańcami tego nekropolisu: lecz posłyszeliśmy w krótkce stąpanie ludz-

kie: nasi Arabowie przemówili kilka słów do zbliżających się, i nawzajem otrzymali od nich odpowiedź: otworzyły się drzwi i gospodarz umarłych okazał się na progu tego przepychowego grobowca.

Był to starzec wstrzemięźliwy w słowa jak prawdziwy muzułmanin. Dowiedziawszy się o powodzie który nas sprowadził, uczynił nam znak abyśmy weszli, wskazał nam rozmaite części gmachu, potem zaprowadził nas do grobowej pieczary, której mury zdobiły mazajkowe kwiaty, najwytworniejszej roboty; sarkofag z granitu był najdoskonalej zachowany.

Nie chcieliśmy jednak poprzestać na obejrzeniu jednego tylko grobowca; oświadczyliśmy chęć naszą starcowi; uczynił nam znak iż jest na nasze rozkazy; wyszliśmy z pomnika i udali się w zdłuż ulicą. Tam znaleźliśmy znówu jastrzębie, które skoro tylko ujrzały nasze światła, nowe krzyki wydawać zaczęły i wiram krążyć tak blisko pochodni, iż się z ich dymem mieszały. Setne tłumy psów błędnych, szukających we dnie pożywienia po ulicach Kairskich, a wieczorem przychodzących szukać schronienia w grobach Kalifów, otoczyły nas i ścigały, wyjąc okropnie. Zbudzeni na owe krzyki i wycia, poświadczające życie i światło, tak niezwykle w tych miejscach i o tej godzinie, Arabowie Beduini z owego nienległego pokolenia, które uważało by się za więźniów, gdyby bramy miasta za nim się zamknęły, i oddzieliły go od pustyni choć by nawet podczas snu jego, powstawali owinięci w swoje burnusy, ze stopni meczetów lub pieczar grobowych, i w białych swoich całunach wydawały się być cieniami tych których wiekuisty pokój przyszli zakłócić.

Śród tego złowrogiego orszaku i owych pogrzebnych zjawisk, przybyliśmy w ustronne miejsce, gdzie nam pokazano groby Djezamsów, gałęzi Arabskiego pokolenia Kochlan, osiadłej w Egipcie podczas mużłmańskich zaborów. Dwa pomniki odznaczały się między innemi były; to grobowce dwóch ludzi sławnych gościnnością i szczodrocią; jeden zwany Tharif, miewał co dzień u stołu po tysiąc biesiadników, których mu sprowadzali jego niewolnicy, stojący na czatach przy wszystkich bramach miasta; drugi nazwiskiem Muhenna niemając przy czém ugotować uczty dla podróżnych, ułożył ognisko z bogatych łupów zdobytych na nieprzyjacielu; uczyniono ich zwłokom wspaniałą gościnność, którą przez całe wyświadczeni życie, i spoczywają w grobach przepysznych i obszernych jak pałace.

Wyszedszy z tych pomników, zwiedziliśmy jeszcze ostatni, który nam się zdał starszym od wszystkich dotąd widzianych; mury porysowane były w całej długości, a w kilku miejscach zupełnie nawet rozpadnięte po nad jedną z owych rysów, Mohamed wskazał nam skreślone ręką pewnego perskiego poety, to zdanie, które nam się zdało dosyć ciemne: „Każda rysa tego starożytnego gmachu jest rozwartemi ustami, śmiejącemi się z przelotnego blasku mieszkań zdobywców i bogaczy. „

Dwie godziny przepędziliśmy w grodzie zmarłych i zwiedziliśmy najpiękniejsze jego gmachy; czas było powrócić do naszych arabów: wróciliśmy więc ku pierwszemu grobowcowi, zawsze okoleni orszakiem jastrzębi, psów i nocnych widziadeł; lecz jak gdyby fantastyczny ten orszak potężniejszą siłą zatrzymany

był w grodzie pogrzebnym, zatrzymał się u drzwi które wychodziły na płaszczyznę żyjących; rozstaliśmy się z nim bez żalu, i wrócili do naszego namiotu. Czas jeszcze niejaki słyszeliśmy wrzask jastrzębi i psów wycie; aż nareszcie uspokojone milczeniem i nocną ciemnością, jedne wróciły do swych gniazd marmurowych, a drugie do granitowych swoich legowisk wkrótce wszelki odgłos skonał i najmniejszy szmer; niezakłócił echa grobowej stolicy, którąśmy na chwilę z wiekuistego snu wywiedli.

Za powrotem zastaliśmy Arabów siedzących w kółko, około obszernego ogniska i prawiących powieści. Po za nimi leżące wielbłądy zmięszane z piaskiem, którego nosiły barwę, tworzyły drugi daleko obszerniejszy obwód. Nasz namiot rozpięty był na ustroniu była to najdogodniejsza chwila rzucić okiem na ogół orszaku mającego nam towarzyszyć, i szczegółowo rozpoznać ludzi którym zawierzyliśmy nasze życie.

#### ARABOWIE I WIELBŁĄDY.

Dowódca czyli Szeik zwał się Tualeb; mały, muskułowaty, chociaż brzydki, miał jednak uprzejmy i sympatyczny wyraz twarzy; mówił mało i zwięźle; dobitnym głosem i bystrym spojrzeniem, ciągle dozierał naszych Arabów, i nieraz mieliśmy sposobność ocenić doskonały jego rzut oka i moc charakteru.

Po lewej przy nim siedział Bekera, z którym zapoznałem się już na dziedzińcu pałacowym; był to ten sam co mi dowodził szlachectwo swoich wielbłądów, i wykrywał wszystkie ich przymioty. Równie był chudy jak i dowódca; lecz o ile pierwszy był surowy i

mileżący, o tyle drugi był śmieszek i gadatliwy; przez cały dzień śpiewał siedząc na wielbłądzie, a skoro nadszedł wieczór, niechętnie opowiadał towarzyszom swoje powieści, dopóki ich nie uśpił. W owczas niemogąc jeszcze poprzestać, czas niejakiś sam z sobą monolog prowadził, dopóki nie zasnął. Ta wiekuista mówność, tak szacowna w długich drogach dla tych którym natura powściągliwszy użyczyła charakter, czyniła Bekarę bożyszczem towarzyszy; a jeśli Tualeb był dowódcą przez dzień, natychmiast po zachodzie słońca berło przechodziło wręce Bekary, bez sporu i zaprzeczania.

Zdrugiej streny Tauleba siedział towarzysz broni, przyjaciel, powiernik Bekary; był to Arab herkulesowych kształtów, zwany Araballach, poważany od wódza i szanowany od reszty towarzyszy, gdyż był najsilniejszym z całego orszaku; on pierwszy biegł na przód, gdy jaka niespokojność zaszepiła czoło Tualeba; on ostatni usypiał, gdy przy nocnym ognisku Bekara opowiadał wiekuiste legendy; Taaleb też i Bekara wysoko go cenili; był ramieniem pierwszego, a drugiego uchem.

Po tych trzech, jeszcze tylko jest godzien wzmianki Abdallach nasz kucharz; wszedł do naszej służby na zalecenie Pana Msara, i na zapewnienie iż wyuczył się swój sztuki pod najlepszymi mistrzami Kairu. Było to żyjące ich potępienie; niepodobna sobie wyobrazić obrzydliwych mięszanin, z których ten truciiciel sporządzał nasze potrawy.

Nie wspominam o starym naszym przyjacielu Mohamedzie; poszedł za nami z Alexandryi, towarzyszył nam jeszcze wtęj podróży.

Co do reszty orszaku, nie ma o nim co powiedzieć pod względem umysłowym; co do fizyczności, były to prawdziwe dzieci pustyni, wątłe, szczupłe, gętkie jak węże, chude i wstrzemięzliwe jak wielbłądy. Po tym pierwszym przeglądzie postrzegliśmy natychmiast jak mało znaczącym musiał być dla nich warunek podjęcia się własnego wyżywienia; podczas pierwszej stacyi ani była wzmianka o jedzeniu. Pomyśleliśmy zrazu, że podobnie jak my zjedli wieszak nim opuścili Kair.

Rzuciłem się na kobierzec, zupełnie polegając na dobrej wierze naszych przewodników, a zatem najzupełniej ubezpieczony względem pewności podróży; było nas wogóle ośmnastu dobrze uzbrojonych mężczyzn i tworzyliśmy orszak dosyć znamienity. Jedynym przedmiotem niespokojności, który mnie ciągle udręczał, był niesłychany garb naszych wielbłądów, bez strzemion nie wiedziałem jak można usiedzieć na nim dłużej nad pięć minut; usnąłem wreszcie w nadziei, że Bóg jest wielki i miłosierny.

Obudziłem się o świcie, i cichuteńko wyszedłem z namiotu, karmiąc potajemnie złą myśl przywłaszczenia sobie najmniejszego z trzech trabarzy. Arabowie już nie spali i osiodłali bieguny. Skinąłem na Bekara, którego wyłącznie pragnąłem sobie zjednać łaskę, i poprosiłem aby mnie zaprowadził do przeznaczonego dla mnie wierzchowca. Trzy nasze wielbłądy jeden przy drugim klęczały, z szyją wyciągniętą jak węże, a w takowem położeniu trudno było osądzić o ich wysokości; okrążałem ich, chcąc się im lepiej przypatrzeć, gdy mnie Bekara przestrzegł, abym się do ich głów nie zbliżał. Spytałem go, czy było w tém

jakowe niebezpieczeństwo, i czy ich charakter był w sprzeczności z ową nieśmiałą i omdlewającą minką, tak szczególny wdzięk nadającą ich fizyonomii. Powiedział mi iż widział wielbłądy chwytające nagle za nogę lub rękę człowieka, który się do nich nierozważnie zbliżył, i jak szkło je druzgocące. Jeden z towarzyszków którego mi pokazał, stał się w poprzedniej podróży ofiarą podobnego wypadku; a na kilka dni przed naszym wyjazdem z Kairu, inny kupując zwitki marmelady brzaskwiniowej w bazarze żywności, raptem pochwycony został za turban i uniesiony po nad ziemię, na którą padł bez przytomności. Pośpieszono mu na ratunek; lecz postrzeżono wkrótce iż cały wierzch głowy, czaszka i mózg pozostały w zawoju. Zresztą, wielbłądy czyniły to bez najmniejszej złośliwości, w rzadkich jedynie chwilach radości lub złego humoru, niweczających niekiedy jednostajność najłagodniejszego i najszcześliwszego charakteru.

Nigdy Bekara tak religijnie nie był słuchanym, nigdy mowa jego tak głęboko nie wyryła się w pamięci słuchacza. Dowiodłem mu natychmiast jak wysoce cenię jego przestrogi czyniąc zwrót i zbliżając się od ogona do wielbłąda dla mnie przeznaczonego. Leżał z niechcenia, podwinawszy pod siebie nogi i wyciągnawszy szyję; tak iż w tém położeniu siodło było jak zwyczajnie siodło na koniu mierniej wielkości. Postanowiłem, nim inni nadejdą, i w przytomności przyjaciela mego Bekara, uczynić próbę, na pozór niby nie oznaczającą, która jednakże miała ranie obeznać z moim wierzchowcem. A zatem, jakbym najzupełniej był spokojny, nucąc wesołą, piosenkę zchwyciłem za kulbakę i za wiszące u niej sznury, i po trzech kla-

sycznych podrzutach, przesadziłem garbisty pagórek i siedziałem na biegunie. Lecz zaledwiem umocnił się na siodle, biegun, znający doskonale wielbłądzą swoją służbę, i lepić może niż ja rzemiosło ujeżdżacza, podniósł nagle tylną część ciała, co natychmiast umieściło nos mój o ośm cali niżej kolan, i zjednało mi w piersi okropny raz kulbaki, wysokięj blisko na stopę i zakończonej drewnianą kulą okutą mosiądzem. W téjże saméj chwili przód podniósł się z równym pospiechem, i uczułem iż grzbiet siodła oddał mi z lichwą w grzbietowe pacieże uderzenie, które mi w piersi zadała kulbaka. Bekara, który nie spuścił mnie z oka podczas téj rajszulowéj próbki, zwrócił moję uwagę na wyśmienitą kombinacyę obu tych podwyższeń, bez których pomocy niezawodnie byłbym upadł w tył lub naprzód. Bekara uczynił mi to postrzeżenie z uśmiechającą twarzą, jakby chcąc dowieść iż byłem niewdzięczny za tak doskonale siodło: odtąd zacząłem go uważać za niedorzecznego śmieszka. Gdy téż uczynił wniosek abym zsiadł z bieguna, odpowiedziałem mu pogardnie, chociaż w głębi czułem iż na wiele się odważam, że będę dopóty siedział na wielbłądzie dopóki mi się podoba, i że to bynajmniej obchodzić go niepowinno. Bekara zrozumiał swoją niedorzeczność i zaprosił mnie abym korzystał z mego położenia i obéjrzał krajobraz.

W istocie z punktu do którego się wzniosłem, niezmierny widokrąg ogarniałem okiem. Wielbłąd powstał, podobnie jak leżał, głową ku północy a ogonem ku południowi. Miałem na prawo groby kalifów przytykające do gołego łańcucha Mokatanu, którego wierzchołki kapały się wświelłe wschodzącego słoń-



ca, a podstawa w ciemności nurzała. Przedemną rozciągało się pobojewisko Heljopolisu, na lewo Kair, którego minarety iskrzyły się przy pierwszych słońca promieniach.

Widok wspaniały, natchnął mnie chęcią uzupełnienia przyjemności jakiej doznawałem, i przejrzenia przeciwległego mnie okresu. Pociągnąłem wielbłąda za uzdeczkę aby się wykręcił; lecz zdawał się niepojmować mojej chęci; pociągnąłem mocniej, podniósł głowę; zebrałem wszystkie siły, i zaczął postępować naprzód. W ówczas w braku uzdy chciałem użyć nóg moich; lecz postrzegłem iż to było w najzupełniejszej sprzeczności z fizyczną możliwością; musiałem więc, gdy mój wielbłąd ciągle naprzód postępował, i prowadził mnie prosto do Damietty, przywołać Bekara na pomoc. Przybiegł bez najmniejszej zawziętości i zatrzymał bieguna; potem podawszy mu kilka strączków na dłoni, zwrócił go z taką uległością, jaką okazuje osieł uczony, i za chwilę ujrzałem się w obec przeciwnego widnokregu.

Ten rozpoczynał się od starego Kairu i ciągnął aż do palmowego lasu osłaniającego Memfis, a ponad którym wznosiły się szczyty piramid Sakhary. na prawo piramidy Gyzechu; na lewo łańcuch Mokatanu, ciągnący się za biegiem Nilu, który gubi się w Wyższym Egipcie. Dalej pustynia, myślą już widoczną po zawidokregiem, a której nieskończoność przeczuwam, podobnie jak nieskończoność oceanu.

Jużem się do woli nasycił tym widokiem, gdy się uchyliło płótno naszego namiotu, i wyszedł z niego Mayer. Udałem że go nie widzę; to rozłargnienie na-

dawało mi śmiałą i zadowoloną postać, niezmiernie po-  
chlebiającą mojej miłości własnej. Udając jednakże iż  
nie patrzę w jego stronę, ukradkiem rzuciłem spoj-  
rzenie na niego, i postrzegłem, że będąc mniej ode-  
mnie panem uczuć swoich, jeśli nie z podziwieniem,  
to przynajmniej z zazdrością na mnie poglądał, i dał-  
by wiele, gdyby mógł być na mojem miejscu. Bo  
tóż w istocie galerja widzów daleko była znaczniej-  
sza niżeli przed chwilą; Arabowie już ujuczyli swoje  
wielbłądy i tylko czekali chwili wyruszenia.

Szczęściem dla Mayera, okoliczność która wielce  
byłaby mnie zakłopotala, właśnie w pomoc mu przy-  
szła: wielbłąd jego, widząc towarzyszy na nogach,  
powstał przykładem pociągnięty; Arabowie chcieli  
go koniecznie zmusić do przyklęknienia, lecz Mayer  
pojął jak wielka ztąd dla niego wypływa korzyść, i  
nie pozwolił się jej z rąk swoich wyslizgnąć. Jako  
żeglarzowi, niezem było dla niego na jaką bądź wyso-  
kość wdrapać się po cieńszem sznurze, byle był dostate-  
cznie długi; byłby się w drapał na strzałę nawet najwyż-  
szej wieży. Skoro więc postrzegł sznur wiszący usio-  
dła, w jednej sekundzie już siedział na trabarzu, przy  
niepowściągniętych oklaskach całego towarzystwa.  
Co do Pana Taylor, pierwsza jego podróż do Wyż-  
szego-Egiptu, i powrót z Alexandryi do Kairu, naj-  
wyborniejszym uczyniła go jezdce.

Wszyscy byli w pogotowiu, wyjąwszy Bekarę,  
który szukał wśród piasku jakowegoś zgubionego przed-  
miotu. Jeden z Arabów popędził wielbłąda aby nam  
wskazać drogę. W téjże samej chwili cała karawana  
ruszyła kłusem za jego śladem. Niechaj Bóg was ra-  
czy ochronić od kłusu arabskich wielbłądów!

Niebyłem jednak tak roztargniony abym nie postrzegł iż wierzchowiec Bekary pana swego porzucił i złączył się z resztą karawany; lecz to bynajmniej niezakłopotало jezdca: nie przestał szukać zgubionego przedmiotu; wreszcie, bądź czy go znalazł, bądź czy się lękał abyśmy się zbyt nie oddalili, aby nas z wielkim trudem nie mógł doścignąć, puścił się nawzajem galopem, i doścignawszy wielbłąda, przez czas niejakiś biegł obok mnie; potem, korzystając z chwili gdy zwierz lewą podnosił nogę, racie jego drugą przycisnął nogą, drugę postawił na jego kolanie, z kolana skoczył na szyję, zszyi na siodło, i to tak szybko, żem ani mógł postrzedz do czego zmierza: słowem, byłem osłupiały.

Bekara zbliżył się do mnie z równą dobroduszością, jak gdyby niewykonał nadzwyczajnej zręczności, a widząc że, aby o ile możności zwolnić kłus wierzchowca, czepiałem się jedną ręką kulbaki, a drugą grzbietu siodła, udzielił mi niektórych przepisów trzymania się na wielbłądzim siodle. Wyraz ten siodło, przypominał mi, iż mnie dawniej zapewniał że nasze siodła były najdoskonalej wysłane, a jednakże, najpierwszą rzeczą, którą postrzegłem usiadłszy na owo siodło, było iż siedzę na prostém drzewie. Bekara odpowiedział mi na to, iż bynajmniej nas nie zawiódł, i że na pierwszej stacyi dowiedzie mi iż moje siodło było jak najdoskonalej wysłane wewnątrz wprawdzie, lecz i to jeszcze usiłował dowieść iż jest rzeczą daleko ważniejszą, w takiej podróży, jakąśmy się odważyli przedsiębrać, oszczędzać raczej skórę wielbłąda niżeli podróżnego.

Było to prawdziwe rozumowanie Arabskie i nie

chciałem się tyle uniżyć aby nań odpowiedzieć; jecha-  
liśmy więc dalej, ani słowa nie rzekłszy do siebie.  
Po półgodzinnym biegu, przybyliśmy do łańcucha  
Mokatanu. Granitowy ten łańcuch, ciągle palony  
żarem słonecznym, zupełnie jest nagi. Wązka ście-  
szka wykuta w skałę, dopomaga wejść na przepaściste  
barki góry, ale tylko tak jest szeroka, iż ujęzony  
wielbłąd zaledwie przejść nią może. Postępowaliśmy  
jeden za drugim; Arab służący nam za przewodnika  
jechał na czele, a my za nim, jak nas los uszykował.  
To drapanie się pod górę nieco odetchnienia nam uży-  
czyło, gdyż wielbłądy nasze musiały postępować tru-  
czeniem, z powodu przykrój drogi.

Tak pięliśmy się przez półtorej blisko godziny; uj-  
rzeliśmy się wreszcie na szczycie góry. Wierchołek,  
przedstawia nierówną powierzchnię, po której to  
wstępując, to zchodząc kolejno traciliśmy nieraz  
z oczu zachodni widnokrąg, i znów odzyskiwali go za  
chwilę. Niezadługo, spuściwszy się z ostatniego pa-  
górka, przestaliśmy widzieć domy Kairu; potem naj-  
wyższe jego minarety zaczęły znikać kolejno. Przez  
czas jeszcze niejakiś, szczyty piramid Gyzechu i Sa-  
hary zjawiały nam się jak wybiegłe szczyty innego gór-  
łańcucha, znikły nakoniec najwyższe ich cyple, i uj-  
rzeliśmy się na wschodniej pochyłości Mokatanu.

Z tej strony, płaszczyzna tylko bez granic, pias-  
czyste morze ciągnące się od stóp góry do krańców  
widokregu, gdzie się z przestrzenią niebios połączy-  
ła. Ogólna barwa tego ruchomego kobierca jest płowa,  
i podobna do barwy lwiąj skóry; kilka jednak sale-  
tranych pasów przerzyna ją białymi pręgami, w kształ-  
cie burnusów naszych Arabów. Widziałem już po-

dobnie nieurodzajne obszary, ale nigdy tak rozległe: nigdy takie słońce nie spoglądało na ziemię z takim zapałem: promienie jego widoczne były, a pył przez nie wzniesiony, obudzał pragnienie.

Zsiedliśmy z naszych biegunów na pół godziny blisko; ujrzelśmy się pośród zwalisk, które zrazu wzięliśmy za ruiny jakiego miasta; postrzegliśmy jednak iż ziemia obsiana tylko była kolumnami; zaczęliśmy się bliżej przyglądać, i poznaliśmy w ówczas że kolumny owe były tylko pniami drzew zwalonych. Spytałiśmy naszych Arabów, którzy nam powiedzieli iż się znajdujemy wśród lasu palm skamieniałych; zjawisko to zdało nam się warte głębszej rozwagi, niż z wysokości naszych wielbłądów uczynić ją zdołamy: ażeśmy właśnie przybyli do podnóża góry, i nadszedł czas stacy południowej, oświadczyliśmy Tualebowi iż pragniemy się za trzymać. Arabowie ześlizgnęli się z wielbłądów, a wielbłądy nasze, widząc o co chodzi, także natychmiast poklekały; najprzód zaczęły zginać przednie kolana, a dopiero potem tylne. Lecz że tym razem już się tego spodziewałem, przyczepiłem się jak najsilniej do siodła i wszystko skończyło się tylko na lekkim wstrząśnięciu. Majer bynajmniej otém nie uprzedzony otrzymał w piersi i krzyż, dwa niezbędne razy.

Zaczeliśmy oglądać dziwny grunt na którymśmy wypoczęli: ziemia okryta była palmowemi odziomkami, podobnemi do odłamków kolumn; można by mniemać iż cały las na pniu skamieniał, i że Simmun bijąc o nagie barki Mokatanu, wykorzenił te kamieniste drzewa, które rozkruszyły się upadając. Jakieżże przyzynie przypisać to zjawisko? — Tego po-

wiedzieć nie możemy; to tylko możemy zaręczyć, iż przez pół-mili blisko szliśmy wśród tych dziwacznych zwalisk, które na pierwszy rzut oka, możnaby wziąć sądząc po tysiącu ich zwalonych i uszczerbionych kolumn, za jakową nieznaną Palmirę.

Arabowie nasi rozbili namiot u stóp najbliższej góry, wśród pierwszej strefy piasków, za chwilę złączyliśmy się z niemi, i znaleźliśmy ich leżących pod cieniem ujuczonych wielbłądów.

Abdallah pierwszy raz rozpoczynał swoją służbę, i zgotował nam obiad: był to ryż ugotowany w czystej wodzie, i pewien rodzaj kołaczy z pszennej mąki, cienki jak andruty, a który upiekł na węglach; były miękkie, i ciągnęły się jak skórka panińska lub ciasto szlazowe, zamiast łamać się jak chleb zwyczajny: po wstępie oceniłem kucharza, i od tej chwili postradał moją ufność. Uzupełniliśmy obiad kilku daktylami i kawałkiem marmelady, udartęj z całej sztuki.

Mayer tak był utrudzony wysileniem które uczynił aby wdrapać się na wielbłąda, iż żadnego nie chciał przyjąć posiłku.

Co do Arabów, możnaby mniemać iż dzielali naturę Dżijnsów, i że się żywili powietrzem i rosą, gdyż od wyjazdu z Kairu, niewiedzieliśmy aby spożyli choć ziarno kukuruzu.

Spaliśmy przez dwie godzin blisko, gdy właśnie przeminał największy żar słoneczny, obudzili nas nasi Arabowie; podczas gdy zwijali namioty, dosiedliśmy naszych *haghins*, i byliśmy gotowi pierwszą stację uczynić w pustyni.

## VII

### — PUSTYNIA, —

Tualeb dał znak odjazdu: jeden z Arabów na przód się puścił, a my wszyscy za nim pospieszyli.

Chociaż słońce utraciło już z największej swojej żarliwości, jeszcze jednak było pożeraczem dla nas Europejczyków; — jechaliśmy stępą, ze spuszczoną głową, kiedy niekiedy zmuszeni nawet przymykać powieki, gdyż odbłask piasku wyżerał nam oczy; atmosfera była spokojną i ciężką, a czerwony widnokrąg czysto zakreślał swoje rysy pośród rozpięchających się wyziewów żółto-szarawych.

Zostawiliśmy za sobą ostatnie ślady skamieniałego lasu; zaczynałem się przyzwyczajać do kłusa mojego wierzchowca, równie jak się przyzwyczaić możemy do kołysania okrętu.

Bekara jechał obok mnie, nucąc piosnkę arabską; smutną, powolną i jednotonną; a ta pieśń, złączona z jednotonnym truchtem wielbłąda, z ciężkim powietrzem co pomimowolnie głowę jego pochylało, z ową pałającą kurzawą, która zaciemniała nasze spojrzenia, zaczynała mnie usypiać, jak jednotonne mamki nucenie.

W tém nagle wielbłąd tak podskoczył iż o mało mnie zsiódła nie wysadził. Otworzyłem oczy i szukać zacząłem powodu tego wstrząśnienia: zwierzę potknął się o wielbłądziego trupa na w pół pożartego

od dzikich zwierząt; wówczas postrzegłem iż postępowaliśmy białym szlakiem, ciągnącym się wzdłuż horyzontu, i ze zgrozą postrzegłem że szlak ten oznaczony był pasmem samych kościo-trupów.

Zażądałem objaśnienia tego wypadku; przywołałem Bekarę, który nie czekał nawet mojej odpowiedzi, gdyż podziwienie moje nie uniknęło głębokiej przenikliwości, którą obdarzone są ludy pierwotne i dzikie.

— Wielbłąd, — rzekł zbliżając się do mnie, nie jest bynajmniej tak niedorzeczném i junaackim zwierzęciem, jakiem się nieraz koń okazuje: idzie wskazaną drogą, bez picia i jadła: nie w nim nie oznacza choroby, trudu, lub wyniszczenia.

Arab, który, chociażby w największém oddaleniu, zasłyszysz ryk lwa, rżenie konia, lub krzyk człowieka, chociaż najbliżej znajdując się wielbłąda, słyszy tylko pośpieszniejsze lub powolniejsze jego oddychanie; lecz nigdy dosłyszeć nie zdoła skargi, jęku; gdy cierpienie przemoże naturę, gdy zmysłowym organom życia zabraknie, w ówczas wielbłąd przyklęka, szyję wzdłuż piasku wyciąga, i oczy zamyka. — W ów czas jeździec wie iż wszystko już się i skończyło: zsiada z wierzchowca, i nie usiłując go nawet na nogi podnieść, gdyż tak dobrze zna uciążliwość swego bieguna, iż nawet posadzić go nie może o udanie lub gnuśność, zdjeżdża więc siodło, umieszcza je na grzbiecie innego wielbłąda, pozostawiając tego, co już w ślad nie może iść za karawaną: — skoro tylko noc nadejdzie, szakale i hyeny, zlecą się węchem znęcone, i kościotrup tylko zostawia z biednego zwierzęcia.



Otóż my właśnie jesteśmy na drodze z Kairu do Mekki; dwa razy do roku, karawana jedzie i wraca tą drogą, a te kości tak liczne i tak często wznawiane, że nawet w pustyni burze nigdy ich zupełnie rozproszyc nie mogą; te kości, za których śladem możesz iść bez przewodnika, a które wykryją ci oazy, studnie i źródła, Arab szuka cienia lub wody, a które wreszcie doprowadziły by cię do grobowca proroka, są to tylko szczęty wielbłądów.

Może w patrząc się bacznie w owe szczęty przeszłości, rozpoznałbyś pomiędzy kośćcami daleko mniejsze i węższe budowy: i to są także znużone ciała, które znalazły spoczynek; pierwój nim doścignęły kresu podróży; są to kości prawowiernych, którzy bacząc więcej na swą gorliwość niż siły, chcieli wypełnić przepisy proroka, rozkazujące raz przynajmniej w życiu wszystkim wiernym dokonać owęj świętej podróży, — a dotąd zatrzymani rozkoszą lub interesami życia, zbyt późno przedsięwzięli ową ziemską pielgrzymkę; tak iż musieli ją w niebie ukończyć. Dalej kości jakiego głupowatego Turka, jakiego własną miłością nadętego rzerzańca, którzy zasnęli, wtedy właśnie gdy czuwać powinni byli, i upadając roztrzaskali sobie głowy; teraz policz część jaką przyniosło morowe powietrze, dziesiątkujące nieraz karawany — część jaką simun zabiera — nieraz resztę pożerający, — a łatwo pojmujesz że ten pogrzebowy ślad w prędkie zakreśla ślady zatarte, wskazując synom drogę, którą ojcowie ich postępowali.

Jednakże, mówił dalej Bekara, którego myśli: zwykle wesole, przybierały złatwością, naród jego cechującą odblask przedmiotu na którym się chwile

zatrzymały, — jednakże nie wszystkie kości tu są zgromadzone; niekiedy, na pięć lub sześć mil w prawo lub lewo, znajdujemy, wśród pustyni, kościotrup wielbłąda lub jezdca bo trzeba nam wiedzieć że wielbłąd, gdy nadejdzie maj lub czerwiec, to jest największe w całym roku upały, na podnięty bywa niekiedy pewnego rodzaju wścieklizna. Opuszcza wówczas karawanę, i galopem bieży wprost świdącą drogą: niepodobna nic go zatrzymać; i w takim razie najlepszą jest rzeczą dozwolić mu iść dopóki nie straci z oczu karawany, gdyż nieraz sam się dobrowolnie zatrzymuje i z pokorą wraca na miejsce swoje w karawanie; w przeciwnym zaś razie nieprzestaje unosić się; a wędrownikowi, lękającemu się iż na zawsze straci z oczu towarzyszy, i nigdy odzyskać ich nie zdoła, nie nie pozostaje tylko przebić mu dziurę w głowę, lub ją pistoletem roztrzaskać, a potem bez najmniejszej zwłoki powrócić do karawany, gdyż hyeny i szakale nie tylko czyhają na padające wielbłądy, lecz i na zabłąkanych ludzi; dla tego też powiedziałem iż niekiedy znachodzimy kościotrup człowieka o kilka kroków od wielbłądziego szkieletu.

Słuchałem téj długiej mowy Bekary z okiem wlepioném w drogę; a zmnóstwa obsypujących ją kości, poznałem prawdę pogrobowych jego powieści. Po między temi szczętami jedne były już tak stare, iż prawie w proch się rozsypywały i mieszały się z piaskiem; inne, nowsze daleko, były wytrwalsze i błyszczały jak kość słoniowa; nakoniec inne, do których przyczepione były jeszcze szczęty zeschniętego cielska, niedawną śmierć zwiastowały. Przyznam się iż myśl, gdybym kark skrzył spadłszy z wielbłąda, co bardzo

być mogło; gdyby mnie udusił simmun, co się często zdarza; gdybym zmarł z niewywezasu lub choroby, co bardzo naturalnie przypuścić można było: przyznam się, mówię, że myśl ta iż mnie porzucą na drodze; iż téjże saméj jeszcze nocy odwiedzą mnie szakale i hyeny; a potem, za tydzień najdalej kości moje służyć będą pielgrzymom za skazówkę drogi do Mekki, przyznam się iż myśl ta nienajprzyjemniejszy obraz przedstawiła, mojej wyobraźni. Przywiodło mi to Paryż na pamięć, mój pokoiczek tak maleńki, lecz tak ciepły w zimie a tak chłodny w lecie; przyjaciel, którzy o téj godzinie wiodą miejskie życie, śród pracy, widowisk, balów, a których opuściłem, aby siedząc na olbrzymim wielbłądzie słuchać fantastycznych powieści araba. Pytałem sam siebie co za szaleństwo popchnęło mnie tam gdzie się udaję, co tam będę robił i do jakiego zmierzam celu: na szczęście, gdym sobie czynił te zapytania, podniosłem głowę; oczy moje zwróciły się na ów niezmierzony ocean, na owe piaszczyste fale, na ów widokrąg płowy i gorejący; spojrzałem na tę karawanę, na te długo-szyje wielbłądy, na tych Arabów tak malowniczo ubranych, na całą tę naturę dziwaczną i pierwotną, której obrazy w Biblii tylko znachodzimy, aktora zdaje się tylko co z rąk Boga wychodzić, i uczułem iż to wszystko warte aby na czas niejakiś porzucić błoto Paryżkie, przebyć morze, choćby nawet przyszło zostawić w pustyni kilka kości więcéj.

To nagłe następstwo tak sprzecznych myśli, oddzielając umysł od ciała, oswobodziło go od przykrego zajęcia, tak bardzo udręczającego w chwili wyjazdu. Tak mi dobrze było na wielbłądzie jakbym się

na nim urodził; a Bekara, który z miłością własną, nauczyciela, poglądał na mój postęp w jażdżcie, obsypywał mnie pochwałami. Co do innych Arabów, mniej mównych od towarzysza, poprzestawali na złożeniu ręki tak, aby wielki palec nad inne wystawał, i horyzontalnie wyciągając ramię, odzywali się kiedy niekiedy: Taib! Taib! co w języku arabskim największą oznacza pochwałę, i odpowiada naszemu *bardzo dobrze*. Zresztą przewodnicy nasi, zachowując pozór obojętności pod którym wieki ukrywali ciekawość, ani na chwilę nas z oka niepuszczali; każde poruszenie naszego ciała, każda zmiana twarzy, każdy znak który czyniliśmy sobie wzajemnie, jakkolwiek niedostrzeżony, niezrozumiały, był celem ich postrzeżeń, które udzielali sobie pokrótce, cichym głosem, skinieniem lub rzutem oka; zadziwiającą w tym względzie rozwijając zręczność. Skoro tylko raz zobaczą człowieka już znają jego rysopis; rysopis ten niewychodzi więcej z ich pamięci, i upewniają, iż Arab wróciwszy do swego pokolenia, tak wiernie maluje towarzyszom tego którego był przewodnikiem, lub podróźnego którego nawet tylko napotkał, że w długim przeciągu czasu później, gdy go który ze słuchaczy przypadkiem napotka, poznaje go natychmiast, chociaż go nigdy nie widział.

Jechaliśmy dalej: Bekara śpiewał a ja dumałem; gdy właśnie w chwili kiedy słońce zaczynając ukrywać się za łańcuchem Mokatanu, dozwoliło mi podnieść głowę, postrzegłem czarny punkt na widnokręgu było to drzewo pustyniowe, graniczny słup, niejako dzielący na dwie równe części drogę z Kairu do Suez.

Jestto sykomor, odosobniony jak wysepka na morzu, a któremu *odpowiedniego* nadaremnie szuka oko. Kto go zasadził tu, właśnie wrótnęj od miast obu przestrzeni, jakby chcąc wkazać karawanie że czas jest się zatrzymać! nikt tego nie wie. Nasi Arabowie, ich ojcowie, i przodkowie ich ojców, zawsze go na tém samém widzieli miejscu, i powiadają, iż Mahomet, spoczawszy tu, wszelkiego pozbawiony cienia, rzucił zjarnko, rozkazując mu aby stało się drzewem.

Sykomor ten ocienia pomnik źle zbudowany, gorzej zachowany jeszcze: jest to grobowiec pokrywający kości przezacnego muzułmana, którego świętobliwość doskonale przypominali sobie nasi Arabowie, zapomniawszy o jego nazwisku.

Skoro tylko postrzegł go nasz przewodnik, puścił trabarza galopem, a nasze wielbłądy wewał się za nim puściły, zawstydzając najlepszych wierzchowców. Bieg ten, daleko łagodniejszy od kłusa, nieskończenie bardziej przypadł mi do smaku; tak więc silnie przynagliłem mego *haghinsa*, który był młody i dzielny, iż drugi stanąłem przy pożądanem drzewie. I nie czekając aż uklęknie, zawiesiłem się lewą ręką za kulbakę siodła, i jednym rzutem cisnąłem się na piasek.

Swieżość tego cienia, zjednała nam przyjemność, którą ten tylko pojmie, co jęj doświadczył. Aby uzupełnić nasze szczęście, chcieliśmy się napić trochę wody; bo na południowej stacyi wypróżniliśmy nasze manierki, i literalnie mówiąc, język przylęgał nam do podniebienia. Zdjęto jeden kozi worek, i przyniesiono mi go, już przez skórę uczułem, że woda téjże samęj jest temperatury co i powietrze; ponio-

słem jednak rurkę do ust, i znaczny haust pociągnąłem; lecz jak go szybko wciągnąłem, tak jeszcze prędzej wyrzuciłem; nigdy w życiu nie połknął nic podobnego. W jednym dniu woda całkiem się zepsuła, stała się cierpką, odrażającą, śmierdzącą. Na niesłychane moje skrzywienie przystąpił do mnie Bekara; podałem mu kozią skórą, nie rzekłszy ani słowa, tak byłem zajęty wypłuciem aż do ostatniej kropli tego obrzydliwego płynu. Był to rzadki znawca wody, wytrawiony smakosz; przewączywał źródło lub studnię pierwój niż wielbłądy; każdy też mając w podjęrzeniu smak mój przesycony i zniewieściały, w najgłębszém milezeniu słuchoł wyroku jaki wyda. Zaczął od obwąchania koziej skóry, skinął głową, wystawił dolną wargę, oznaczając iż ma coś powiedzieć, tyknął, potem wypłuł, najzupełniejszą i niezaprzeczoną oddając mi słusność: ruch, upał, i nowe kozie worki, były to trzy przyczyny tego zepsucia. Od téj chwili jeszcze dziesięć razy gorzej pić się nam zachciało: na to odpowiedział nam Bekara, iż naza jutrz, wieczorem, wyśmienitą wodę znajdziemy w Suez: aż wściekłość prawie brała!

Lecz to nie wszystko: sądziliśmy że tu zanocejemy; lecz Tualeb inaczej postanowił. Po półgodzinym wypoczynku, trzeba było znowu wziąć na wielbłądy, które nam dowiodły, zerwawszy się natychmiast skoro nas uczuły na siodle, że bardziej były domysłne i że nie przypuszczały że tu na prawdę mamy noclegować. Co do Arabów, ani jedli ani pili: to było prawie do niepojęcia.

Po dwugodzinnym biegu, podczas którego, sądząc po kłusie wielbłądów, najmniej musieliśmy ujechać

z pięć mil francuzkich, Tualeb wydał pewny rodzaj kwokania, który zapewne musiał być umówionym znakiem pomiędzy nim a wielbłędami, gdyż zatrzymały się natychmiast i przykłękły. Zsiedliśmy niezmieśnie kwaśni z tak długiego biegu, a jeszcze bardziej żeśmy się po nim nie mogli napić świeżej wody. I Arabowie zdawali się podzielać nasze nieukontentowanie; byli milczący i zamyśleni: sam tylko Bekara nieco zachował wesołości.

W mgnieniu oka jednakże rozpięto namiot, koły powbijano, rozciągnięto kobierce. Chociaż tak utrudzony, rozłożyłem jednak na gorącym piasku, przy ostatnim promieniu zachodzącego słońca, mój papier rysunkowy, który zupełnie przepotniał mi zapasem, a potem położyłem się, błagając Boga, aby raczył wznowić dla nas, chociaż tak niegodnych, cud który niegdyś uczynił dla Agary.

Dostrzegłem Abdallaha, który zakasawszy rękawy, z całą powagą jaką sobie doskonały nadaje kucharz, przyrządzał dla nas wieszczę; składała się z wyżej wymienionego chleba i potrawy, a to wszystko rozczynione i przyprawione wodą z kozich worków. Arabowie nadskakiwali mu i wszelkie czynili posługi, siekli sztyletami drzewo tak drobno jak na zapałki, dopomagali mu dmuchać aby prędzej ogień rozniecić; mięszali ryż, i wylewali ciasto na gorące zarzewie. Obok nich Mohamed i Bekara zajęci byli oczyszczaniem wody, przelewając ją z góry zjednego naczynia w drugie, aby jej powietrze zły smak odejęło. Przypominałem sobie w ówczas iż żarzące węgle są dzielnie oczyszczającym działaczem i ofiarowałem moją pomoc chemikom, którzy widząc iż chcę nieznanego użyć mi

sposobu, z najzupełniejszym zrzczeniem miłości własnej czynić mi dozwolili. Wsypaliśmy prawie wszystkie zarzewie z ogniska Abdalaha; potem przecedziliśmy wodę przez chustę, a znawca Bekara znowu rozpoczął próbę. Tym razem woda pić się dała. Wieść ta zwabiła Mayera z kobierca, na którym postanowił usnąć bez wieczerzy, lękając się aby jadło bardziej pragnienia jego niezwiększyło.

Oświecono namiot, Abdallah przyniósł nam ryż na drewnianej misie; zasiedliśmy w okrąg, podwinąwszy pod siebie nogi, i spróbowaliśmy zjeść kilka łyżek jego pilawu i zakosztować chleba; lecz niepodobna nam było wznieść się tak wysoko aby ocenić kuchnię Abdalaha; kazaliśmy mu więc co prędzej zabrać pilaw i kołacze, a natomiast podać sobie daktyle i kawę. W tej chwili Mohamed zbliżył się do nas z pokorną minką, wskazującą iż ma coś powiedzieć lub o coś prosić. Postrzegłem chęć jego, i natychmiast wróciłem się ku niemu spróbowawszy pierwój przełknąć pół-szklanki filtrowanej wody: czego jednak nie mogłem dokazać.

— I co tam nowego, Mohamedzie? rzekłem

— Oto że nasi Arabowie są smutni, odpowiedział Mohamed.

— Ach! na Boga, jeśli głodni to niech jedzą.

— Tego też właśnie pragną; lecz nie mają co jeść.

— Jakto! nie nie mają? czy nie wzięli ze sobą żadnych zapasów? wszak to było wnaszój ugodzie.

— Tak jest; lecz myśleli że ponieważ tylko dwa dni drogi z Kairu do Suez, będą mogli na ostatni



przypadek, dobrze sobie brzuch ścisnąwszy, wytrzymać te dwa dni bez jedzenia.

— I niemogą, co?

— Mogą wprawdzie, lecz są smutni.

— Bardzo temu wierzę że muszą być smutni. Jakto, więc nie jedli od wczoraj.

— Och! zjadł każdy po parę strączków z wielbłędami.

— No! to powiedz-że Abdallahowi aby im zgotował wieszercę co prędzej.

— Nietrzeba tyle zachodu. Jeśli im panowie raczycie odstąpić resztę swego ryżu i kołaczów, będą mieli dosyć.

— Jakto! resztki po nas trzech dla nich piętnastu?

— O! rzekł Mohamed, gdyby byli jedli śniadanie toby im na trzy wieszercze wystarczyło.

Pan Taylor nie mógł się wstrzymać i rzekł do nich z uśmiechem:

— Bierzcie i pożywajcie, przyjaciele; oby Chrystus raczył uczynić dla was cud i te chleby pomnożyć.

Mohamed wrócił do koła, które zdawało się nie słuchać tego co mówimy, i uczynił znak iż przystajemy na ich prośbę. Natychmiast wesołość wróciła na ich twarze, i każdy zabrał się do wspaniałego bankietu który im hojność nasza zgotować raczyła.

Utworzono dwa koła. Pierwsze składało się z Tualeba, Bekary, Araballaha, Mohameda i naszego kucharza Abdallaha, którzy wszyscy znaczącemi byli osobami: Tualeb, jako dowódcą; Bekara, jako opowiadacz; Araballah, jako rycerz; Mohamed, jako tłumacz; a Abdallah, jako nadworny kuchmistrz — truciciel. Drugie koło składało się z dwunastu innych Arabów,

którzy, zajmując pośledniejsze miejsce na skali towarzyskiej, musieli jeść ostatni i wyciągać rękę pomiędzy towarzyszków pierwszego rzędu. Biesiada z zaskakującym odbyła się porządkiem; Mohamed dał znak, wzięwszy we wszystkie pięć palcy szczyptę ryżu, który do ust poniósł; Tualeb poszedł za jego przykładem; całe pierwsze koło naśladowało swego dowódcę; potem nadeszła kolej drugiego rzędu, który znadzwyczajną zręcznością wyłowił swoje rację i poniósł do ust nieuroniwszy ani jednego zjarnka ryżu. Tak jedli z równą sumiennością i porządkiem, do póki misa nie została próżną, co niedługo zabawiło.

Wówczas Bekara powstał w imieniu całego towarzystwa aby nam podziękować, i spytał nas o nazwiska, aby on i towarzysze jego mogli je w sercu zachować na pamiątkę naszej wspaniałomyślności; — wymieniliśmy je, dodając po dwa daktyły na człowieka, aby nie tylko oni zachowali naszą pamięć w swych sercach, lecz jeszcze następcom ją swoim przekazali.

Arabowie jednak zobowiązali się do rzeczy bardzo trudnej dla nich. Trzy nasze nazwiska, z niezbędnymi przydatkami i dziwaczną mieszaniną spółgłosek, bynajmniej nie były zastosowane do gardła wschodowców; i dla tego po kilkokrotnych usiłowaniach tak je pokaleczyli, iż nie tylko nie było podobna aby mogły być przekazane Jzmaelickim plemionom, lecz nawet poznane od najlepszych naszych przyjaciół. Ta filologiczna praca była z resztą przytrudna dla tych dzieci natury, znoszącym jak męczennicy trudy ciała, lecz którzy podobnie jak lazzaroni odstręczają się najmniejszą pracą umysłową. Ztąd wyniknęło, iż po dziesięciu minutach usiłowań, powstał Bekara

i na nowo do nas się zbliżając, poprosił, w imieniu swych towarzyszków, którzy niemogli wymówić naszych nazereńskich imion, abyśmy się wzajemnie pozwolili ochrzcić imionami arabskimi, zachowali te imiona przez cały ciąg podróży, aby nas mogli nieimi przyzywać, a my odpowiadać im nawzajem: a żeśmy w tém żadnej nie widzieli nieprzyzwoitości, z całego serca przystaliśmy na ich żądanie. Zamiana nastąpiła więc w jedną chwilę. Pan Tajlor ze względu na położenie swoje i wiek nieco od naszego podeszłszy, nazwany został *Ibrahim-Bej* to jest Abraham dowódcą; Mayer, podobny nieco z chudości ciała, koloru skóry i rysów twarzy, do jednego z Arabów naszego orszaku, powitany był imieniem *Hassana*, a ja przez wzgląd na usposobienie które okazywałem do prędkiego pojęcia języka arabskiego, śmiałość z jaką dosiadałem wielbłąda, i wiekuiste zajęcie spisywaniem moich pomysłów i zbieraniem szkiców, obdarzony zostałem imieniem *Ismaelu*, do którego, na uzupełnienie zaszczytu dodano *Ejffendi*, to jest uczony.

Gdy się na ten punkt zgodzono, z zupełnym wszystkich zadowoleniem, Bekara złożył ręce na krzyż na piersiach, i powiedział nam dobranoc, błagając Machometę aby nas uchronił od odwiedzin Salema. Ażem czychał chciwie na wszystko co mogło powiększyć malowniczość naszej podróży, spytałem Mohameda co to był za Salem. — Powiedział mi że to jest złodziej arabski, znany we całym kraju z odwagi i zrzeczności, a który właśnie w miejscu któreśmy obrali dzisiaj za stanowisko dokonał najcudowniejszego z czynów swoich. Obudziło to naszą ciekawość: chociaż utrudzeni jednak nam się jeszcze tyle spać nie-

chciało, abyśmy nie mogli posłuchać bajek Bekary; zasiedliśmy więc w kole Arabów, rozdzielili między nich tytuń, pozapalano cybuchy, i przy pomocy Mohameda Bekara zaczął swe opowiadanie, pół po arabsku, pół po francuzku, które jednak byłoby niezrozumiałem w obu językach gdyby jego giesta nienapełniały je dla towarzyszków, a nasz tłumacz niewykładał nam miejsc zaciemnych dla nas.

Otoż, Salem był to Arab, prosty syn pokolenia błędnego, który od dzieciństwa najszcześliwsze okazywał skłonności do kradzieży; rodzice zachęcali to upodobanie, pojawiawszy od razu jaką korzyścią może być podobne usposobienie w dalszym jego losie. Młody też Salem, szanując własności pokolenia swego i przyjaznych mu pokoleń, wcześniej zaczął rozwijać swoje przymioty na pokoleniu mi przyjaznem: giętki jak wąż, jak ryś z winny, lekki jak gazella, wślizgiwał się pod namiot niezaszeleściawszy płótnem, niezaskrzypiawszy na piasku, jednym skokiem przebywał potok piętnaście stóp szeroki, i w biegu wyprzedzał wielbłądy.

W miarę jak wzrastał, rozwijały się jego usposobienia; tylko zamiast zajmować się w nocy jakim ustronnym namiotem, lub nierozważnym wędrownikiem, zgromadził młodzieńców swojego pokolenia którzy od dawna przywykli go słuchać nie wachali się uznać za dowódcę, i z tym zasiłkiem materyalnej potęgi, na ważniejsze odważył się wycieczki.

W ówczas te podstępny jego rozwinięły się, zaczął działać na wielką skalę, nie wyrzekając się jednak samotnych i awanturniczych wycieczek, które mu sławę zjednały: już to rozpuszczał fałszywą wieść o

przechodzie karawany bogato obładowanój, a w ów-  
czas rycerze sąsiednich pokoleń wychodzili w pole  
aby jój drogę zastąpić; on tym czasem, napadał na  
namioty, w których pozostali tylko sami starce, nie-  
wiasty i dzieci, i zabierał trzody i zapasy; innym  
znowu razem, gdy karawana wyjeżdżała z Suez do  
Kairu, lub z Kairu do Suez, wysyłał Araba rozsiać  
pomiędzy czychającemi na nią plemionami, iż napa-  
dnięto ich obóz; w ówczas rycerze w całym pędzie  
wracali do namiotów, a on tym czasem, Pan i Król  
pustyni, dowolnie łupił karawanę, i nakładał ha-  
racz na kupców i pielgrzymów.

Nareście tak śmiałe i częste kradzieże doszły do  
uszu Beya z Suez. Suez jest składem Jndyi, bramą  
Arabii. Na w pół już zniszczony odkryciem Przyląd-  
ka Dobrój-Nadziei, rzadkie tylko karawany przyno-  
szą mu towary swoje. Bey zatrwożył się wycieczka-  
mi Salema, które przyczyniały się aby tem bardziej  
jeszcze odstraszać karawany od jego miasta, i surowe  
wydał rozkazy aby schwytano rozbójnika. Rok upły-  
nął na daremnych poszukiwaniach; nie dla tego by-  
najmniej aby się Salema ukrywał: codziennie owszém  
słyszano o nowych jego sprawach; lecz wyslizgał  
się z rąk ścigających tak zręcznie i tak śmiało, iż gniew  
Beja do tego doszedł stopnia, iż sam postanowił ści-  
gać rozbójnika, i przysiągł, iż dopóty nie powróci  
do Suez, dopóki ze sobą Salema jako więźnia nie  
przywiedzie.

Na skutecznienie więc tego zamiaru Bey rozłożył  
obóz na drodze wiodącój z Suez do Kairu, w tém sa-  
mém właśnie miejscu gdzieśmy zanocowali, a namiot  
jego rozbity był tu właśnie gdzie się wasz namiot

wznosi. Gdy rozpięto namiot, gdy go najpewniejsze otoczyły strażę, a wokoło najwierniejsze rozłożyło się wojsko, gdy najlepszy z jego rumaków został osiodłany i gotowy do wycieczki, Bey odpasał szablę, zdjął honorowy mechallah, rozciągnął się na kobiercu, schował worek z pieniędzmi pod wężgłowie, odmówił modlitwy do Machometa, i usnął pełen ufności z Allachu i proroku Jego.

Nazajutrz, Bey się obudził o świcie, noc była spokojna. Żadna trwoga, najmniejsza nawet pobudka nie zakłóciła obozu; każdy wojownik był na swoim stanowisku, każda rzecz na swoim miejscu, prócz szabli Beya, jego mechallah, szalu i sakiewki, które znikły.

Bey dwa razy klasnął wręce, i wszedł powierny jego niewolnik; lecz natychmiast cofnął się z podziwienia ujrawszy pana, widział jak przed świtem wyjechał na koniu, ale nie widział go powracającego.

To nową bojaźnią napęłniło Beya: lękał się czy koń jego nie zniknął wraz z szablą, mechallahem, szalami i sakiewką; niewolnik pobiegł do stanowiska koni, i spytał o ulubionego wierzchowca Beya. Mastalerz odpowiedział mu, iż Bey klasnąwszy trzy razy wręce, co umówionym było znakiem, natychmiast, przyprowadził mu rumaka; iż w ówczas wsiadł na niego, zapuścił się w pustynię i niepokazał więcej.

Bey chciał już uciąć głowy strażnikowi, niewolnikowi i mastalerzowi; lecz zastanowił się iż to nie wróci mu ani szabli, ani mechallacha, ani szalów, ani worka z pieniędzmi, ani konia, i że kiedy sam

się dał uwieść, strażnik jego, niewolnik i mastalerz, będąc daleko późniejszymi od niego istotami, tém łatwiej także mogli być oszukani.

Trzy dni i nocy rozmyślał jakim sposobem kradzież mogła być popełnioną; potem, postrzegłszy iż nadaremnie czas traci, postanowił udać się do samego złodzieja, co było najpewniejszym sposobem dowiedzenia się niezawodnej prawdy, i rozkazał ogłosić po sąsiednich pokoleniach, że jeśli Salem raczy mu donieść, lub sam przyjść, opowiedzieć wszystkie okoliczności kradzieży, której śmiałość go wykryła, nie tylko nie mu złego nie uczyni, lecz prócz tego, dostanie na kosztą podróży tysiąc piastrów, (wynoszących monetą francuską blisko 300 franków); dawał na to słowo prawowiernego muzułmana, a na Wschodzie słowo jest rzeczą świętą, że skoro tylko Salem udzieli żądanych objaśnień, wolno mu będzie udać gdzie się mu tylko podoba.

Nie dał czekać na siebie. Tego samego wieczora, Arab dwudziesto-letni blisko, szczupły, z ognistym spojrzeniem i śmiałą postawą, ubrany w prostą koszulę z błękitnego płótna, stanął przed namiotem Beya, oznajmując iż mu udzieli wszelkich objaśnień, jakich tylko żądać będzie. Bey przyjął go jak się zobowiązał, jako człowieka, który raz dawszy słowo nigdy go nie narusza, i jeszcze raz ponowił mu obietnicę tysiąca piastrów, gdy się przeświadczy, że prawdę powiedział. Salem odpowiedział, iż nie podła chciwość go przywodzi, lecz jedynie chęć odpowiedzenia godnie na grzeczność tak wielkiego wodza; że tego tylko żąda jedynie, iżby wszystko na dawném miejscu leżało, aby rozkazano strażnikowi

przepuścić go, i mastalerzowi, aby mu był posłuszny, jak pod czas popełnionej kradzieży. Bey uznał że to żądanie jest najsluszniejsze; zawiesił zatém inną szablę na maszcie utrzymującym namiot, rzucił inny machallach na sofę, włożył inny worek z pieniędzmi pod wezgłowie, rozkazał innego osiodłać konia, i położył się jak pierwszój nocy gdy go Salem odwiedził; tylko wytrzaszczył oczy, aby nie stracić nic z tego co się dzieć będzie. Każdy stanął na swém stanowisku, i powtórna reprezentacya rozpoczęła się wobec całego wojska.

Salem oddalił się o pięćdziesiąt kroków od namiotu; potém, przybywszy tam, zdjął koszulę i przewiązujący ją sznurek, aby mógł mieć wolniejsze wszelkie poruszenia, i zagrzebał ją w piasku: wówczas położywszy się brzuchem na ziemi, zaczął się czołgać nakształt węża, i tak, że ciało jego, podobniejsze zgruntem barwy, na w pół zagrzebane było w piasku. Kiedy nie-kiedy, podnosił głowę, jakby niespokojny czy go nie postrzeżono lub nie zasłyszano; potém szybkiém spojrzeniem zapewniwszy się że wszystko jest spokojne, znowu rozpoczynał pochód swój spokojny, lecz milczący i pewny. Przyszedłszy do namiotu, podsunął głowę swoją pod płótno, a Basza, który najlżejszego nawet nie postrzegł poruszenia, ujrzał nagle dwoje bystrych i błyszczących oczu, podobnych do ślepiów ostrowidza, wlepionych w siebie. Pierwszém jego uczuciem była obawa; gdyż się niespodziéwał takowego zjawiska; lecz pomyślawszy natychmiast, że to wszystko było tylko igraszką, pozostał nieruchomy jak gdyby spał głęboko. Po chwili niemego wpatrywania się, zni-



knęła głowa, i nastąpiło kilka minut spokoju i ciszy, pod czas których słyhać tylko było piasek skrzypiący pod stopami strażnika. Nagle nieprzezroczyście jakoweś ciało zasłoniło światło padające zwierzchołka namiotu, roztwartego w okrag około masztu, który go utrzymywał, dla udzielenia przechodu nocnemu chłodowi; człowiek spuścił się jak cień wzdłuż masztu, i stanął przy łóżku Beya; przykląkł jednym kolaniem, i gdy wspierając się na lewej ręce, słuchał oddechu pozornie uszpiętego, krótki i krzywy pugiął błyszczał w jego prawicy. Bey uczuł, iż zimny pot na czoło mu wystąpił, gdyż życie jego było w ręku tego, za którego głowę obiecał zapłacić tysiąc złotych cekinów. Nie przestał jednakże dzielnie grać swój roli w tej dziwnej komedii; i ani pospieszniejszy oddech, ani prędsze bicie serca, bojaźni jego niewykryły. Podczas tej chwili udanej bezwładności, Bey uczuł, iż ręka wślizgnęła się pod jego wezgłowie; lecz chociaż najzupełniej czuwał, poruszenie to tak zdało mu się delikatnem, iż byłby go nawet niedostrzegł, gdyby się na największej nie miał baczności. Wkrótce Salem powstał nieznacznie, nie tracąc z oczu śpiącego; tylko lewa jego ręka próżna, gdy był nad nim pochylony, teraz podniosła się napełniona: trzymał w niej worek z pieniędzmi.

W ówczas wziął sztylet i worek wżęby, cofnął się tyłem ku dywanowi, i z oczyma, zawsze w Beya wlepionemi, wziął mechallach, przywdział go zwolna, wyciągnął rękę, odczepił szablę, zawiesił u pasa, okręcił około głowy i kibici dwa kaszemirowe szale, służące za zawój i pas Beyowi, wyszedł śmiało z namiotu, przeszedł obok strażnika, który skłonił się

z uszanowaniem, i trzy razy klasnął w ręce, aby mu przyprowadzono konia, mastalerz uprzedzony o tym rozkazie, natychmiast usłuchał, bo znak ten, jakiegośmy wyżej wymienili, był zwykłym znakiem Beya. Salem lekko skoczył na bieguną, i wróciwszy przed otwór namiotu, gdzie Bey, na w pół nagi przypatrywał się temu widowisku: rzekł: Takim to sposobem dokonałem mego przedsięwzięci, bądź zdrów i zniknął w pustyni z powtórnią zdobyczą, wprzódym nim Bey ochłonawszy z podziwienia kazał go ścigać.)



**PODRÓŻE**  
**ZARYSY ŻYCIA W AMERYCE**

*przez Miss Harriet Martineau.*

---

Podczas, gdy stare narody Europejskie, usiłują jedne po drugich, rozstrzygnąć wielkie zasady ekonomii towarzyskiej, młode Stany-Zjednoczone Ameryki bez przerwy prawie doznają nadzwyczajnej pomysłności. Obywatele przypisują ten stan rzeczy sile rządu swego. Dowodzą, że jeśli ich ustanowienia nie zamykają w sobie wszystkich środków ulepszenia stanu ludzkości, nie wyłączają przynajmniej żadnych wyobrażeń postępu cywilizacyi. Trzeba wyznać, że w Anglii wszyscy mają oczy zwrócone na Amerykę. Opowiadania tych co zwiedzili tę krainę, słuchane są z równem zajęciem jak stare i zachwycające legendy Anglii. Zajęcie to we wszystkich klassach zarówno czuć się daje.

Panna Martineau umiała korzystać z tej ogólnej dążności umysłów. Pierwój wydała dziełko o me-

chanizmie towarzyskiego stanu w Ameryce; dziś wystąpiła z trzema nowemi tomami, zawierającemi w sobie jęj wspomnienia. Dzieło to będzie mieć bez wątpienia równe powodzenie jak poprzednie. Pierwsza praca autorki, zawiera w sobie mnóstwo uwag i postrzeżeń, mogących się przydać wszystkim którym Ameryka zajmuje; nawet osobom obznajmionym tylko nieco z historyją Stanów-Zjednoczonych. Nowa ta książka przeciwnie zawiera fakta ogólniejszego zajęcia, jest-to dziennik, w którym autorka zapisywała swe wrażenia, w miarę jak ich doznawała.

Świat nowy przedstawia zjawiska towarzyskie, na które zawsze z nowém zapatrujemy się zajęciem. Po uszczypliwych żartach Miss Fanny Kemble i dowcipnych marzeniach Pani Trollope, ciekawą jest rzeczą widzieć zdanie trzeciēj kobiety, równymże obdarzonēj talentem, ale posiadającēj większą rozciągłość zdań i widoków. Skłonność Panny Martineau do rozwagi i zastanawiania się, usposobiły jęj umysł do czynienia pożytecznych i ciekawych spostrzeżeń.

Autorka nie trzymała się żadnēj stałēj metody w swoich wspomnieniach podróży. Opowiada fakta w miarę jak przedstawiają się jęj pamięci. Spostrzeżemy z umieszczonych wyjątków, iż pierwsze jęj wrażenia bardzo były pochlebne. Opisy miejsc i krajobrazów są w ogóle bardzo malownicze i w dobrym guście, ale najbardziēj czytelnika uderza, cały ciąg obrazów skreślonych śmiałą i wprawną ręką, dających poznać w nowém świecie mieszkańców Stanów-Zjednoczonych.

Panna Martineau zwiedziła kilka więzień w Ameryce, lecz nie czyni w tym przedmiocie żadnych no-

wych uwag; przytacza jednakże kilka przykładów, o dobrych skutkach, jakie łagodność wywiera na umysły najbardziej nawet poniżone. Uważa sposób samotnego uwięzienia, przyjęty w Filadelfii, jako najlepszy ze wszystkich używanych w Stanach-Zjednoczonych; mniema iż jest daleko lepszym od systematu Auburna, bardzo zachwalonego w kraju, a dla tego pełnego jeszcze nie doskonałości. Kapitan Pilloburg, poczynił w więzieniu weathersfildskim, prawdziwe cuda; lecz na nieszczęście człowiek ten, żyć zawsze nie może, ani nie znaleźć, sięgodny jego następcę. Autorka mniema, że samotne więzienie, połączone z pracą, jest najdoskonalszą pokutą. Potrzeba podług niej, oddalić od występnego uczucie osobistego poniżenia, aby zachował nadzieję iż powróci kiedyś na łono towarzystwa, za pomocą życia wolnego odtąd od wszelkiego wyrzutu.

Miss Martineau często przytomna była naradom senatu; udziela zajmujących szczegółów o członkach tego towarzystwa, o Panu Calhoun, Preston, Webster, półkowniku Bemston i prezydencie Van Buren. Obraz Amosa kendall, radcy i poufałego przyjaciela generała Jaksona, bardzo jest ciekawym.

Amos Kendall, jest Tallejrandem Amerykańskim. W młodości był nieszczęśliwy i ubogi; użyczył mu wsparcia Pan Clay powierzając mu wychowanie swych dzieci; później opuścił polityczne stronnictwo swego dobroczyńcy, i przywiązał się do generała Jaksona. Nie wyrzucano mu tego czynu, bo mógł uleść wpływowi opinii i własnego przekonania; lecz z oburzeniem widziano go później iż prześladował Pana Clay po wszystkich dziennikach, i za każdą zdarzoną

okolicznością. Pomimo to potrafił nadzwyczajną zjednać sobie sławę: jemu przypisują wszystko co tylko zajdzie tajemniczego w rządzie i uważają go jako człowieka poruszającego wszystkie sprężyny Administracyi. Listy prezydenta Jaksona, uchodzą za dzieło Kendalla, listy przesyłane do Wasyngtona, drukowane po rozmaitych dziennikach najodleglejszych prowincyi, zebrane potem w *Globe* jako wyrażenie zdania publicznego, przypisywane są Kendallowi; wszystkie dwuznaczniki dzienników opozycyjnych, stosują się do Kendalla. Cieszą się widząc go teraz jenerałnym dyrektorem poczty, można przynajmniej otwarcie go zaczepiać, a błędy które popełnia w swoim zarządzie, dowodzą że nie do wszystkiego jest zdolny.

Panna Martineau, za przybyciem swoim do Ameryki, nie miała żadnego wyobrażenia o stronnictwie abolicjonistów (tak zowią przeciwników niewoli murzynów;) przejęła się niem później i stała się odważną jego stronnieczką. Nim wyjechała z Filladelfii, przestrzeżono ją o osobistych niebezpieczeństwach na jakie narazi się w pośród osadników południowych. Nie przestraszyły ją te wszystkie pogłoski i wyjechała na południe.

Przyjęto ją najuprzejmiej, lecz w Bostonie odważyła się udać do klubu zwanego *Metting* abolicjonistów, sądząc iż powinna, utrzymywać swoją teorię wszelkimi sposobami, jakie tylko były w jej mocy. Pozwolono jej pisać oniewolnikach wszystko co tylko chciała, nie obrażano się bynajmniej, że głośno dawała swe zdanie, ile razy do tego wydarzyła się sposobność; lecz po tym ostatnim postępku mocno jej

ubliżono, rozruch był tak wielki, obelgi tak liczne, iż można było sądzić, że cała ludność przeciwko niej powstaje. Czyn ten łatwo tłómaczy, dla czego w swojej książce wspomina tak surowo o mieszkańcach Bostonu.

Czytelnik może towarzyszyć Miss Martineau, do nowego Orleanu, który dość przyjemnie opisuje, lecz bez żadnych nowych uwag; w jej podróży po Missisipi, w wycieczce do Cincinnati zamieszkanem przez towarzystwo niezmiernie ugrzecznione, lecz wielce pedantkie. Jej opisy i anegdoty zawsze z wielkiem zajęciem czytane będą.

Poświęciła cały rozdział swojej książki orginałom, które są daleko jeszcze liczniejsze w Ameryce, niżeli w Anglii. Maluje nam założyciela Towarzystw pokoju w Stanach-Zjednoczonych, Szanownego Noacha Worcester, który na dobrowolne skazał się ubóstwo; potem przesuwając przed naszymi oczyma ojca Taylor obrońcę majątków, człowieka najulubieńszego Anglików, Prezydenta wszystkich zakładów dla żeglarzy, popularnego mówcę, którego naturalna wymowa tyle posiada potęgi. Udziela nam także bardzo wiele zajmujących szczegółów o zapale Amerykanów do wszelkich nowych zasad. I tak kiedy Spurzheim przybył do Ameryki, wszyscy pierwszego dnia chcieli zostać frenologami.

Powiedzmy jeszcze na ukończenie tego szybkiego przeglądu, że Miss Martineau, chociaż należąca do sekty Unitaryuszy, ciągle okazuje w swem dziele jak największą tolerancyą i najgłębszą bezstronność, względem rozmaitych zdań religijnych.

*Nowe wspomnienia podróży* więcej przedstawiają zajęcia, niżeli poprzednie pisma téjże saméj autorki, więcej w nich widać oryginalności, więcej miejscowego kolorytu. Dzieło pod tytułem *Towarzystwo w Ameryce*, niekorzystnie osądzono w Stanach-Zjednoczonych, chociaż jest bardzo poważne i nauczające; teraźniejsze jój pismo, daleko większe zyska powodzenie. Ustępy które przytoczymy, uzupełnią wyobrażenie, jakie czytelnik mieć powinien o ostatniém dziele Panny Martineau, i dozwolą każdemu wartość jego ocenić.

Przybywając do obcej ziemi, mówi ona, doznajemy zwykle przykrego i głębokiego uczucia osamotnienia. Muszę wyznać, iż bynajmniej nie doświadczyłam podobnego uczucia, za mojem przybyciem do Ameryki. Ja i towarzystwo moje, byliśmy usposobieni do wesołości, gdyśmy pierwszych doświadczały wrażeń, i odtąd obraz Nowego-Yorku łączy się w mojem wspomnieniu z najprzyjemniejszymi wyobrażeniami.

Zamówiono dla nas pokoje w hotelu Broadway, i na grobli zastaliśmy najemny powóz, niezapowiedzianego wjechaliśmy na bruk, i bardzom się zdziwiła, że to była ulica Broadway. Po wszystkiém, com kiedykolwiek słyszała o panoramie Nowego-Yorku, którą widziałam w Londynie, spodziewałam się ujrzeć coś osobliwszego; nigdy bardziej zawiedziona nie byłam. Broadway oznacza się swoją długością, ale bynajmniej szerokością ulic; okalające go drzewa, dają mu na pierwszy przystęp dziwny pozór.

Gospodyni jak najgrzeczniej nas przyjąwszy, posłała wydać rozkazy, aby przyrządzono herbatę. Cze-



kaliśmy właśnie na nią, i dziesięć minut ledwie upłynęło od naszego przybycia, gdy trzech jakichś Ichmościów przyszło do nas. Jeden z nich był politykiem, przepowiadającym upadek ustaw Amerykańskich, mający się spełnić pierwój jeszcze nim kraj ten opuszczę; stał się później najpoufalszym moim przyjacielem, i nie raz z przyjemnością przypominaliśmy sobie pierwsze nasze widzenie. Polityka jedyną była rzeczą, w której się nasze zdania dzieliły.

Gdyśmy pili herbatę, kilka osób przyszło czytać dzienniki przy tym samym stole, gdzieśmy siedzieli. Wkrótce zwróciłam uwagę na człowieka, którego ułożenie i obójście, miało w sobie coś wyższego; miał minę i wzrost jak na żołnierza, a twarz jego uderzające miała podobieństwo z obrazami wielkich ludzi, z którymi w Anglii tak jesteśmy obznajmieni. Nie można zaprzeczyć, że istnieją fizyonomije, których rysy wspólne są Wasingtonowi, Jeffersonowi, i Madissonowi. Ów Jegomość przypominał mi je zarazem, a prócz tego, wysokie wykształcenie przebijające z całej jego powierzchowności, do najwyższego stopnia podnieciło moją ciekawość. Był to generał Masson; ojciec młodego gubernatora Michigama, jeden z najznakomitszych obywateli.

Znaleźliśmy w naszych pokojach łóżka z czterema słupkami, jakby umyślnie umieszczonemi do zawieszenia na nich sukien lub kapeluszy, lecz żadne z nich nie miało nad sobą pawilonu. Na miednicach nie było kubków, ani mydła, ani szczoteczek; przy lichtarzach nie było szczypców: uznałam jednakże, iż na ten raz, ten zbytek był dostateczny; każdy

sprzęt stał przynajmniej na swoim miejscu, i pokój nie bujał się bezustannie jak na okręcie.

O piątej z rana, otworzyłam okno, niecierpliwie pragnąc ujrzeć, co też się przedstawi memu oku. Postrzegłam domy jaskrawemi ubarwione kolory; u każdego okna były zielone zazdrostki, a na każdym dachu porozciągane sznury do suszenia bielizny. Młoda kobieta, ubrana w czarną jedwabną suknię, zamiełała wschody, inna uprzątała salon; ogromna studnia wznosiła się na środku dziedzińca: dwóch murzynów stało u pompy, a trzeci niósł melony.

Jedna z dam naszego towarzystwa, zgubiła swój tłomok, byłyśmy więc zmuszone wyjść za niektórymi sprawunkami. Pomyślałam, iż niezadługo mogą nas zatrzymać w domu wizyty, postanowiłyśmy zaraz zająć się naszymi sprawunkami, chociaż naszych rzeczy nie odesłano jeszcze na komorę celną i nie byłyśmy stosownie ubrane do Broadway, jak mówią w Nowym-Yorku.

Na ulicach najbardziej nas uderzały porządne ubranie i zamożność mieszkańców, woźnice mieli czysty i porządny ubiór; postrzegłam nawet dwóch małych chłopczyków sprzedających zapalki, którzy mieli najczystsza bieliznę, a jednak byli boso; targowiska wydały się nam obszerne i piękne. Ułożenie i obejście kobiet, które spotykałyśmy po ulicach i sklepach, przykre na nas uczyniły wrażenie: było to przy końcu niezmiernie gorącego lata, wszystkie kobiety zdawały się mieć żółtą febrę, chód ich był wolny i chorowity.

Po obiedzie i wieczorem mnóstwo mieliśmy odwiedzin, przybyło kilku członków kongresu, kandy-

datów do urzędów, kilku towarzyszków naszej podróży, kilku przyjaciół naszych przyjaciół. Nie byłyśmy jeszcze stosownie ubrane, aby wyjść na miasto. Upał był niecznośny, a my tylko miałyśmy ciepłe suknie, co nam służyły do morskiej przeprawy. Przyniesiono wreszcie tłumoki moich towarzyszek; lecz mój pozostał na okręcie, i nie mogłam mieć nadziei odzyskania go wprędce.

Nazajutrz była niedziela, i pomimo największej chęci zwiedzenia kościołów i usłyszenia choć jednego kazania, byłabym musiała pozostać w gospodzie, gdyby jakaś uprzejma dama nie pożyczyła mi swoich sukien.

Udałyśmy się do świątyni. Nie było pastora; duchowny Filadelfii wstąpił w jego miejsce na kazalnicę, i nigdy nie słyszałam kazania tak prostego, tak uroczystego, tak tchnącego prawdziwym duchem wiary. Gdy zszedł z ambony, przyszedł mnie prosić, abym odwiedziła dom jego, jak będę w Filadelfii. Jeszcze byłam przejęta urokiem jego wymowy, i nie mogłam mu odmówić. Przepędziłam później kilka tygodni w jego domu, tak przyjemnie i poufale, jak gdybym wśród własnej była rodziny.

Jenerał Masson przedstawił mnie gubernatorowi *Cass*, w ówczas sekretarzowi wojennemu, a teraz ambasadorowi w Paryżu. Gubernator *Cass*, jest to prawdziwy wzór przezorności amerykańskiej; obawa w jakiej ciągle żyje, aby się nie naraził, niedozwala ocenić podług rzeczywistej wartości jego gruntownych i świetnych przymiotów. Kraj Michigamu, któremu znakomite wyświadczył przysługi pyszni się, że jest jego obywatelem.

Nie wiem prawdziwie, czy mam mówić o politycznych ludziach Amerykańskich: skoro tylko mąż jaki wstąpi w polityczne życie, zostaje ogólną własnością całego towarzystwa, i osoba jego, charakter, umysł, są przedmiotem prawnego śledztwa: pod tym względem najmniejszego nie ma skrupułu. Waha nie moje ztąd szczególniej pochodzi, że wielcy ludzie świata-nowego, zbyt mało zajęcia wzbudzają w Anglii. Imiona polityków Angielskich świadome są całej Ameryce, gdy tym czasem w Londynie, pytają się co to za jeden ten Pan Clay! i do jakiego stronnictwa należy Pan Cathoum! Czynności Pana Clay, i teorye Pana Cathoum, powinnyby zajmować Londyn, przynajmniej tyle, ile zajmują polityczne osoby Francyj i Anglij. Lecz, aby obznajmić się z owemi politykami, trzeba by czytać dzienniki Amerykańskie, ale każdy człowiek z dobrym gustem i rozsądkiem, cofa się na sam widok tego zbioru kłamstw, śmieszności i potwarzy.

Nazwisko Pana Gallatin jest jednakże wszędzie znane i szanowane. Pan Gallatin zaszczycił mnie swemi odwiedzinami w Nowym-Yorku, dowiedziawszy się, że pragnęłabym wiedzieć o prawdziwych przyczynach niezgody zaburzającej kraj z powodu banku; zajęło mnie jego dokładne i jasne tłumaczenie się: mówił jeszcze ze mną o wielu innych przedmiotach, z ową otwartością i uprzejmością, które, gdyby mogły być upowszechnione, ułatwiłyby wszelkie zawady tamujące nieraz postęp interesów. Udzielił mi niektórych szczegółów o ostatniej części swego długiego zawodu, który rozpoczął w roku 1787. Opowiedział mi trzy swoje podróże do Anglii, skreślił

szkie panowania dwóch ostatnich monarchów, i długo mi mówił o Ludwiku Filipie i prezydencie Jacksonie, odmalował mi ducha trzech rozdzielonych części Stanów-Zjednoczonych: północy, południa i zachodu. Odmalował także Niemców i inne rolnicze wiejskie osady; wskazał jakim sposobem klasa arystokratyczna tworzy się i wzmacnia. Gdy mówił, coraz bardziej wzmagala się moja uwaga, a skoro tylko odszedł, natychmiast pośpieszyłam napisać mianą z nim rozmowę, z obawy, aby nowość i obfitość jego myśli nie zaginęła mi w pamięci. Zdaje mi się, że Pan Gallatin mógł mieć wówczas siedemdziesiąt dwa lat; nie wyglądał jednak tak staro, jest otyły, lecz cała jego powierzchowność technie godnością; urodził się w Szwajcaryi, i mowa jego lekko zatracą cudzoziemszczyznę, lecz płynie z nadzwyczajną łatwością i zachwycającem wylaniem.

Upewniano mnie z początku mojej podróży, że zaburzenia zaszły w Nowym-Yorku, były dziełem emigrantów irlandzkich, lękających się wzrostu wolnej ludności czarnych. Dowiedziałam się później, że to było fałszem; kilku Irlandczyków wmieszało się wprawdzie do zaburzeń, lecz całe zło pochodziło od krajowców.

Powzięliśmy niejaki wyobrażenie o okolicach Nowego-Yorku, przepędziwszy wieczór u Pana King w High-Wood, leżącego o dwie mile po za Hoboken. Napotkaliśmy po drodze zachwycające wiejskie domki kryte słomą; o piękności pól i okolicy tego mówić nie mogę, gdyż wszystko było już żółte, suche i zwiędłe. Zewsząd wznosiły się wysokie góry. szarawe skały,

przerzynane laskami, które najpiękniejszą zachowały jeszcze zieloność. Słońce zachodziło, a taki widok wzbudziłby w Anglii to mniemanie, że się już zbliża koniec świata. Gdyż całe niebieskie sklepienie było w ogniu. Dziwiłam się, że wtenczas przewodnik zachęcał głosem woły swoje, a stara dama holenderska najspokojniej robiła robotę, jak gdyby niebo najpiękniejszego było błękitu.

Pokazano mi po drodze miejsce gdzie Hamilton śmiertelną ranę odebrał z ręki pułkownika Burr. Dawne prawo wymagało, aby kandydaci do urzędów nie pojedynkowali się nigdy. Lecz takie ustawy niezdolne są zniszczyć pojedynków; obawa usunięcia od urzędu, nie przeszkodzi nikomu wystąpić, gdy zostanie wyzwany. Prawo nie zdoła powściągnąć tego przesądu; czas i teraźniejsze obyczaje konieczne działać muszą.

Zogrodu Pana King jest bardzo wspaniały widok; rozciąga się na Hudson o dwanaście mil przynajmniej, aż do Narrows. Lekki odcień różanny barwił wody; było ostatni odbłask owego nieba rozpłomienionego przed chwilą. Ostatni połysk barwił jeszcze skały, i posępne szalupy przytwierdzone do brzegu. Naprzeciwko nas, huta leżąca w lesie, jasny rzucała płomień, a światła miejskie błyszczały zdala w wodach odbite. Czyż po tych drobnych szczegółach potrzebuję ci jeszcze wymieniać, żem doznała bardzo przyjemnych wrażeń?

Trzy razy podróżowałam po Hudsonie, i gdybym jeszcze mieszkała w Nowym-Yorku, lubiłabym po nim pływać choć trzy razy na tydzień przez całe lato; większa jednakże część dam, znajdujących się wraz

ze mną nastatku parowym, wołały pozostać w kajucie między krzyczącemi dziećmi, podczas gdyśmy wśród najpiękniejszych płynęli krajobrazów. Nie podzielały bynajmniej gustu pewnej znajomej mi Angielki, która przez całą żeglugę zostawała na pokładzie, i przez cały dzień przyglądała się obu nadbrzeżom, zawsze z równémże upodobaniem.

Gdyśmy pierwszy raz płynęli po Hudsonie, poranek był pochmurny i mgła okrywała skalisty pas tworzący zachodnie wybrzeże. Ładne domki tu i owdzie po skałach poczepiane, zjawiały się naszym oczom; drzewa rosły w rozpadlinach skał, a kiedy niekiedy, pomiędzy wodą a prostopadłą skałą, zjawiała się drożyna, zaledwie tak szeroka, aby nią przejść mógł rybak; szalupy przywiązane były po wklęsłościach wybrzeża; kuliki wrzucicie maczały skrzydła w wodach, a latające ryby ciężko unosiły się po nad głowami. Postrzegłam, na wschodniem wybrzeżu, stopnie wyłożone darnią, wiodące do dłużej, świeżej alei, w głębi której stał biały domeczek. Dalej przybywamy do tak zwanego morza *Tapuan*, a góry są coraz wyższe i liczniejsze. Kapitan przybił z nami do tak zwanego *Wheel-room*; jestto miejsce świeże, obszerne, i po nad całym wznoszące się krajobrazem. Wskazał nam ztamtąd mieszkanie Pana Irwing; miejsce w którym kapitan *André* został pochwycony, i wiele innych zajmujących widoków. Potem skały zaczęły się zwężać i tak ścieśniać, iż najmniejsze przejście niepodobnóm się zdawało. Było jednakże tak obszerne, iżby wszystkie statki rzeczy-pospolitej mogły niém przepłynąć. Skaliste góry zagrażały posady swoje w wodach i

pokryte były drzewami które zdawały się rosnąć niezapuszczając korzeni w ziemię. Powyżej widać było ślady uprawy, a na pochyłości góry wznosiły się tu i owdzie białe domki wśród pól zaoranych.

Tak nas zachwyciła piękność tego miejsca, iż nam się zdawało, że zbyt prędko przybywamy do *West-Point*. W tej porze spotkać można zawsze jak najlepsze towarzystwo. Pan *Crozens* trzyma otwarty stół dla oficerów, i wolno mu jest przyjąć tyle gości, ile tylko dom jego pomieścić zdoła, lecz takich, którzyby zgadzali się z jego zwyczajnymi gośćmi.

Z miejsca tego tak wspaniały jest widok, że chętnie cały tydzień nie odeszłabym od okna. Zwiedziliśmy wszystko, co tylko było ciekawego, upał nie dozwolił nam jednak wstąpić na górę *Krows-Nest*.

Przedstawiono mnie Panu *Irwing*, z którym przez kilka minut rozmawiałam. Po obiedzie, państwo *Moris*, równie jak my nieustrudzeni wchodzeniu, zaprowadzili nas do twierdzy *Palnam*; z jej szczytu widok jest zachwycający. Jedna z dam ofiarowała się wstąpić tam zemną jak najrانیj, aby zobaczyć wschód słońca. Przebudziłam się nazajutrz o trzeciej z rana, samotne światelko błyszczało w jednym z okien akademii, i słaby brzask zaczynał barwić niebiosą. O piątej z rana chmury tak były gęste, żeśmy się musieli wyrzec naszego zamiaru. Zaczęło się jednak nieco wyjaśniać, i zeszłam sama jedna do ogrodu; lubiłam to ustronie, gdy mogłam w niem być samotną. Jest to ustronie wydrążona w skałach ciągnących się po nad rzeką, do której wiodą schody wykute po za Akademią. W głębi skał znajduje się



źródło, spadające w kadełkami kamienną. Sądziłam że jestem samotną, i bawiłam się rzucając w źródło liście buków i jesionów, już purpurą jesieni ubarwione, gdy postrzegłam jednego z uczniów leżącego na skale, a drugiego schodzącego po stopniach. Zbliżył się do mnie i gotów był pokazać mi to wszystko, co to miejsce zajmującego może mieć dla mnie.

Zaczęliśmy długą rozmowę o życiu akademickiem, i dowiedziałam się od niego, że uczniowie przez pierwszy i drugi rok zajmują się matematyką; przez trzeci jeszcze matematyką, chemią i filozofią naturalną; w czwartym roku wyłącznie poświęcają się mechanice. Nauki nie tak są urządzone jakby mogli żądać; lecz i tak nie mają czasu nauczyć się wszystkiego. Pracują od siódmej z rana aż do czwartej po obiedzie, wyjąwszy godziny przeznaczone jedzeniu; potem następuje przechadzka i przegląd wieczorny. Przez cztery tygodnie latem obozują po wsiach; niektórzy korzystają z tego czasu i odwiedzają rodziców. Wszelkimi sposobami usiłują, aby młodzież jak największe czyniła postępy. Każda klasa składa się najmniej ze stu czterdziestu uczniów. Dla jednych praca zdaje się zbyt uciążliwą, inni zbyt prędko się zniechęcają, innych wręcz całkiem nie przyjmują: pozostała reszta otrzymuje rozmaite urzędy. Zakład ten, dostarczający wojsku świetnych oficerów, stanowi ognisko, w którym przychodzą niejako topić się i gubić wszystkie przesady wyłącznych stronnictw; który na postępy i wzrost nauk zwraca uwagę całych Stanów-Zjednoczonych, zakład podobny tak wielkie przedstawia korzyści, iż słuszne ze wszystkich stron powstaje oburzenie przeciwko tym, co by go znieść

chcieli, pod pozorem jego arystokratycznej dążności. Sądzę, iż obie opinie powinnyby się wreszcie zgodzić pod tym względem; niepodobna obéjść się bez tego zakładu; lecz należy jak najstaranniej nad nim czuwać.

Zwiedziłam bibliotekę jak najlepiej dobraną, i składającą się z kilku tysięcy tomów. Akademia w tak zdrowém leży miejscu, że przez lat siedemnaście, które podróż moją poprzedziły, pięć tylko liczono przypadków śmierci, a przez lat ośm, co poprzedziły zimę 1834 roku, ani jeden z uczniów nie umarł. Tém bardziej mnie to zadziwia, że wszystka młodzież Akademicka nie zdaje się bardzo silna, i niezmieennie sobie szkodzi nadzwyczajném używaniem tytoniu.

Ułożenie téj młodzieży jest jak najprzyzwoitsze; dozwolono im pod pewnemi warunkami mieszać się do towarzystwa Pana Crozens; tym sposobem często mają sposobność przestawać z kobietami. Jest zaprowadzona księga, w którą każdy uczeń musi się zapisywać, gdzie wychodzi i jak długo bawi.

Drugim razem byłam w *West-Point*, podczas obozowania: ten czas prawdziwą był uroczystością.

Pewna dama wraz z siostrą prosiły nas, abyśmy zabawiły jakiś czas u nich w *Fiskill*, a nieza długo po niej przybył duchowny z Nowego-Yorku z zaproszeniem od doktora Hosak, proszącego, abyśmy go odwiedzili w *Hyde-Park*. Niewiedziałyśmy czego się trzymać; ułożono jednak, że nie pojedziemy do *Fiskill*, i przepędzimy raczej parę dni w *Hyde-Park*. O jedenastój opuściłyśmy *West-Point*, zawsze jednak z zamiarem powrócenia do niego. Nie uskuteczniłam go jednak, gdyż w czasie przeznaczonym do naszej

podróży panowała tam szkarlatyna.. Pan Liwingston powracając z Francyj, znajdował się na tymże statku. Listy moje rekomendacyjne były razem zrzeczami; nie czekałam na nie, aby zabrać z nim znajomość.

Imię Pana Liwingston sławném jest w Anglii i całej Europie. Ściśle łączy się z kodeksem Luizjany, wielkiem dziełem owego znakomitego męża. Pan Liwingston urodził się i wychował w Nowym-Yorku. Odbywał kursa w kolegium *Princeton* roku 1780, i w tym czasie kilkakrotnej przerwy doznały jego nauki. Nauczycieli pokilkakrotnie wygnał z katedr napad nieprzyjacielski, a uczniowie zaciągnęli się do wojska. Podczas wojny cała biblioteka została rozproszoną; potłuczono naukowe apparata, a szkolne budynki zajęli żołnierze. Liwingston był członkiem czterech zgromadzeń kongresów; odznaczył się usiłowaniami względem ulepszenia kodeksu kryminalnego Stanów-Zjednoczonych, w ówczas jeszcze tak krwawego, jak w Europie w dawnych wiekach. Roku 1801 znowu został prawnikiem w Nowym-Yorku; lecz nie długo mógł pozostać w prywatném ukryciu. Obrany prezydentem miasta, pozostał w niém dla pełnienia swych obowiązków, podczas gdy żółta febra wszystkich z niego wypędzała. Poświęcenie się obowiązkom publicznym, nieraz pogorszyło jego własne interesa. Niebaczny błąd prezydenta Jeffersona, pozbawił go znacznej posiadłości, i nabawił procesu, który trwał lat kilka. Prawo zawyrokowało na jego korzyść, i sprawa skończyła się ze zobopólném zadowoleniem.

Podczas napadu Luizjany przez Anglików, Liwingston znaczny miał udział w obronie kraju, a

po wojnie podjął się ważnego obowiązku sprostowania praw i uczynienia ich bardziej zrozumiałemi, gdyż były zagmatwane tysiącem niepotrzebnych i zawiłych ustaw. Przyjęto jego zasady, i dotąd one zachowują.

Niespracowany ten człowiek zajmował się także w tymże czasie przysposabianiem swego sławnego kodeksu karnego. Gdy cały rękopism przygotowany już był do druku, roku 1824, przepędził ostatnią noc bezsennie, aby raz jeszcze przekonać się o poprawności swego rękopismu; ukończywszy czytanie położył się na spoczynek, i zaczął snu kosztować z tą rokoszą, jakiej użyć wypelnienie wielkiej i trudnej pracy, gdy go nagle zbudził krzyk: *gore!* Pokój, w którym pracował już się palił, i wszystkie jego papiery spłonęły; niezdolano uchronić ani jednego wiersza, ani jednego dopisku. Przeraziła go w pierwszej chwili ta strata; lecz nazajutrz nową rozpoczął pracę. We dwa lata po pożarze, mógł przedstawić prawodawstwu Luzyany dzieło swoje ulepszone nowemi uwagami.

Był potem reprezentantem Luzyany na dwóch kongresach; 1831 został sekretarzem stanu, a 1833 posłem do Francyi.

Przez cały rok poprzedzający słyszałam codziennie wspominane imie Pana Liwingston, ile razy była wzmianka o trudnych układach pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Francją, lub raczej Ludwikiem Filipem a Prezydentem Jaksonem.

Czytałam kilka depeszy; niektóre drukiem ogłoszono, chociaż to nie było pierwotném ich przeznaczeniem, i niezupełnie mnie zadowalał jego sposób

dosięgania celu. Uczynił jednak wszystko do czego tylko rozum ludzki jest zdolny, w kłótni zawikłanej i niebezpiecznej, w której zarówno musiał oszczędzać interes swego rządu i drażliwość rządu francuzkiego.

Chęć pokoju i sprawiedliwości przebija się przede-wszystkiem, w całej tej korespondencyj, i powrócenia co prędzej do rodzinnej ziemi. Pan Liwington wynurzył się przedemną, z powodu króla Francyj i jego rządów, ze zdaniem których bynajmniej nie-spodziewałam się od posta demokratycznej rzeczy-pospolitej. Zgłębiałismy właśnie ten przedmiot, gdy para nagle świszczyć zaczęła; wznieśliśmy głowy i postrzegli, że jesteśmy w Hyde-Park, i że doktor Hosak wraz z kilką damami czekał nas na grobli. W następnym roku na wiosnę widziałam powtórnie Pana Liwington, w Nowym-Yorku. Głuchota nie-dozwalała mu w ówczas podzielać ogólnej rozmowy. Widziałam go raz ostatni na chrzcie jego wnuczki, Zdawał się być zdrow, lecz bardzo mało mówił. W miesiące zapadł niebezpiecznie i umarł po krótkiej chorobie.

Rodzina Liwingtonów, chociaż jedna z najdawniejszych i najbogatszych w Stanach-Zjednoczonych, nawet w dniach swojej wielkości, pozostała wierną zasadom. W wspaniałych gmachach w Nowym-Yorku, w pełnym złytków ustroniu na Hudsonie, Liwingtonowie zawsze bronili charakteru i czynów prezydenta Jaksona. Zamożność i znakomity wpływ ich rodziny, żadnej zmiany nie zrządziły w jej zdaniach.

Widok Hyde-Parku zawiódł zrazu moje oczekiwanie, lecz wkrótce poznałam, że to jest zachwyca-

jące ustronie. Doktor Hosak, który nam udzielił gościnności z miłą uprzejmością pokazał mi swoją bibliotekę, jedną z najpiękniejszych w całym kraju; obrazy, zbiory botaniczne i mineralogiczne. Nadzwyczajne summy wydał na swój ogród kwiatowy, w którym znajdowały się prawie wszystkie rzadkie Europejskie rośliny: lecz znacznie ostygł ogrodnicy jego zapał, gdy postrzegł że wieśniacy przychodzący we święta do Hyde-Parku najpiękniejsze zrywali kwiaty, nie znając ich ceny. Oddawano mu je wprawdzie na pierwsze zażądanie, lecz jednak te straty niewymownie go smuciły, tak były częste i kosztowne.

Przeczytał mi życie Witta Clinton, które właśnie pisać ukończył, i przyobiecał mi jeden exemplarz.

Gdyśmy po dwóch dniach odjeżdżali, doktor Hosak i rodzina jego towarzyszyli nam aż na groblę. Jeszcze większy byłby nasz smutek, gdybyśmy mogli przewidzieć, że go więcéj nie zobaczymy!

Doktor Hosak urodził się w Ameryce, lecz ojciec jego był Szkotem. Odebrawszy jak najlepsze początki lekarskich nauk w Ameryce, pojechał wydoskonalić się w Edynburgu i Londynie; ztąd pochodzą przyjacielskie stosunki, które zachował z Wielką-Brytanią, ztąd także uprzejme przyjęcie, jakiego w domu jego doznawali podróżni Anglicy. Trudnił się doktorstwem przez czterdzieści lat w Nowym-Yorku, i był przez czas niejakiś profesorem botaniki i medycyny przy kolegium Kolumbijskiém. Odznaczył się szczególniéj swoim sposobem leczenia żółtej febry. Prócz tego, wyswiadczał inne znakomite przysługi współ-ziomkom. Gdy szło o dobro publiczne,



wszystko był gotów poświęcić. Najprzykrszniejszym wypadkiem jego życia był pojedynek, w którym zginął Hamilton, a którego był świadkiem. Doktor Hosak znajdował się w Nowym-Yorku ze swoją rodziną podczas zimy, która poprzedziła moją bytność w Hyde-Parku; pewnego dnia rozmawiał o sztuce leczenia z doktorem M. Wikar, i uczynili spostrzeżenie, że gdyby który z nich dostał apopleksyi, nieprzeżyłby jój pewno. W piętnaście dni po téj rozmowie, obu apopleksya zabiła. Doktor Hosak, utracił majątność podczas wielkiego pożaru w Nowym-Yorku; przestrah i utrudzenie, których doznał téj nocy, stały się przyczyną jego śmierci; miał sześćdziesiąt siedm lat, lecz bynajmniój nie znać na nim było zgrzybiałości. Zawsze słyszałam, iż liczono śmierć tego pożytecznego obywatela, do największych nieszczęść, których pożar ten stał się przyczyną.

Zwiedziwszy *Mountain-House* najbardziej zachwycające miejsce jakie kiedykolwiek widziałam, udaliśmy się do kaskady Trenton. Szkoda, iż widokom Amerykańskim niezachowano Indyjskiej nazwy. Indyanie zowią kaskady Trenton w swoim języku *Kayoharies*. Tworzy je spadek tak zwanój *West-Canada-Creek* dzielący się na kilka następujących po sobie kaskad. Sześć zowych kaskad przystępnych jest dla podróżującego. Z wierzchołka spadku, woda czarna, z białą pomieszana pianą, tak gwałtownie spada, że sam jój wir może zawrócić głowę najśmielszemu podróżnikowi. Zeszliśmy po siedmiu drewnianych schodach, utwierdzonych na pochyłości skały, i znaleźliśmy się nad samym brzegiem potoku. Nigdy nie znajdowałam się pod gołym niebem w miejscu tak cie-

mnem i zimnem, chociaż słońce błyszczało w całej pogodzie, i odbijało się o skały naprzeciw nas leżące. Idąc, z największą uwagą przyglądaliśmy się gdzie postawić nogę, chociaż uwaga ta wydawała nam się śmieszną, gdy przeminęło niebezpieczeństwo. Nie zapomnieliśmy także czepiać się jak najmocniej łańcucha przytwierdzonego do skały, w miejscach gdzie przejście najbardziej jest strome. Huk wody tak jest głośzący w tém miejscu, iż niepodobna dosłyszeć się nawzajem. Niecierpliwa ujrzeć coprędzej pierwszy spadek, poskoczyłam naprzód i wdrapałam się na drewniane schody, chociaż rosząca je piana uczyniła jak lód ślizkiemi. Zatrzymałam się na odłamie skały, o którą rozbijały się fale, i widziałam moich towarzyszków przesuających się kolejno po ciasném przejściu. Droga zdawała się tak ciasną, iż prawie nie można było na niej nogę postawić, drżałam na sam widok. Gdyśmy się nieco nazwyczaili do łoskotu i ciemności, bawiliśmy się przypatrując niewielkim studniom wykutym w skale, i źródłu, przepływającemu pod korzeniami cedru, które nieustanny deszcz zdawało się tworzyć. Pomiędzy piątą a szóstą kaskadą, ciągnie się długa wstęga najspokojniejszej wody. Zatrzymaliśmy się tam na chwilę, aby odurzone pokrzepić zmysły, nimeśmy weszli między nawalone w nieładzie skały, pomiędzy którymi szósty wodospad wyłobił sobie drogę. Piękne motyle zdawały się żyć jak najswobodniej w tej przepaści, śmiało bujały wśród czarnej pjany kaskady. Niemogłam pojąć, jak istoty tak wątłe, mogły żyć w podobnym zamęcie.



Przebywszy szósty spadek, postrzegliśmy, że niepodobna iść dalej; skały tworzą okrag, i nigdzie nie widać śladu najmniejszej ścieżki. Niezobaczyliśmy co się działo wyżej. Las znajdujący się przy wodospadzie, zwrócił na siebie moją uwagę; dotąd widziałam tylko nie wielkie lasy. Tutaj gęsty mech obrostł korzenie drzew; pośród jodeł rosły tłumy nieznanomych krzewin; piękny ptak czerwony, z czarnemi skrzydłami, krążył naokoło nas, i bynajmniej się nie lękał. Gdyśmy wracali, księżyc jak dyament błyszczał po nad nami. W kilka miesięcy później, przepędziłam inny dzień szczęśliwy pośród tych kasad; jeszcze bardziej zadziwiła mnie piękność tego widoku.

Przeplłynawszy promem przy Black-Rok zapuściliśmy się w południowo-zachodnią stronę, to postępując po piasku, to po trawniku zroszonym świeżą wodą jeziora. Podczas, gdyśmy się znajdowały na terytorium angielskiem, przyjęła nas gościnnie pewna amerykanka, mieszkająca tuż przy jeziorze pod samą twierdzą. Porzuciła robotę, aby przygotować nam obiad, uradowana jak się zdawało, że się nieco rozweseli w naszym towarzystwie. Zastawiła nam herbatę, bifszyk, miód i rodzenki. Natychmiast po obiedzie wstąpiłam na szczyt twierdzy.

Opowiedziała mi potem zadziwiające swoje przygody. Przytaczam z nich to, co może czytelnika zająć. Podczas wojny 1812 roku, M. W. mieszkała w Buffalo z ojcem, matką, braćmi i siostrami. R. 1814 w chwili, gdy wojna najstraszniejszą była na granicach, ojciec jej i brat zatonęli przebywając ręką promem. W sześć miesięcy po tym smutnym wy-

padku, niebezpieczeństwo tak się wzmogło w Buffalo, iż wysłano na wieś najmłodsze dzieci wraz z siostrą zamężną, pod opieką szwagra, który miał wrócić z powozem po matkę, dwie pozostałe córki i bielinę. Przez trzy tygodnie tak się lękano napadu Indian, iż kobiety kładły się zawsze w ubrauiu, i kolejno czuwały. Po długim też wahaniu pozwolono dopiero pojazdowi odjechać, gdyż wątpiono jeszcze czy bezpieczniej opuścić miasto, czy w niem pozostać. Gdy nicodebrano jednakże żadnej wiadomości przed nocą, sądzono, że żadne nieszczęście nie przytrafiło się podróżnym, i że nazajutrz powóz powróci.

Kobiety pogasiły naprzód światła, jak im zalecono. O osmiej awie z nich się położyło. O dziewiątej zbudził je odgłos bębna. Był to znak napadu Indian. Nic nie zdoła dać wyobrażenia przestachu, który wzbudzali wówczas dziey; była to mieszanina zgrozy, oburzenia, obawy i nienawiści. Biedne kobiety od kilku tygodni w ciągłej żyły obawie; siły ich zupełnie były wyniszczone; na odgłos bębna zwiastującego, że nieszczęsna nadeszła godzina, wyskoczyły z łózek bardziej martwe niż żywe; wyjrzały oknem, lecz nie nie mogły rozróżnić w ciemności; po mieście wielki rozlegał się hałas; zapewne to bitwa się rozpoczynała... Dowiedziały się jednak, że to tylko płonny popłoch. Nicco uspokojone, chciały zasnąć. O czwartej znowu ich przebudził straszliwy bęben; lecz tym razem nie był to już płonny popłoch. Jedna z siostr wyjrzawszy na ulicę, ujrzała przy blasku pochodni milicję, rozproszoną i uciekającą. W tymże czasie Mistriss W. będąca w oknie na tył domu wychodzącym, postrzegła, przy niepewnej świa-

łości, tłum dzikich wdzierających się na mur ogrodowy; pobiegła ostrzedz matkę i siostrę, i starały się razem uciekać. Lecz już czasu nie było. Nim zdołały otworzyć drzwi, wybito okna; dom napęłnił się dzikimi, którzy wyli i wszystko kruszyli swemi tomahawkami; oszczędzili jednak wszystkie trzy kobiety, okazujące jak największą uległość. Tłomoki z sukniami rodziny przygotowane były, i czekano tylko powrotu powozu; dzieci poszarпали je na sztuki. Napotkali po drodze powóz z resztą rodziny; lecz ta upatrzyła chwilę, gdy straż czem innem była zajęta, i ratowała się ucieczką.

Wszystkie trzy kobiety zostały pochwycone, a gdy Mistriss W. żądała opieki, powierzono je kilku *Squars* i zostały zaprowadzone do obozu angielskiego. Oficer dowodzący obozem, nie chciał się podjąć straży tych niepotrzebnych branek i odesłał je do domu pod strażą żołnierza, który nie miał dozwolić, aby dom podpalono. Żołnierz miał wielką trudność w wykonaniu poleconych mu rozkazów; nie odstępował ode drzwi, używając kolejno prośb, przełożeń i groźby. Dom został wreszcie ocalony. Całe prawie miasto było kupą dymiących się gruzów, nie jedno miejsce krew zboczyła. Naprzeciwko drzwi leżał trup kobiety, która z rozpaczyny straciwszy głowę, wyzywała dzikich. Zabili ją swemi tomahawkami, w przytomności sąsiadów i ciało jej pozostało w miejscu; gdzie padła, bo nie było nikogo, co by grzebał zmarłych. Kilku obywateli zaparło się w więzieniu miejskiem; pozostała reszta rozpierzchnęła się po lasach.

Nim ustał pożar, dzieci oddalili się i mieszkańcy zaczęli ukradkiem powracać do miasta, na w pół pra-

wie umarli z głodu i zimna. Trzy nasze kobiety, jak największy utrzymywały ogień, jak najstaranniej pierwój pozamykawszy okna i przygotowały pożywienie dla nieszczęśliwych osadników; pracowały dopóki im sił starczyło. Każda z nich kładła się kolejno przed ogniem, aby wypocząć. Mistris W\*\* w owych dniach straszliwych nie raz przywiązywała sobie kołdrę na ramiona, nakształt indyjskiego płaszcza, aby wśród ciemnej nocy iść szukać pożywienia; dziwne zatrudnienie dla młodej panienki, wiedzącej, że tuż pod bokiem leży wojsko dzikich! Trzeciego dnia, sześciu mężczyzn z Buffalo, było właśnie na śniadaniu w domu, gdy na nowo potłuczono okna; dom powtórnie napełnił się dzikimi. Sześciu mężczyzn uciekło i nie naturalniejszego, że młoda panienka uciekła wraz z nimi. Oddaliwszy się nieco od domu, spojrzała po za siebie i postrzegła dzikiego, który ją ścigał, wzniosłszy już tomahawk nad jej głowę. Obróciła się, rozśmiała i wyciągnęła obie ręce do dzikiego. Ten wahał się przez chwilę, potem broń spuścił, zaczął się śmiać i odprowadził ją do domu. Żywo już żałować zaczynała, że opuściła matkę i siostrę. Dom tak był zwalony, że nie mogła się do niego dostać, ani się o niczem dowiedzieć. Przekonana, że już nie żyją, schroniła się do dragonów angielskich, nieopodal obozujących, którzy mocno się zdziwili, że zdołała się wymknąć z rąk dzikich. Przecież wprowadzili ją ukradkiem do domu, i wówczas dopiero mogła się rzucić w objęcia siostry i matki. Dom ten sam tylko ocalał. Koloniści niejakiś tylko czas pozostali w boru, opółnocku zbliżając się tylko do samotnego domu wdowy, aby trochę zjeść i ogrzać się.

Kobiety owe nie niezachowały ani ze swojej posiadłości, ani z majątku. Spalono ich domy, zabrano nawet suknie. Koloniści zapłacili hojnie owym damom za gościnność i ręczne prace, gdyż wszystkim prawie zbywało na ubraniu. Kobiety ręczną pracą, zdołały sobie niepodległy zebrać mająteczek, z którego wdowa przez kilka lat później żyła. Córka jej, która mi tę przygodę opowiedziała, jest teraz żoną sędziego. Nigdy nie chwali się ze swojej odwagi, i rzadko kiedy wspomina o swych wojennych przygodach.

Drugiego lutego, udałam się do Mont-Vernon; mieszkanie rodziny Wasingtonów i grobowiec byłego prezydenta, najwięcej zwiedzane są od cudzoziemców. Przedstawił mnie tam Pan Story, i doznałam jak najgrzeczniejszego przyjęcia. Jenerał Wasington odziedziczył po bracie posiadłość Mont-Vernon. Przez lat piętnaście, które poprzedziły kongres Filadelfii, ciągle tam mieszkał Wasington, ukazując się tylko publicznie, gdy go obowiązek powoływał, lecz jak najprędzej z najżywszem upragnieniem wracał do swych zatrudnień rolniczych. Dom był wówczas skromnym tylko budynkiem, złożonym z trzech pokoiów.

Pani Wasington mieszkała tam przez całe dziesięć lat, które Wasington spędził wśród wojny z Anglią. Bywała w obozie przy końcu każdej kampanii, i bawiła aż do nowej wyprawy. Radość szerzyła się w wojsku, ujrzało gdy powóz lady Wasington, z pocztylionami w czerwonej i białej liberyi. Wszystkie żony oficerskie przybywały wówczas do mężów. Mis-  
tris Wasington mawiała przy końcu życia, że słyszała pierwszy i ostatni wystrzał armatni. Miała umysł niezmiernie mocny, i wśród największych niebezpie-

czeństw, z najstałym umysłem zawsze opuszczała obóz. W domu zajmowała się dozorowaniem niewolników i wynadgradzaniem uszczerbków, które znaczne wydatki męża, czyniły ich majątkowi.

Po zawarciu pokoju 1783, Wasington wrócił do domu, i zaczął się zajmować upiększaniem swego siedliska. Przez cztery lata tylko prawdziwego używał spoczynku. Roku 1787 przywołany został prezydować Konwencyj, która ogłosiła akt konstytucyjny, a 1789 został ogłoszony Prezydentem.

Żona musiała była w ówczas towarzyszyć mu, i ośm lat upłynęło nim wrócili do Mont-Vernon.

R. 1797 odmówił przyjęcia urzędu Prezydenta, który chciano mu nadać po raz trzeci, i uszczęśliwiony powrócił do domowego zacisza. Niezadługo potem ofiarowano mu znowu dowództwo nad wojskiem. Nicodmówił, lecz prosił, aby go zostawiono spokojnym, dopóki koniecznie potrzebować go niebędą. Nim nadeszła ta chwila umarł. Żona także o dwa lata go tylko przeżyła. Od téj chwili Mont-Vernon jest smutny i opuszczony.

Z Aleksandryj do Mont-Vernon ośm jest mil odległości; ostatnie pięć mil ciągną się przez same bory. Doznaliśmy zrazu tak wielkiego zimna, jakiegośmy jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyli. Zdaje się, że ziemia w Mont-Vernon jest zupełnie wyniszczona. Mury i drzwi wjak najgorszym są stanie; ledwie pozostała w oknach jedna szyba cała. Małeńkie murzynki wyglądały na nas z zasłupów rynku, przez któryśmy przechodzili. Postępowaliśmy w milczeniu, jedynie zajęci wspomnieniem wielkiego człowieka, który niegdyś w tych miejscach mieszkał.

Mnóstwo rycin wyobrażających widoki angielskie, porozwieszanych jest po pokojach. Widać tam dotąd ciężki klucz Bastylii, tak wielką tworzący sprzeczność z tém wszystkiem, co się znajduje w tym kraju. Ze wszystkich książek, należących niegdyś do Wasyngtona, jedna pozostała tylko biblia. Najpodobniejszy ze wszystkich portretów Wasyngtona, odmalowany był na prostej glinie. Widziałam parę razy podobne naczynia, lecz zwykle właściciele tych zabytków, odłupują kawałek, na którym jest portret, i umieszczają go w ramach.

Przechadzka po części jeszcze za życia Wasyngtona ukończona, w lecie musi być nadzwyczaj przyjemną. Uderzyła mnie piękność położenia. Rzeka jest wspanialszą, taras piękniejszy, i góry bardziej urozmaicone, niżeli sobie wyobrażałam. Gdy roku 1814, officerowie angielscy przebyli rzekę, aby spalić bibliotekę, poniszczyć mosty, z ziemią zrównać miejsce posiedzeń senatu, zatrzymali się i podkrywali głowy, przechodząc przed milczącym domem wielkiego człowieka, niemogącego już stawić oporu ich napadom.

Dawny grobowiec, z którego wyjęto ciało Wasyngtona, powinien być albo naprawiony, albo zniszczony zupełnie; zbyt przykro widzieć go w stanie, w jakim się dzisiaj znajduje; mur i całe ogrodzenie są rozburzone. Smutno bez wątpienia widzieć zniszczone ostatnie siedlisko wielkiego człowieka; lecz może byłoby lepiej, gdyby całkiem znikło, niż w podobnem pozostało opuszczeniu. Ciało pogrzebione jest wraz ze zwłokami Judyty Wasyngton, w grobie leżącym w ustronniejszym miejscu, lecz nie tak

piękném, jak nad Potomakiem. Z miejsca, w którem nowy wznosi się grobowiec, nie widać bynajmniej rzeki, która prócz tego bardzo tutaj jest ważka. Zbudowany jest z czerwonej cegły, a drzwi ma z kraty żelaznej.

Możnaby raczej wziąć ten pomnik za piec piekarski, niżeli za grobowiec, gdyby nie tablica kamienna umieszczona ponaddrzwiami, a na której wyryty jest napis grobowy. Gaik, wznoszący się tuż obok, składa się z cedrów, jodeł, brzoź i buków, tak iż grób całe lato jest cieniem okryty, jak wszystkie groby być powinny. Prezydent powiadał mi, iż opuszczenie grobowca wielką sprawiało mu przykrość, podobnie jak wszystkim jego przyjaciółom, i że wszelkiełożył usiłowania, aby ciało przeniesiono do Kapitolu. Miejsce to bez wątpienia najbardziej przystało zwłokom Wasyngtona; lecz jeśli koniecznie zwłoki jego pozostać mają pod drzewami jego dziedziny, powinny być przynajmniej przedmiotem większego uszanowania.

Gdyśmy doszli do zburzonego mostu, który z taką trudnością przebyliśmy zrana, Potomak nam się ukazał przy świetle księżyca, a zdala błyszczały światła Kapitolu. Wróciwszy do domu, i siadłszy przy kominku, rozkosznego doznaliśmy zadowolenia. Czekaliśmy na nas, herbata, listy i dzienniki angielskie; w krótkce odetchnęliśmy swobodniej, i zapomnieliśmy przykrości, jaką nam sprawiło zimne i zbyt mocne dnia tego wrażenia.



## REJESTR.

---

*Stronica.*

Fizyczny i moralny widok Hollandyi . . .	1
Wycieczka do Egiptu i Arabii przez (Aleksandra Dumas) . . . . .	14
Francya, Obraz Statystyczny, Obyczajowy i Malowniczy . . . . .	33
Krzysztof Kolumb . . . . .	73
(Podróże). Zarysy życia w Ameryce, przez Mis. Hariet Martineau . . . . .	237



0. primo 210

$N_{\text{or}} = K$  Sker 20 non Sker - 64272226, 56

5 5 00 Rady 15467 — 5

Pyzmska Korsa ak —

Pyzmska Korsa ak —

Wydawki najmniejsze w lutym 1958

Popowic — 33-10

Od zrobiec Krawc — 28-10

Zin boty — 15-20

Czapki — 14

Łopki — 26-20

Kegle i pol — 30-20

Christie — 198-20

12 —

210 20

~~210~~ + + +

P

116 116

116